DAWID GROSMAN
Wchodzi koń do baru
Grosman pokazuje mechanizm emocji, opowiadając niezwykle piękną, bolesną historię.
„El Pais”
Świat Książki

Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

*

Od tłumaczki

DAWID GROSMAN

Wchodzi koń do baru

Świat Książki

Tytuł oryginału
SUS ECHAD NICHNAS LE-BAR

Wydawcy
Grażyna Woźniak
Agnieszka Koszałka

Redaktor prowadzący
Katarzyna Krawczyk

Redakcja
Jan Jaroszuk

Korekta
Krystyna Śliwa
Anna Jaroszuk

Copyright © by Dawid Grosman, 2014
Copyright © for the Polish translation by Regina Gromacka 2016

Świat Książki
Warszawa 2016

Świat Książki Sp. z o.o.
02-103 Warszawa, ul. Hankiewicza 2

Księgarnia internetowa: swiatksiazki.pl

Łamanie
Piotr Trzebiecki

Dystrybucja
Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o.o., sp. j.
05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91
e-mail: hurt@olesiejuk.pl tel. 22 733 50 10
www.olesiejuk.pl

ISBN 978-83-8031-111-4

Skład wersji elektronicznej
pan@drewnianyrower.com

Dokument chroniony elektronicznym znakiem wodnym

Zakupione w nexto: 2444768

*

– Dobry wieczór! Dobry wieczór! Wiii-tam wspaniałe miasto Cee-zaa-reę!!!

Scena jest wciąż pusta. Okrzyk rozbrzmiewa zza kulis. Publiczność z wolna cichnie i uśmiecha się wyczekująco. Chudy, niski mężczyzna w okularach wypada na scenę z bocznych drzwi, jakby go ktoś stamtąd wyrzucił albo wykopał. Stawia kilka niepewnych kroków i niemal upadając, obiema rękami hamuje na drewnianej podłodze, po czym zręcznym ruchem wypina tyłek do góry. Gdzieniegdzie wśród publiczności chichoty i oklaski. Z korytarza ciągle wchodzą do klubu ludzie, głośno paplając.

– Panie i panowie – obwieszcza facet o zaciśniętych wargach, który siedzi przy konsoli i steruje oświetleniem. – Proszę o oklaski, przed wami Dowale G.!

Mężczyzna na scenie zastygł w małpiej pozie, wielkie okulary przekrzywiły mu się na nosie. Powoli odwraca się w stronę sali, długo omiata ją wzrokiem, nie mrugając oczami.

– O kurde – stęka. – Przecież to nie Cezarea, no nie? – Pomruki śmiechu. On powoli się prostuje, otrzepując ręce z kurzu. – Mój agent znowu zrobił mnie w chuja? – Z widowni słychać popiskiwania. Mężczyzna świdruje salę zaszokowanym wzrokiem: – Co to ma być? Coście powiedzieli? Ty tam, przy stoliku numer siedem, tak, tak, z pomadką na ustach, całkiem ci z tym ładnie, tak przy okazji! – Kobieta chichocze i zasłania dłonią usta. On staje na krawędzi sceny, kołysząc się lekko w przód i w tył. – A teraz serio się

pytam, śliczniutka: naprawdę powiedziałaś Netanja? – Oczy mu się rozszerzają, wypełniając po brzegi szkła okularów. – Niech no dobrze skumam, siedzisz tu sobie i oświadczasz mi spokojnie i na poważnie, jakby nigdy nic, że właśnie wylądowałem w Netanji i nawet nie mam na sobie kamizelki kuloodpornej? – Ze zgrozą osłania rękami krocze. Publika ryczy z uciechy. Gdzieniegdzie przelatują gwizdy. Wchodzi jeszcze kilka par, a za nimi hałaśliwa gromada młodych mężczyzn, zdaje się żołnierzy na przepustce. Niewielka sala jest prawie pełna. Znajomi machają do siebie na powitanie. Trzy kelnerki w krótkich spodenkach i jaskrawofioletowych koszulkach wyłaniają się z kuchni i rozbiegają między stolikami.

– Posłuchajcie, usteczka! – Uśmiecha się do kobiety przy stoliku siedem. – Jeszcze z tobą nie skończyłem, pogadajmy chwilkę… Bo wyglądasz mi na całkiem poważną laskę, w dodatku o oryginalnym guście, jeśli prawidłowo odczytuję tę intrygującą fryzurę, którą ci wymyślił, niech no zgadnę, ten sam projektant, co poustawiał nam meczety na Wzgórzu Świątynnym i na dokładkę reaktor jądrowy w Dimonie? – Na widowni śmiech. – O ile mnie węch nie zwodzi, wyczuwam tu kupę forsy. Mam rację czy nie? A? Górna warstwa upierdliwokracji, co nie? Naprawdę nie? Powiem ci dlaczego, bo widzę tu także oszałamiający botoks, a do tego zmniejszenie piersi, które kompletnie wymknęło się spod kontroli. Jeśli o mnie idzie, to łapska bym temu chirurgowi poucinał.

Kobieta przyciska łokcie do piersi, zakrywa rękami twarz i popiskuje przez palce, jakby ją połaskotano. Mężczyzna zaś, ciągle mówiąc, szybkim krokiem przemierza scenę od jednego końca do drugiego, zaciera ręce i skanuje wzrokiem siedzących na widowni. Obuty jest w kowbojki na podwyższonym obcasie, które z suchym trzaskiem wtórują jego ruchom. – Wytłumacz mi jedną rzecz, kochaniutka! – wykrzykuje, nie patrząc na nią. – Jak to jest, że taka rozgarnięta laska jak ty nie wie, że takie rzeczy trzeba człowiekowi mówić delikatnie, rozważnie, z wyczuciem, że nie wolno rzucać się na niego z jakimś „jesteś w Netanji, łup!”. Co ci do głowy strzeliło? Faceta trzeba trochę nastroić, zwłaszcza takiego chuderlaka. – Szybkim ruchem zadziera sprany podkoszulek i przez widownię przelatuje

mimowolne westchnienie. – No co, nieprawda? – Pokazuje obnażoną pierś siedzącym na prawo i na lewo od sceny, posyłając im szeroki uśmiech. – Widzicie? Sama skóra i kości. Głównie chrząstki. Jak Boga kocham, gdybym był koniem, już by mnie na klajster przerobili, wiecie, co mam na myśli, tak? – W odpowiedzi słychać zakłopotane chichoty i posapywanie z obrzydzenia. – Naucz się, złotko – odwraca się do kobiety przy stoliku siedem – żebyś następnym razem wiedziała: trzeba delikatnie sprzedać człowiekowi takie nowiny, podać mu jakiś środek przeciwbólowy. Na litość boską. Najpierw musisz subtelnie połechtać jego słuch, na przykład tak: „Gratulacje, Dowale, największy przystojniaku wśród mężczyzn, wygrałeś! Zostałeś wybrany do udziału w unikalnym eksperymencie w rejonie Równiny Nadbrzeżnej, niezbyt długim, jakieś półtorej godziny, góra dwie, bo maksimum tyle wynosi dopuszczalny czas, żeby normalny człowiek wyeksponował się przed tutejszą publicznością…”.

Publika się śmieje, mężczyzna jest zaskoczony: – Z czego tak się cieszycie, głupole? O was przecież mówię! – Widzowie śmieją się jeszcze głośniej, a on: – Chwila, moment, żeby nie było niejasności: chyba was uprzedzili, że jesteście tylko grupą suportową, dopóki nie sprowadzimy prawdziwej publiczności? – Gwizdy, wybuchy śmiechu. Z niektórych kątów słychać także długie „buuu” i walenie pięściami w stoły, ale większość widzów jest rozbawiona. Do sali wchodzi jeszcze jedna para, oboje są wysocy i szczupli, jasne puszyste włosy opadają im na czoła. Chłopak i dziewczyna, a może dwóch chłopców, ubrani w błyszczącą czerń, pod pachą kaski motocyklowe. Mężczyzna na scenie przelatuje po nich spojrzeniem i drobna zmarszczka wysklepia się nad jego brwiami.

Bez przerwy jest w ruchu. Co chwila okrasza swoje słowa szybkimi uderzeniami, wali pięścią w powietrze, po czym niby bokser zwodniczym ruchem robi unik przed ciosem przeciwnika. Publiczność jest zachwycona, a on osłania ręką oczy i lustruje wzrokiem salę, w której jest już prawie zupełnie ciemno.

To mnie szuka.

– Tak między nami, kochani, wypadałoby, żebym teraz położył rękę na sercu i przysiągł, że uwielbiam, wprost szaleję za Netanją, zgadza się? – Zgadza się – odpowiada mu paru młodych ludzi z widowni. – I że superfajnie jest być razem z wami w czwartek wieczór w waszej czarującej strefie przemysłowej, na dodatek w piwnicach, w ponętnych oparach radonu, i tryskać przed wami kaskadą dowcipów wyciągniętych prosto z dupy, prawda? – Prawda – odpowiada, rycząc na całe gardło, publika. – Nieprawda – stwierdza mężczyzna, z rozkoszą zacierając ręce. – Wszystko to ściema, z wyjątkiem dupy, bo muszę wam szczerze wyznać, że nie znoszę waszego miasta, śmiertelnie mnie przeraża ta wasza cała Netanja, co drugi facet na ulicy wygląda jak objęty ochroną świadek koronny, a co trzeci jakby trzymał tego pierwszego w czarnym plastikowym worku, zatrzaśniętego w bagażniku. Wierzcie mi, gdybym nie musiał płacić alimentów trzem wspaniałym kobietom i jeden–dwa–trzy–cztery–pięć, pięciorgu dzieciakom… – Podtyka publiczności pod nos wyciągniętą dłoń z wyprostowanymi palcami. – Jak Boga kocham, stoi tu przed wami pierwszy mężczyzna na świecie, który cierpiał na depresję poporodową. I to pięciokrotnie! No może raczej czterokrotnie, bo dwójka to były bliźnięta. Ale właściwie pięciokrotnie, jeśli doliczyć depresję po moim urodzeniu. Jednak w całym tym bajzlu jedna rzecz wyszła wam na dobre, Netanjo, najmilsze z wszystkich miast, bo gdyby nie moje wampirzątka o mlecznych zębach, to nie ma bata, nie ma takiej siły, żebym się tu dzisiaj wieczorem stawił przed wami dla marnych siedmiuset pięćdziesięciu szekli, które Joaw płaci mi na rękę, bez pokwitowania i słowa wdzięczności. No dobra, kochani, bracia moi, świętujmy ten wieczór, bawmy się do upadłego, brawa dla królowej Netanji!

Publiczność klaszcze nieco skonsternowana z powodu nagłego zwrotu, ale uwiedziona tym serdecznym wrzaskiem i słodziutkim uśmiechem, który nagle opromienia mu twarz, całkowicie ją odmieniając. Znika wyraz udręki, rozgoryczenia i sarkazmu, jakby po rozbłyśnięciu flesza pojawiła się twarz wyrafinowanego, subtelnego intelektualisty, niemal

uszczęśliwionego, który nie ma i nie może mieć nic wspólnego z tym, co tamten tu przed chwilą wygadywał.

On zaś najwyraźniej cieszy się z zamętu, jaki zasiał. Powoli obraca się na jednej nodze niczym wskazówka kompasu, a kiedy kończy obrót, twarz ma znów skrzywioną i zgorzkniałą: – Posłuchajcie ekscytującej nowiny, Netanjo, nie do wiary, jakie szczęście was spotkało, ale akurat dziś, dwudziestego sierpnia, przypadkiem wypadają moje urodziny, dzięki, wielkie dzięki. – Pochyla skromnie głowę. – Tak, właśnie tego dnia pięćdziesiąt siedem lat temu świat stał się ciut gorszym miejscem do życia, dzięki, dzięki, moi milusińscy. – Postukuje na scenie, chłodząc sobie na niby twarz wachlarzem. – Jak to miło z waszej strony, naprawdę nie trzeba było, przesadziliście, czeki proszę wrzucić do skrzynki przy wyjściu, banknoty możecie złożyć na mej piersi po występie, sex-kupony można przekazać od razu, teraz, do rąk własnych…

Gdzieniegdzie ludzie wznoszą kieliszki w jego stronę. Z wielkim rumorem wchodzi towarzystwo złożone z kilku par – mężczyźni, idąc, klaszczą – i rozsiada się przy stolikach w pobliżu czegoś, co dawniej było barem. Machają mu na powitanie, kobiety wołają do niego po imieniu. On mruży oczy, odpowiada im nieokreślonym, mglistym kiwnięciem krótkowidza. Raz po raz odwraca głowę w kierunku mojego stolika na końcu sali. Od chwili kiedy wszedł na scenę, szuka mojego wzroku. Ale ja nie mogę spojrzeć na niego wprost. Nie odpowiada mi tutejsze powietrze. Nie podoba mi się powietrze, którym on oddycha.

– Komu już stuknęło pięćdziesiąt siedem lat, ręka do góry! – Kilka rąk szybuje w górę. On przygląda im się, z podziwem kiwając głową: – Jestem pod wrażeniem, Netanjo! Niezłą chujnię sobie zafundowaliście. Przecież niełatwo dożyć tego wieku w takim miejscu, no nie? Joaw, rzuć reflektory na widownię, niech popatrzę… Powiedziałem pięćdziesiąt siedem, proszę pani, nie siedemdziesiąt pięć… Chwileczkę, moi drodzy, nie wszyscy naraz, jest mnie pod dostatkiem, dla wszystkich wystarczy. Tak, stoliku numer cztery, co powiedziałeś? Też masz pięćdziesiąt siedem? A nawet pięćdziesiąt osiem? Niesamowite! Głębokie! Przełomowe! Kiedy to

wypadnie, jak powiedziałeś? Jutro? Wszystkiego najlepszego, a jak masz na imię? Jak? Jeszcze raz, powtórz. Jor… Josraj? Jak nic kpisz sobie ze mnie! To twoje imię czy ksywa z wojska? Ożeż kurwa, bracie, ale cię starzy załatwili, co?

Mężczyzna o imieniu Joraj parska donośnym śmiechem. Jego pulchna żona opiera się na nim, głaszcze go kolistymi ruchami po łysej głowie.

– A ta obok, bracie, która znaczy wokół ciebie terytorium – to pani Josrajowa? Trzymaj się, braciszku… No, na pewno się łudziłeś, że „Josraj" to ostatni cios, jaki los spuścił ci na łeb, co nie? Miałeś ledwo trzy latka, kiedy się połapałeś, co starzy ci zrobili. – Sunie powoli po scenie, grając na niewidzialnych skrzypcach. – Siedziałeś sam jak palec w przedszkolnym kąciku, chrupiąc cebulkę, którą ci mama do woreczka zapakowała, patrzyłeś na bawiące się razem dzieci i mówiłeś sobie: Uszy do góry, Josrajku, grom nie uderza dwa razy w to samo miejsce… A tu siurprajz! Uderzył dwa razy! Dobry wieczór, pani Josrajowo! Powiedz, kochanie, czy mogłabyś nam zdradzić, tak między nami, przyjaciółmi, jaką to figlarną niespodziankę szykujesz mężusiowi w dniu jego święta? No bo patrzę na ciebie i od razu wiem, co ci teraz chodzi po głowie: Ponieważ są twoje urodziny, Josrajku, dam ci dziś w nocy, ale nie waż się robić tego, co próbowałeś mi zrobić 10 czerwca 1986 roku! – Publiczność rechocze, łącznie z pulchną kobietą, która aż się trzęsie, gdy fale śmiechu rozlewają jej się po twarzy. – A teraz powiedz mi, pani Josrajowo – ścisza głos do szeptu – tak między nami: naprawdę sądzisz, że taka góra korali i łańcuszków jest w stanie zakryć wszystkie te podbródki? No, serio mówię, wydaje ci się przyzwoite, żeby w dzisiejszych czasach zaciskania pasa, kiedy w Izraelu tyle młodych małżeństw musi poprzestać na jednym podbródku – głaszcze się po swojej wychudłej, zapadniętej brodzie, która chwilami nadaje mu wygląd struchlałego gryzonia – ty na luzie obnosisz się z dwoma, nie, chwilka, z trzema! Droga pani, z samej skóry tej fałdki można by wykroić jeszcze jeden rządek namiotów dla demonstrantów w alei Rothschilda!

Gdzieniegdzie pojedyncze chichoty. Uśmiech kobiety nieco wymuszenie napina się nad zębami.

– A tak przy okazji, Netanjo, skoro zeszliśmy na temat mojej teorii ekonomicznej, chciałbym już teraz zwrócić uwagę, żeby usunąć wszelkie wątpliwości, że jestem za kompleksową reformą całego rynku kapitałowego. – Przystaje, dysząc, kładzie ręce na biodra i śmieje się szyderczo: – Genialny jestem, mówię wam, z ust wychodzą mi słowa, których sam nie rozumiem! Posłuchajcie tylko, od co najmniej dziesięciu minut jestem niezłomnie przekonany, że podatki trzeba naliczać tylko i wyłącznie, i absolutnie od wagi płatnika: podatek od masy ciała! – Znowu spojrzenie w moją stronę, spojrzenie przeciągłe, niemal wystraszone, usiłujące wydobyć z moich trzewi drobnego chłopca, którego on przechował w pamięci. – Czy może być coś bardziej sprawiedliwego, powiedzcie sami? Najbardziej obiektywnego na świecie! – I znów zadziera podkoszulek pod samą brodę, ale teraz roluje go powolnym, uwodzicielskim ruchem, obnażając przed nami zapadły brzuch z poprzeczną blizną, wąską pierś i przerażająco wystające żebra obciągnięte wyschniętą, usianą krostami skórą. – Można to ustalić na podstawie podbródków, jak mówiliśmy, ale jeśli idzie o mnie, można też wprowadzić progi podatkowe. – Podkoszulek wciąż ma zadarty. Ludzie patrzą zdegustowani, niektórzy się odwracają, z ust dobywają się ciche pogwizdywania. On zaś bada reakcje z jawnym, wygłodniałym zapałem. – Żądam progresywnego podatku od ciała! Szacować należy na podstawie opon na brzuchu, bandziocha, dupska, ud, cellulitu, męskich cycków i tych nawisów tu, u góry, pod damskimi ramionami! Dobra strona mojej metody jest taka, że nie będzie żadnych wykrętów ani naciągania faktów wte czy wewte: utyłeś, płacisz! – W końcu opuszcza podkoszulek. – Bij, zabij, ale ni chuja nie rozumiem, co to za pomysł, żeby nakładać podatki na kogoś, kto zarabia pieniądze. Co ma jedno z drugim wspólnego? Posłuchajcie mnie, Netanjo, słuchajcie uważnie: podatki powinny być ściągane tylko i wyłącznie od osób, co do których państwo ma uzasadnione powody do podejrzeń, że jest im dobrze: kiedy ktoś się do siebie uśmiecha, kiedy jest

młody, jest zdrowy, jest optymistyczny, pieprzył się w nocy albo gwiżdże sobie w dzień. Tylko takim sukinkotom trzeba zabierać, obłupić ich ze skóry, bez litości!

Większość publiczności klaszcze zachęcająco, ale niektórzy, zwłaszcza młodzi, zaokrąglają po małpiemu usta i buczą. On ociera pot z czoła i policzków czerwoną chustką, ogromniastą czerwoną chustką cyrkowego klauna, pozwalając jednym i drugim droczyć się ze sobą przez jakiś czas, ku obopólnej uciesze. Sam tymczasem łapie na nowo oddech, ocienia ręką oczy i znów szuka mojego wzroku, uparcie potrzebuje mojego spojrzenia. I oto następuje wspólne mruganie oczami, którego nikt prócz nas dwóch, mam nadzieję, nie jest w stanie zauważyć. „Przyszedłeś – mówi jego spojrzenie. – Spójrz, co zrobił z nami czas, stoję tu przed tobą, nie rozczulaj się nade mną".

I natychmiast odwraca się ode mnie, podnosi rękę, uspokaja publiczność: – Jak? Nie dosłyszałem… Mówcie głośniej, stoliku numer dziewięć! Tak, ale najpierw mi wytłumaczcie, jak wy to robicie, bo nigdy nie udało mi się skumać… Jak to co? Ten numer ze ściąganiem brwi! No poważnie, zdradźcie nam to: zszywacie je ze sobą? Uczą was tego na obozach waszego domu kultury? – Nagle staje na baczność i wydziera się na całe gardło: – „Rzeka Jordan ma dwa brwi… znaczy się brzegi! Jeden nasz już jest, drugi zresztą też". À propos ściągniętych brwi, mój ojciec był twardym rewizjonistą, uwielbiał Żabotyńskiego, szacun! – Przy kilku stolikach rozlegają się potężne, prowokujące oklaski. Ucina je lekceważącym machnięciem ręki. – Mów, stoliku dziewięć, gadaj otwarcie, na mój koszt. Co powiedziałeś? To nie żart, gargamelu, dzisiaj naprawdę są moje urodziny. Właśnie w tej chwili, mniej więcej o tej godzinie, w starym szpitalu Hadasa w Jerozolimie moją matkę, Sarę Grinsztajn, chwyciły bóle porodowe! Niewiarygodne, co? Kobieta, która twierdziła, że pragnie jedynie mojego dobra, wydała mnie na świat! No pomyślcie: tyle jest rozpraw w sądzie, tyle więzień, dochodzeń, śledztw i seriali kryminalnych o morderstwach, ale do tej pory nie słyszałem, żeby ktoś kogoś podał do sądu za urodzenie dziecka! Ani za urodzenie z premedytacją, ani za

urodzenie przez zaniedbanie, ani za nieumyślne urodzenie, ani nawet o podżeganie do urodzenia! Nie zapominajcie przy tym, że chodzi o przestępstwo, którego ofiara jest niepełnoletnia! – Rozdziawia usta i nagarnia rękami powietrze na twarz, jakby się dusił. – Czy jest w tej sali sędzia? Albo adwokat?

Kulę się na krześle. Nie pozwalam, żeby złowił mnie wzrokiem. Na moje szczęście siedzące nieopodal trzy młode pary dają mu rękami znaki. Okazuje się, że to studenci prawa z jakiegoś college'u. – A sio, wynocha! – wrzeszczy jak opętany, wymachując rękami i nogami, podczas gdy publiczność zalewa salę deszczem szyderczych gwizdów. – Anioł Śmierci – krztusi się ze śmiechu – staje przed adwokatem i mówi, że nadszedł jego koniec. Prawnik w płacz, zaczyna biadolić: „Jak to, przecież ledwie dociągnąłem do czterdziestki!". Anioł Śmierci na to: „To nie jest kara za liczbę godzin, na którą naciągnąłeś klientów!". – Szybki cios pięścią, pełny obrót wokół własnej osi, studenci śmieją się głośniej niż reszta widzów.

– A teraz kwestia mojej matki. – Twarz mu poważnieje. – Proszę o uwagę, panie i panowie z szanownego jury, bo jest to sprawa najwyższej wagi. Złe języki gadały, ja tylko cytuję, że kiedy mnie podano jej do potrzymania tuż po porodzie, wyglądała na uśmiechniętą, zdaje się nawet, że uśmiechała się r a d o ś n i e. Piiic na wodę, mówię wam! Złośliwe plotki i wulgarne oszczerstwa! – Publiczność zanosi się śmiechem. Mężczyzna znienacka pada na kolana na skraju sceny i pochyla głowę. – Wybacz, mamo, dałem dupy, zdradziłem, znów cię sprzedałem dla taniego poklasku. Jestem tanią kurwą od rozśmieszania, nie umiem się tego wyzbyć… – Podrywa się na równe nogi. Od nagłego skoku chyba zakręciło mu się w głowie, bo balansuje ciałem. – Teraz poważnie, bez żartów, ona była najpiękniejszą matką świata, przysięgam wam, takich już nie produkują: o wielkich niebieskich oczach – rozcapierza przed widownią palce obu rąk, a ja przypominam sobie jaśniejący, przenikliwy błękit jego oczu, kiedy był małym chłopcem – i najbardziej pokręconą na świecie, i najsmutniejszą – szkicuje sobie łzę pod okiem, ale usta ma wciąż wygięte w uśmiech. – Tak wyszło, taki los nam się trafił, nie mam żalu. Ojciec też

w gruncie rzeczy był całkiem wporzo. – Przystaje, wściekle czochrając kłaki włosów po bokach głowy. – Eee… Dajcie mi sekundę, zaraz coś dla was wyszperam… Tak! Był nadzwyczajnym fryzjerem, nie brał ode mnie kasy za strzyżenie, chociaż to było wbrew jego zasadom…

I znów rzuca mi spojrzenie. Sprawdza, czy się śmieję. Ale ja nawet nie próbuję udawać. Zamawiam piwo i popitkę. Jak on to ujął? Trzeba podać środek przeciwbólowy, żeby przez to przejść.

Środek przeciwbólowy? Mnie trzeba całkowitego znieczulenia.

On znowu zaczyna się miotać. Jakby sam siebie poszturchiwał: no dalej, naprzód. Z góry oświetla go pojedynczy reflektor, wokół biegają rozedrgane cienie. Każdy jego ruch odbija się z dziwacznym opóźnieniem w zakrzywieniach wielkiego miedzianego dzbana stojącego za nim, tuż przy ścianie – zapewne pozostałość po jakimś spektaklu, który tu kiedyś odgrywano.

– À propos moich narodzin, Netanjo, poświęćmy pół minutki temu kosmicznemu wydarzeniu, ponieważ ja, nie mówię oczywiście o chwili obecnej, kiedy jestem na absolutnym topie w branży rozrywkowej, jako ikona dzikiego seksu… – Odczekuje, przytakując głową, z szeroko otwartymi ustami. Pozwala, by wybrzmiał ich śmiech. – Ponieważ ja, swego czasu, u zarania autobiografii, krótko mówiąc, kiedy byłem mały, byłem totalnie rąbnięty, wszystkie kable w łepetynie na odwrót mi popodłączali, nie wyobrażacie sobie takiego świrusa… No naprawdę – uśmiecha się – chcesz się pośmiać, Netanjo? Serio chcecie się pośmiać? Przecież pytanie jest do dupy – beszta sam siebie. – Halo! To jest stand-up! Jeszcze tego nie załapałeś, d e b i l k u? – I raptem wyprostowaną ręką, niewiarygodnie mocno uderza się w czoło: – Właśnie po to tutaj przyszli! Żeby się z ciebie pośmiać! Co nie, kochani moi?

To był straszny cios, walnięcie z całej siły w czoło. Niespodziewany wybuch przemocy, wyciek mrocznej informacji należącej do zupełnie innej sfery. Zalega cisza. Ktoś miażdży zębami twardy cukierek, dźwięk roznosi się w całej sali. Dlaczego nalegał, żebym tu przyszedł? Po co mu było

zapraszać płatnego mordercę, zastanawiam się, skoro sam radzi sobie całkiem nieźle?

– Coś wam opowiem – mówi tak donośnie, jakby tamten cios nigdy się nie wydarzył. Jakby nie miał na czole białej plamy, która teraz czerwienieje, i jakby okulary wcale mu się na nosie nie przekrzywiły. – Pewnego razu, miałem chyba dwanaście lat, postanowiłem, że sprawdzę, co właściwie działo się dziewięć miesięcy przed moim narodzeniem, co tak podjarało mojego ojca, żeby dorwać się do matki. Zrozumcie, że poza mną samym nie zebrano żadnych innych dowodów na aktywność wulkaniczną w jego spodniach. Nie chodzi o to, że jej nie kochał, posłuchajcie: czego ten facet nie wyrabiał od chwili, gdy otwierał rano oczy, aż do pójścia spać, wszystkie te jego kombinacje ze składami towarów i motorowerów, z częściami zamiennymi, szmatami i suwakami, i innymi pierdółkami… Udawajcie, że niby rozumiecie, o czym mówię, dobra? Grzeczna Netanja. No więc dla niego wszystkie te bzdety, bardziej niż zarobek, bardziej niż cokolwiek innego, były ważne po to, żeby jej zaimponować, wywołać uśmiech na jej twarzy, żeby go po główce pogłaskała: dobry piesek, dobry pieseczek. Niektórzy faceci piszą wiersze dla swoich ukochanych, zgadza się? – Tak – odpowiada parę głosów z widowni, wciąż lekko skonsternowanych. – A niektórzy śpiewają im serenady, zgadza się? – Tak, zgadza się! – dołączają nieśmiało inne głosy. – Są też tacy, co na przykład kupują im brylanty, penthouse'y, range rovery, designerskie gruszki do lewatywy, zgadza się? – Taaak! – skwapliwie krzyczy teraz mnóstwo głosów, pragnąc się przypodobać. – I są tacy, jak mój ojczulek, co kupują dwieście par podrobionych dżinsów od rumuńskiej babiny na ulicy Allenby'ego: „Rumun ograbi, Polak oszwabi", i potem sprzedają w zakładzie fryzjerskim, na zapleczu, jako oryginalne lewisy, a po co to wszystko? Po to, żeby wieczorem móc jej pokazać w swoim kapowniku, ile grosza z tego wyciągnął…

Przystaje, oczyma błądzi po całej sali i przez chwilę, w niewytłumaczalny sposób, publiczność wstrzymuje oddech, jakby i ona raptem coś zauważyła.

– Ale żeby jej normalnie dotknął, tak jak mężczyzna dotyka kobiety, niechby nawet klepnął po pupie w przedpokoju albo chociaż musnął, jakby pitą zgarniał hummus – o nie, w życiu nie widziałem, żeby to zrobił. Więc powiedzcie mi, kochani moi, w końcu jesteście inteligentnymi ludźmi, skoro zdecydowaliście się zamieszkać w Netanji, no to wytłumaczcie mi teraz, czemu on jej nigdy nie dotknął, a? Bóg, kurwa mać, raczy wiedzieć. Chwilka, co takiego… – Staje na palcach, wytrzepuje spod powiek spojrzenie poruszone i pełne wdzięczności. – Serio chcecie posłuchać? Naprawdę macie ochotę na zasrane dzieje mego królewskiego rodu? – W tej kwestii publiczność jest podzielona: niektórzy krzyczą zachęcająco, inni wrzeszczą, żeby wreszcie zaczął opowiadać dowcipy, i to coś do śmiechu. Dwójka bladych motocyklistów w czarnych skórzanych kombinezonach bębni na cztery ręce w stół, aż szklanki z piwem podrygują. Trudno powiedzieć, po czyjej są stronie, może po prostu cieszy ich podgrzewanie atmosfery. Wciąż nie jestem w stanie się zorientować, czy są to chłopcy, chłopak i dziewczyna, czy może dwie dziewczyny.

– Niemożliwe, własnym uszom nie wierzę! Serio? Naprawdę macie teraz chrapkę na telenowelę „Saga rodu Grinsztajnów”? Niech no skumam, Netanjo, próbujecie rozgryźć zagadkę mojej magnetycznej osobowości? – Miga do mnie rozbawionym, wyzywającym wzrokiem. – Naprawdę myślicie, że uda wam się to, na czym badacze autobiografii resztki zębów sobie połamali, i to z wielką pompą? – Prawie cała widownia klaszcze. – No to naprawdę jesteście mi braćmi! Jesteśmy ziomalami i kwita, Netanjo! Związek miast partnerskich! – Rozczula się, wytrzeszczając oczy, z których wyziera bezkresna niewinność. Publiczność nabrzmiewa śmiechem. Ludzie uśmiechają się do sąsiadów. Nawet do mnie dociera kilka zbłąkanych uśmiechów.

On stoi na brzegu sceny, ostre czubki butów wystają poza krawędź, i wylicza na palcach hipotezy. – Numer jeden: może ubóstwiał ją tak bardzo mój ojczulek, że bał się jej dotknąć? Numer dwa: może ją brzydziło to, że po umyciu głowy kręcił się po domu z czarną siateczką na włosach? Numer trzy: może z powodu jej Holokaustu oraz tego, że on nie brał w nim

udziału, nawet w roli statysty? Zrozumcie: facet nie tylko nie wyleciał kominem, ale nawet nie został ranny w Holokauście! Numer cztery! Może ja i wy jeszcze nie dorośliśmy do tego, żeby nasi rodzice mogli się ze sobą zejść? – Na widowni wybucha śmiech, a on, ten komik, ten pajac, znowu biega po scenie. Dżinsy na kolanach ma podarte, ale pyszni się parą czerwonych szelek z pozłacanymi sprzączkami, a do niewielkich kowbojskich butów ma przypięte srebrne gwiazdy szeryfa. Teraz zauważam, że na jego karku podskakuje krótki, mizerny warkoczyk.

– Krótko mówiąc, tylko dokończę tę historyjkę, żebyśmy wreszcie mogli zacząć wieczór, który zaraz się skończy. Otóż wasz szczerze oddany otworzył kalendarz, przewertował go wstecz, dokładnie dziewięć miesięcy od jego urodzenia, znalazł datę i z tą datą pogalopował żwawo do stosu rewizjonistycznych gazetek „Cherut" zgromadzonych przez ojca; pół pokoju w naszym domu zajmował rewizjonizm, drugie pół wypchane było szmatami, które ojczulek sprzedawał, dżinsami, hula-hopami i pułapkami na ultrafiolet do wybijania karaluchów. Udawajcie…

– …że niby rozumiecie – kończą za niego rozbawione głosy w pobliżu baru, wtórując gestom jego ręki, która kręci młynka.

– Super, Netanjo. – Nawet kiedy się śmieje, wzrok ma bardzo skupiony i pozbawiony radości, jakby monitorował ruchomą taśmę, po której toczą się padające z jego ust dowcipy. – Tymczasem my we trójkę, znaczy się biologiczna substancja naszej rodziny, tłoczyliśmy się w pozostałym półtora pokoju, tak na marginesie: ani jednej kartki z „Cherut" nie pozwolił wyrzucić. „Jeszcze się przekonacie, to będzie biblia przyszłych pokoleń!", mawiał do nas, wystawiając palec w górę, przy czym mały wąsik sterczał tak, jakby mu jaja prądem popieścili. No i tam, właśnie pod tą datą, dziewięć miesięcy, zanim się wyklułem i naruszyłem ekologiczną równowagę, „od śmietnika do nowej puszki", na co, jak sądzicie, natknął się wasz szczerze oddany? Łup, zarył nosem prosto w kampanię synajską! Dobrze skumaliście? Powiedzcie sami, czy to nie jest totalnie pojebane? Abdel Naser ogłasza, że nacjonalizuje Kanał Sueski i zamyka nam go prosto przed pyskiem, a mój ojczulek, Chezkel Grinsztajn z Jerozolimy,

metr pięćdziesiąt dziewięć, owłosiony jak małpa, o usteczkach grzecznej panienki, nie waha się ani chwili i wyrusza, żeby go z powrotem otworzyć! Więc tak po prawdzie, jak się nad tym dobrze zastanowić, to ja w gruncie rzeczy jestem czymś w rodzaju akcji odwetowej. Kapujecie? Jestem pierwszym twardym rewanżem izraelskiej prawicy. Załapaliście? Mieliśmy w historii kampanię na Synaju, bitwę pod Karameh, rajd na Entebbe, akcję Chuj-wie-gdzie i mamy też operację „Grinsztajn", co do której nie czas jeszcze na ujawnianie wszystkich szczegółów, ale tak się składa, że zachowało się rzadkie nagranie z sypialni, choć nie nadzwyczajnej jakości: „Pani Grinsztajn, proszę rozsunąć nogi! A masz, a masz, egipski tyranie!". Tadammm! Wybacz, mamo! Wybacz, tato! Moje słowa zostały wyjęte z kontekstu! Znowu dopuściłem się zdrady!

I wraz z ostatnim słowem znów okłada się obiema rękami po całej twarzy, z niepojętą wściekłością. Raz za razem.

Przez chwilę czuję metaliczno-rdzawy smak w ustach. Obok mnie ludzie wiercą się na krzesłach, trzepocząc powiekami. Przy sąsiednim stoliku jakaś kobieta szepcze coś ostrym tonem do męża i chwyta za torebkę, a on kładzie rękę na jej udzie, żeby ją powstrzymać.

– A teraz, Netanjo, *mon amour*, solo tej ziemi, tak à propos, czy to prawda, że jak ktoś tutaj na ulicy pyta, która godzina, to zazwyczaj okazuje się, że jest tajniakiem? Żartowałem! Ot taki mały żarcik! – Kurczy się cały, strosząc brwi, oczy ma niespokojnie rozbiegane. – Nie ma tu przypadkiem jakiegoś mafiosa z klanu Alperonów na widowni, żebyśmy mogli złożyć mu hołd? Albo jakiegoś Abutbula? Jakichś kolesi Dede? Beber Amar tu nie zawitał? Ani żaden krewny i znajomy Borisa Elkosza? Albo Pinusa Małego? A może Tiran Szirazi zaszczyca nas dziś swoją obecnością? Ben Sutchi? Rodzinka Chananii Elbaza? Elijahu Rustaszwili? Szimon Buzatow?

Słabiutkie oklaski stopniowo dołączają do jego słowotoku. Mam wrażenie, że pomagają ludziom otrząsnąć się z paraliżu, jaki przed chwilą nimi owładnął.

– No – wykrzykuje – nie zrozumcie mnie źle, tylko się upewniam, Netanjo, po prostu robię rekonesans! Zawsze jak mam gdzieś występ,

najpierw sprawdzam w Googlach, jakie jest ryzyko…

I w tym momencie raptem się wyczerpuje. Jakby w jednej chwili opustoszał w środku. Kładzie ręce na biodrach i dyszy. Jego oczy lodowacieją, zawieszone w kosmicznej próżni, zastygłe pośrodku twarzy jak ślepia starca.

*

Zadzwonił do mnie jakieś dwa tygodnie temu. O godzinie jedenastej trzydzieści wieczorem. Wróciłem właśnie ze spaceru z suczką. Przedstawił się. W jego głosie było jakieś napięte i uroczyste oczekiwanie. Nie zareagowałem na to. Zmieszał się i spytał, czy to ja i czy jego nazwisko nic mi nie mówi. Powiedziałem, że nie. Czekałem. Wkurza mnie, kiedy ludzie zadają mi takie zagadki. Nazwisko, owszem, brzmiało znajomo, mętnie, ale znajomo. Nikt, kogo poznałem w pracy, tego byłem pewien: awersja, jaką odczuwałem, była zupełnie innego rodzaju. To ktoś z węższego kręgu, pomyślałem. Z większym potencjałem czynienia krzywdy.

– Auć, to boli – zażartował. – Byłem pewien, że pamiętasz… – Śmiech miał spowolniony, głos lekko zachrypnięty i przez chwilę pomyślałem, że jest pijany. – Nic się nie przejmuj – powiedział – będę gadać krótko. – Tu zachichotał: – W ogóle jestem krótki, niecałe metr sześćdziesiąt, jak umrę, to pochowają mnie w kwaterze Małych Ludzi Naszego Narodu.

– Powiedz – odparłem – o co ci właściwie chodzi?

Umilkł, zaskoczony. Jeszcze raz się upewnił, czy to na pewno ja. – Mam do ciebie prośbę – powiedział, z miejsca zmieniając ton na rzeczowy i konkretny. – Wysłuchaj mnie i zdecyduj, nic wielkiego się nie stanie, jeśli powiesz „nie”. *No hard feeling*. Nie zje ci to zbyt wiele czasu, chodzi o jeden wieczór. No i ma się rozumieć, zapłacę, ile tylko zechcesz, nie zamierzam się z tobą targować.

Siedziałem w kuchni, wciąż trzymając suczkę na smyczy. Stała tam słabowita, węsząc, spoglądając na mnie swoimi ludzkimi oczami, jakby zdziwiona, że ciągle wiszę na telefonie.

Ogarnęło mnie dziwne znużenie. Miałem wrażenie, że między mną i tym człowiekiem toczy się równolegle jakaś inna zagmatwana rozmowa, a ja jestem zbyt niemrawy, żeby za nią nadążać. Najwyraźniej czekał na odpowiedź, lecz nie wiedziałem, o co prosi. A może już wypowiedział swoją prośbę, tyle że jej nie dosłyszałem? Pamiętam, że patrzyłem na swoje buty. Było w nich coś, może sposób, w jaki zwróciły się do siebie, co nagle chwyciło mnie za gardło.

*

Powoli sunie po scenie w kierunku fotela stojącego na końcu, po prawej stronie. Wielki, zwalisty czerwony fotel. Być może – tak jak ogromny miedziany dzban – też jest rekwizytem z jakiegoś spektaklu wystawianego kiedyś w tej sali. Wzdychając, osuwa się na fotel i zapada w nim coraz głębiej i głębiej, lada chwila cały utonie.

Ludzie zaglądają do kieliszków z winem, kręcą nimi kółeczka, w roztargnieniu skubią orzeszki z salaterek.

Cisza.

Potem zduszone chichoty: on wygląda jak mały chłopczyk w fotelu dla olbrzymów. Zauważam, że niektórzy próbują tłumić wybuch śmiechu i unikają jego wzroku, jakby w obawie, że dadzą się wciągnąć w jakiś pokrętny wewnętrzny rozrachunek, który prowadzi z sobą samym. Być może czują, tak jak ja, że poniekąd już się w ten rozrachunek i w tego faceta uwikłali bardziej, niżby chcieli. Z wolna unoszą się jego buty, ukazując wysokie, trochę kobiece obcasy. Chichoty przybierają na sile, zazębiają się o siebie i w końcu śmiech zalewa całą salę.

Mężczyzna wierzga nogami i trzepocze rękoma, jakby tonął, drze się na całe gardło i krztusi, aż wreszcie wyrywa się z objęć przepastnego fotela, skacze na nogi i staje parę kroków dalej, dysząc i spoglądając na niego z przestrachem. Publiczność śmieje się z ulgą – stary dobry numer – on spogląda na nich z nieopisaną zgrozą, więc rechoczą jeszcze głośniej. W końcu i on raczy się uśmiechnąć, wchłania w siebie szczodrość śmiechu

widowni. I znów ta sama nieoczekiwana miękkość łagodzi jego twarz, a publiczność odpowiada, rozmiękczając się bezwiednie na ten widok. Nasz komik, żartowniś, błazen delektuje się odbiciem swojego uśmiechu na twarzach ludzi, przez chwilę można sądzić, że wierzy w to, co widzi.

Ale zaraz znowu, jakby ani przez moment nie był w stanie znieść uczucia sympatii, rozciąga usta w cienką, zdegustowaną linię. Widziałem ten grymas już wcześniej: małego gryzonia błyskawicznym ruchem kąsającego własne ciało.

*

– Bardzo przepraszam, że tak się wtryniam w twoje życie – powiedział mi podczas tamtej nocnej rozmowy przez telefon. – Ale tak jakoś sobie pomyślałem, że ze względu, no wiesz, na urok młodości… – Znów zachichotał. – Koniec końców można powiedzieć, że razem wystartowaliśmy, no a ty, po prostu, poszedłeś w swoją stronę, gratulacje, wielki szacun… – Zawahał się, odczekał, żebym sobie odświeżył pamięć, żebym w końcu się obudził. Nawet nie podejrzewał, jak zawzięcie uczepiłem się swojej śpiączki i jaki potrafię być agresywny wobec każdego, kto by próbował mnie od niej oderwać. – Zajmie mi minutkę, żeby ci wyjaśnić, nie więcej – powiedział. – Góra minutkę ze swojego życia mi poświęcisz, wporzo?

Facet niechybnie jest w moim wieku, a mówi młodzieżowym slangiem: nie wróży to nic dobrego. Zamknąłem oczy i usiłowałem sobie przypomnieć. Urok młodości… Z której młodości do mnie przybywa? Z dzieciństwa spędzonego w Gederze? Z tych lat, kiedy krążyłem z rodzicami, z powodu interesów mojego ojca, między Paryżem i Nowym Jorkiem, Rio de Janeiro i Meksykiem? A może z czasu, gdy wróciliśmy do Izraela i poszedłem do szkoły średniej w Jerozolimie? Próbowałem myśleć szybko, żeby znaleźć drogi ewakuacji. Ten głos wlókł za sobą udrękę, jakieś cienie duszy.

– Powiedz mi szczerze – wybuchnął nagle. – Albo udajesz, albo stałeś się takim ważniakiem, że nie… Jak możesz nie pamiętać?!

Od dawna nikt w ten sposób do mnie nie mówił. Jakby wlewał strumień świeżego i czystego powietrza, jakby oczyszczał z niesmaku, jaki odczuwam wobec pustego nabożnego poważania, które zazwyczaj mnie otacza, mimo że od trzech lat jestem na emeryturze.

– Jak można czegoś takiego nie pamiętać? – Pienił się ze złości. – Przez cały rok braliśmy korepetycje u tego, jak mu tam, Kalczinskiego w Bajit wa-Gan, a potem szliśmy razem do autobusu…

Powoli do mnie wracało. Przypomniałem sobie małe mieszkanko, w którym ciemność zalegała nawet w południe, a potem wychynął z mojej pamięci ponury nauczyciel, bardzo wysoki, chudy i przygarbiony, tak że czasem zdawało mi się, że dźwiga strop na barkach. Było nas pięciu czy sześciu chłopców, matematycznych nieudaczników, którzy zlecieli się z kilku szkół w mieście, żeby brać prywatne lekcje.

Wypuścił burzliwy potok słów, żeby przypomnieć mi o dawno zapomnianych rzeczach, żeby pokazać, jak bardzo jest urażony. Słuchałem i nie słuchałem. Nie miałem siły na takie emocjonalne wstrząsy. Przebiegłem oczami po sprzętach w kuchni, które powinienem naprawić, pomalować, naoliwić, uszczelnić. W języku Tamary takie przyziemne obowiązki nazywało się aresztem domowym.

– Wymazałeś mnie – powiedział z niedowierzaniem.

– Przykro mi – wybąkałem i dopiero wtedy, gdy usłyszałem własne słowa, nagle zdałem sobie sprawę, że powinno mi być przykro. Ujawnił to mój ciepły głos i z tego ciepła wyłonił się, kropka po kropce, tamten chłopiec o bardzo jasnej karnacji, piegowaty, dosłownie całe policzki miał usiane cętkami. Niski, chudy dzieciak w okularach, o wydętych ustach, wyzywających i niespokojnych. Chłopiec, który trajkotał jak katarynka i zawsze był lekko zachrypnięty. I natychmiast przypomniałem sobie, że mimo jasnej karnacji i różowawych piegów jego kręcone włosy były bardzo ciemne, czarne jak węgiel czy smoła, a na mnie ten kontrast kolorów robił osobliwe wrażenie.

– Pamiętam cię – powiedziałem nieoczekiwanie. – Oczywiście, kiedyś chodziliśmy razem… Nie wierzę, że mogłem tak…

– Dzięki Bogu – westchnął. – Bo już zaczynałam myśleć, że coś mi się ubzdurało.

*

– Dooobry wieczór oszałamiającym ślicznotkom z Netanji! – Znów się kręci i pląsa na scenie, postukując obcasami. – Znam was, dziewczyny, dobrze was znam, od środka… O co pytałeś, stoliku trzynaście? Niezły masz tupet, mówił ci to już ktoś? – Twarz mu smutnieje i przez chwilę wydaje się, że faktycznie jest obrażony: – No wiesz, żeby do takiego nieśmiałego, zamkniętego w sobie faceta wystartować z takim bezczelnym pytaniem!… Jasne, że miałem netanjanki! – Przywołuje na twarz szeroki, okrągły uśmiech, obraca go całymi ustami. – Nie wybrzydzałem! Czasy były ciężkie, trzeba było się zadowolić, czym popadło… – Widzowie, mężczyźni i kobiety, walą rękami w stoliki, wrzeszczą „buuu", gwiżdżą, chichrają się, on zaś przyklęka na jedno kolano przed trzema rozbawionymi, opalonymi na brąz staruszkami o niebieskawych fryzurach, ułożonych głównie z powietrza. – Witam stolik numer osiem! Cóż to dziś świętują nasze piękności? Czyżby któraś akurat w tej sekundzie owdowiała? Czy jakiś wykończony mężczyzna właśnie oddaje ducha na oddziale geriatrycznym? Dawaj, chłopie, nie odpuszczaj! – dopinguje na odległość wyimaginowanego męża. – Jeszcze jedno pchnięcie i będziesz wolny! – Kobiety zaśmiewają się, wymachując rękami. On tańczy wokół siebie na scenie, w pewnej chwili niemal z niej spada, a publiczność rechocze jeszcze głośniej. – Trzech facetów! – krzyczy, wystawiając trzy palce. – Trzech kolesi, Włoch, Francuz i Żyd, siedzi w barze i przechwala się, jak robią dobrze swoim żonom. Francuz mówi: „Ja swoją mademoiselle smaruję od stóp do głów masłem z Normandii, a potem, już po wszystkim, ona krzyczy z rozkoszy jeszcze przez pięć minut". Włoch mówi: „Ja, kiedy bzykam swoją signorę, to najpierw smaruję całe jej ciało, od góry do dołu,

oliwą z oliwek, którą kupuję w pewnej wsi na Sycylii, i po szczytowaniu ona krzyczy jeszcze przez dziesięć minut". Żyd nic nie mówi. Milczy. Francuz i Włoch patrzą na niego: „A co z tobą?". „Ja? – pyta Żyd. – Ja smaruję swoją Pesię gęsim smalcem i po tym, jak szczytuje, krzyczy jeszcze przez godzinę". „Godzinę? – Francuz i Włoch nie mogą wyjść z podziwu: – Jak ty to robisz?". „Oj tam – mówi Żyd – zwyczajnie, wycieram ręce o firankę".

Gromki śmiech. Mężczyźni i kobiety wokół mnie wymieniają przeciągłe miłosne spojrzenia. Zamawiam focaccię i pieczonego bakłażana z pastą Tahiti. Nagle dopadł mnie głód.

– Na czym stanąłem? – ćwierka radośnie, kątem oka śledząc moją rozmowę z kelnerką, najwyraźniej zadowolony, że zamówiłem coś do jedzenia. – Gęsi smalec, Żyd, jego żonka… Rzeczywiście wyjątkowym jesteśmy ludem, co nie, kochani? Nie ma, po prostu nie ma takiego drugiego jak nasz żydowski naród. Nadzwyczajny! Najwybrańszy! Superwybrany! – Aplauz na widowni. – Prawdę mówiąc, w tej kwestii, jeśli pozwolicie na malutką dyg…dewiację, jak powiedział pewien nekrofil do swojej nieboszczki teściowej, ależ mnie wkurwia ten nowy antysemityzm! Serio, bo do starego jako tako się przyzwyczaiłem, nawet go ciut polubiłem, te urocze legendy, bajeczki o Mędrcach Syjonu, co siedzą w kupie jak banda brodatych trolli o wielgachnych nosach, mlaszczą nad michą trądu z kolendrą i zarazą, wymieniają się przepisami na duszoną quinoę do zatruwania studni, od czasu do czasu zarzynają chrześcijańskie dzieciątko na macę: hej chłopaki, zauważyliście, że w tym roku bachory wyjątkowo słabo się wykrwawiają? Z tym wszystkim nauczyliśmy się już żyć, przywykliśmy, niech tam, część naszego dziedzictwa, jak to się mówi. A tu raptem przyłażą do ciebie kolesie ze swoim nowym antysemityzmem, no i nie wiem, jakoś mi to nie w smak, czuję jakby lekką niechęć – zaciska palce i wzrusza ramionami, autentycznie zagubiony. – Nie wiem, jak to ująć, żeby, broń Boże, tych nowych antysemitów nie urazić, ale do kurwy nędzy, chłopaki, nie sądzicie, że wasza postawa jest odrobinkę irytująca? Bo czasem sobie

myślę, że jak jakiś izraelski naukowiec, weźmy pierwszy z brzegu przykład, nagle wynajdzie lek na raka… Tak, tak, lekarstwo, które wykończy raka raz na zawsze, to daję wam tysiąc procent gwarancji, że zaraz podniosą się głosy na całym świecie, będą protesty i demonstracje, głosowania w ONZ i artykuły we wszystkich europejskich gazetach, że właściwie z jakiej racji mielibyśmy krzywdzić raka. A jeśli już krzywdzić, to trudno, ale po co od razu niszczyć? Czemu nie spróbować najpierw się z nim dogadać, zawrzeć kompromis? Po co od razu używać siły? Czemu nie postawimy się wpierw na jego miejscu i nie próbujemy zrozumieć, na przykład, jak on sam doświadcza choroby, ze swojego punktu widzenia? No i nie zapominajmy, że rak ma też pewne pozytywne aspekty. To fakt, przecież wielu poszkodowanych wam powie, że zmaganie z nowotworem uczyniło ich lepszymi ludźmi! Trzeba też pamiętać, że badania nad rakiem doprowadziły do odkrycia leków na inne choroby, i teraz raptem wszystko miałoby się zakończyć, w dodatku totalnym unicestwieniem? Jak to, historia niczego nas nie nauczyła? Zapomnieliśmy już o ciemnych wiekach? No i w ogóle – robi zadumaną minę – czy człowiek rzeczywiście ma w sobie coś, co czyni go lepszym od raka i w związku z tym uprawnia do niszczenia?

Publiczność słabiutko klaszcze. On galopuje dalej…

– Cuuudownego wieczoru życzę też wam, drodzy panowie! Nic nie szkodzi, że przyszliście. Jak będziecie siedzieć cicho, pozwolimy wam zostać w roli obserwatorów, ale jeśli będziecie niegrzeczni, to wyślemy wszystkich do sali obok na chemiczną kastrację, w porząsiu? A zatem, drogie lejdis, pozwólcie, że wreszcie przedstawię się w sposób oficjalny, koniec z dzikimi domysłami, wiem, że umieracie z ciekawości, żeby się dowiedzieć, kim jest ten tajemniczy i szarmancki mężczyzna Dowale G., to jest dopiero imię, to dopiero chwytliwy slogan, najbardziej udana marka w całym oświeconym świecie na południe od Nilu! A do tego łatwe do zapamiętania: Dowale, jak wypierdek w kanale, co gania krasnale, oraz G., jak pewien apetyczny punkcik, cymes dla naszych penisów. Cały jestem wasz, dziewczyny, łatwy łup dla waszych najdzikszych fantazji, od teraz aż

do północy. „Dlaczego tylko do północy?", spytacie zawiedzione. Bo gdy wybije dwunasta, wrócę do domu i tylko jedna ze wszystkich zgromadzonych tu ślicznotek dostąpi szczęścia, by mi towarzyszyć i stopić się w jedno z moim aksamitnym ciałem. To będzie noc bliskości pionowej i poziomej, połączonej z wymianą drobnoustrojów, oczywiście na tyle, na ile pozwoli niebieska pigułka szczęścia, która przez parę godzin daje mi, a właściwie wypożycza to, co odebrał rak prostaty. Tu otwieram nawias: co za kretyn z tego raka, jakby mnie kto pytał. Serio, bo spójrzcie sami, ile mam pięknych, atrakcyjnych części ciała. Ludzie przyjeżdżają aż z Aszkelonu, żeby obejrzeć to niebywałe dzieło sztuki. Idealnie zaokrągloną piętę, na przykład – obraca się i staje tyłem do publiczności, z wdziękiem wymachując butem – albo rzeźbione uda, albo jedwabistą klatkę piersiową, albo falujące owłosienie. Tymczasem ten degenerat woli tarzać się w jakichś prostatach! Pewnie go siuśki podniecają, ależ mnie rozczarował. Zamykam nawias. Ale zanim nadejdzie północ, kochane moje, rozniesiemy tę budę, będzie tu furczało od rozśmieszania i przedrzeźniania, zobaczycie pełny zestaw moich numerów z ostatnich dwudziestu lat, zgodnie z tym, co zostało niezapowiedziane w obwieszczeniach, bo komu by się chciało wydać choćby jednego szekla na promocję mojego występu, nie licząc reklamy wielkości znaczka w bezpłatnie rozdawanej w Netanji gazetce? Skurwiele, nawet karteczki z ogłoszeniem nie zawiesili na przydrożnym drzewie. Zaoszczędziłeś na mnie, co, Joaw? Niech ci wyjdzie na zdrowie, skarbie. Zaginiony rottweiler Picasso dostał na słupach ogłoszeniowych więcej czasu antenowego niż ja, sprawdziłem to, chodząc od jednego słupa do drugiego w tej cudnej strefie przemysłowej. Szacun dla ciebie, Picasso, żeś wszystko olał, i nie spiesz się z powrotem do domu, dobrze ci radzę. Najlepszy sposób, żeby cię gdzieś docenili, to zniknąć, jasne? Czy nie taki pomysł krył się za całą tą autoreklamą Pana Boga podczas Holokaustu? Czy nie na tym opiera się koncepcja śmierci?

Publiczność jest wprost zachwycona.

– No powiedzcie mi, Netanjo, czy ludzie nie mają najebane w głowach, kiedy rozlepiają ogłoszenia o zgubionych czworonogach? „Zaginął złoty chomiczek, kuleje na jedną łapkę, cierpi na zaćmę, uczulony na gluten, ma alergię na mleczko migdałowe". Halo, jaki macie z tym problem? W ciemno wam mogę powiedzieć, bez szukania, gdzie on jest: wasz chomik trafił do hospicjum.

Publiczność odpowiada gromkim śmiechem, odpręża się nieco, jakby wyczuwała, że gdzieś tam niebezpieczny błąd nawigacyjny został skorygowany.

*

– Chcę, żebyś przyszedł na mój występ – powiedział przez telefon, kiedy zdołał przełamać opór mojej upartej pamięci i przywołaliśmy garść całkiem miłych wspomnień z tamtych chwil, gdy w dzielnicy Bajit wa-Gan chodziliśmy we dwójkę, dwa razy w tygodniu, do autobusu, którym jechałem do domu w Talpijot. Rozprawiał o tych spacerach z wielkim entuzjazmem: – Nawiązaliśmy wtedy prawdziwą przyjaźń – powtórzył ze dwa czy trzy razy, chichocząc dziwnie wesoło. – Szliśmy sobie i gadaliśmy, gadaliśmy, taka przyjaźń walkie-talkie. – Wspominał potem najdrobniejsze szczegóły, jakby tamta króciutka znajomość była czymś najlepszym, co mu się w życiu przydarzyło. A ja słuchałem cierpliwie, czekając, kiedy się wreszcie dowiem, czego właściwie ode mnie chce, abym mógł odmówić, zbytnio go nie urażając, po czym znów usunąć ze swojego życia.

– Co to za występ, który miałbym obejrzeć? – przerwałem mu, gdy nabierał oddechu.

– No cóż, ja, jak by to ująć – zarechotał – w zasadzie robię stand-up.

– Ach – powiedziałem z ulgą. – To nie dla mnie.

– Wiesz, co to jest stand-up? – zaśmiał się cicho. – Jakoś nie wyobrażam sobie, że ty w ogóle… Widziałeś kiedykolwiek taki pokaz?

– Od czasu do czasu, w telewizji – odparłem. – Nie bierz tego osobiście, ale do mnie to naprawdę nie przemawia.

Naraz uwolniłem się od paraliżu, który mną owładnął w chwili, gdy odebrałem telefon. Jeśli początkowo w jego prośbie tkwiła tajemniczość albo niejasna zapowiedź, powiedzmy, odnowienia starej przyjaźni, to teraz wszystko prysło, rozpadło się na kawałki: komediowy występ stand-up.

– Słuchaj – powiedziałem. – Nie jestem właściwym targetem. Wszystkie te zabawy, żarty, śmichy-chichy to nie dla mnie, nie na moją głowę i nie na mój wiek. Przykro mi.

– Okej – odpowiedział powoli. – Wyraziłeś się jasno, nie sposób posądzić cię o wieloznaczność.

– Nie zrozum mnie źle – odparłem i zauważyłem, że suczka nadstawia uszu, zerkając na mnie zaniepokojona. – Jestem pewien, że mnóstwo ludzi uwielbia tego rodzaju rozrywkę, nikogo nie oceniam, każdy ma prawo lubić, co mu się podoba…

Zdaje się, że dorzuciłem jeszcze parę banałów w tym duchu. Na szczęście nie wszystko pamiętam. Nie mam nic do powiedzenia na swoją obronę, z wyjątkiem chyba tego, że od samego początku przeczuwałem, a może mgliście pamiętałem, że ten człowiek ma pewne zdolności, talent wytrycha – znienacka wróciło do mnie to powiedzonko z dzieciństwa – i że muszę mieć się na baczności.

Ale to, ma się rozumieć, w żadnym razie nie usprawiedliwia mojej napastliwości. Bo raptem, ni w pięć, ni w dziesięć, natarłem na niego, jakby reprezentował arogancję całego rodzaju ludzkiego, w każdej możliwej postaci.

– Bo dla was – zagotowałem się z oburzenia – tak naprawdę wszystko jest tylko pretekstem do śmiechu, każda rzecz i każda osoba, wszystko, jak leci, czemu nie, skoro ma się odrobinę talentu do improwizacji i dobry refleks, to z każdej rzeczy można zrobić dowcip albo parodię, albo karykaturę: z choroby, śmierci, wojny, wszystko da się wyśmiać, tak?!

Zapadła długa cisza. Krew powoli odpłynęła mi z głowy, pozostawiając w mózgu uczucie lodowatego zimna. I zdumienia z powodu samego siebie. Tego, co mnie nagle ugryzło.

Słyszałem, jak dyszy. Czułem, że Tamara kurczy się we mnie w środku. „Jesteś pełen gniewu", powiedziała. Jestem pełen nostalgii, pomyślałem. Nie widzisz tego? Cierpię na zatrucie tęsknotą.

– Z drugiej strony – wybąkał zdławionym głosem, z taką żałością, że zmiażdżyła mi serce – prawda jest taka, że stand-up nie rajcuje mnie jak dawniej. Kiedyś owszem, kiedyś był dla mnie jak balansowanie na linie. W każdej chwili można się roztrzaskać na oczach widowni. Chybiłeś o włos z puentą, wetknąłeś jedno słówko w zdaniu nie tam, gdzie trzeba, albo podniosłeś ociupinkę głos tam, gdzie należało zniżyć, i publiczność ci z miejsca lodowacieje. A sekundę później popieścisz we właściwy sposób, a ona już rozkłada nogi.

Suczka chłeptała wodę. Jej długie uszy dotykały podłogi po obu stronach miski. Wielkie łyse placki wylazły jej na całym ciele, jest prawie ślepa. Weterynarz bez przerwy mnie nagabuje, że powinienem ją uśpić. On ma trzydzieści jeden lat. Wyobrażam sobie, że jego zdaniem ja też jestem już w kolejce do eutanazji. Zarzuciłem nogi na stojące obok krzesło. Próbowałem się uspokoić. Trzy lata temu z powodu takich wybuchów nieopanowania straciłem pracę. A teraz pomyślałem: kto wie, co tym razem straciłem?

– Z trzeciej strony – ciągnął, a ja dopiero wtedy zdałem sobie sprawę, jak długo trwała między nami cisza, gdy każdy pogrążył się we własnych myślach – na stand-upie czasem jednak udaje się ludzi rozśmieszyć, to też nie w kij dmuchał.

Ostatnie słowa wypowiedział cicho, jakby do siebie, a ja pomyślałem: ma rację, że nie w kij dmuchał, to wielka rzecz. Weźmy mnie, na przykład: ledwie pamiętam dźwięk własnego śmiechu. I omal nie poprosiłem, żebyśmy w tym miejscu przerwali i zaczęli całą rozmowę od nowa, tym razem jak dwaj normalni ludzie, żebym przynajmniej mógł wyjaśnić, jak mogłem o nim zapomnieć i jak to się stało, że moja niechęć do wspominania jednej ważnej, bolesnej rzeczy, która należy już do historii, zaciemniła i powoli wymazuje ogromne połacie całej mojej przeszłości.

– Czego od ciebie chcę? – Wziął głęboki oddech. – No dobra, prawdę mówiąc, teraz nie jestem już pewien, czy to w ogóle aktualne…

– Rozumiem, że chcesz, żebym przyszedł na twój występ.

– Tak.

– Ale po co? Do czego ci jestem tam potrzebny?

– Wiesz co, na tym pic polega… Nawet nie wiem, jak to powiedzieć… Brzmi to dziwacznie, żeby kogoś prosić o coś takiego. – Parsknął śmiechem. – Koniec końców dość dużo o tym myślałem, od dłuższego czasu w sobie międliłem, no i nie wiem, nie jestem pewien, ale w końcu wymyśliłem, że tylko do ciebie mogę z tym przyjść.

Nagle w jego głosie pojawiło się coś nowego. Niemal błaganie. Rozpaczliwość ostatniego życzenia. Zdjąłem nogi z krzesła.

– Słucham – powiedziałem.

– Chcę – wyrzucił z siebie – żebyś mnie zobaczył. Żebyś przyjrzał się uważnie, a potem mi powiedział.

– Co powiedział?

– To, co zobaczysz.

*

– Żeby nie przynudzać, Netanjusiu, dziś wieczorem zajebiście damy cza-cza-czadu, wasz szczerze oddany w obliczu setek fanek wymachujących stanikami! Tak, rozepnij haftki, stoliku numer dziesięć, uwolnij je… Hopsa! Oho, zdaje się, że słyszeliśmy podwójne „bum!”, co?

Publiczność odpowiada śmiechem, ale jest to krótki, cichy chichot, tylko młodzież śmieje się nieco dłużej. Mężczyzna na scenie jest niezadowolony. Jego dłoń szybuje przed twarzą, jakby w poszukiwaniu miejsca, które najbardziej zaboli. Ludzie patrzą na tę dłoń zafascynowani, palce rozsuwają się i zbiegają powolnym, falującym ruchem. To nie ma sensu, myślę sobie. Takie rzeczy się nie zdarzają, ludzie nie wymierzają sobie ciosów w ten sposób.

– Debilu – mówi ochrypłym głosem i wydaje się, że to jego ręka szepcze, że szept wydają palce. – Debilu jeden, znów się nie śmiali jak trzeba! Jak ty przeżyjesz ten wieczór? – Spod ręki, która mocno trzyma go za twarz, błyska lodowaty uśmiech, jakby zza krat. – To nie są takie śmiechy jak dawniej – mówi melancholijnie zadumany, wlewając rozmowę ze sobą do naszych uszu. – Może wykonujesz niewłaściwy zawód, a może rzeczywiście czas odejść na emeryturę. – Dalej konwersuje ze sobą z rzeczowym, mrożącym krew w żyłach spokojem: – Tak, ciepnąć ten biznes w diabły, odwiesić buty na kołek, a przy okazji i siebie. A co byś powiedział, gdybyśmy przetestowali na nich papugę? Dali sobie ostatnią szansę? – Odsuwa dłoń od twarzy, lecz każe jej nadal szybować w powietrzu. – Pewien facet miał papugę, co bez przerwy przeklinała. Od samego rana, jak tylko otworzyła ślepia, aż do pójścia spać wyrzucała z siebie najbardziej wulgarne i ohydne bluzgi, jakie można sobie wyobrazić. A facet jak na złość był delikatny, kulturalny, dobrze wychowany…

Publiczność śledzi uważnie opowiadany żart i opowiadającego, równie zaciekawiona jednym i drugim.

– W końcu facet nie miał wyjścia, zaczął jej wygrażać: „Jak nie przestaniesz, to cię zamknę w szafie”. A papuga jeszcze bardziej od tego gadania schamiała i dalej klnie, aż uszy więdną, także w jidysz…

Przystaje, śmiejąc się na głos do siebie i klepiąc lekko po udach.

– No, Netanjo, na pewno wam się spodoba, nie ma takiej opcji, żeby wam się nie spodobało.

Widzowie patrzą na niego. Niektórym oczy same się zwężają, szykując się na błyskawiczny lot ręki ku twarzy.

– Krótko mówiąc, facet chwyta papugę, wrzuca do szafy i rygluje drzwi. A papuga ze środka wali takim bluzgiem, że gościu ma ochotę przez okno wyskoczyć ze wstydu przed sąsiadami. W końcu nie wytrzymuje, otwiera szafę, chwyta papugę obiema rękami, papuga wrzeszczy, przeklina, dziobie, rzuca kurwami, na dodatek lży i oczernia, więc facet wynosi ją do kuchni, otwiera lodówkę, wrzuca do zamrażarki i zatrzaskuje drzwiczki.

W sali cisza. Gdzieniegdzie niepewne uśmiechy. Wydaje mi się, że większość osób koncentruje się na rękach mężczyzny, które szybują jedna nad drugą okrężnymi, powolnymi ruchami niczym sploty rozwijającego się węża.

– Facet przystawia ucho do lodówki, w środku słychać bluzgi, drapanie w drzwi, trzepot skrzydeł… Po jakimś czasie cisza. Mija jedna minuta, druga i nic. Cicho. Ptak ani piśnie. Gościu zaczyna się martwić, dręczy go sumienie, że może papuga zamarzła tam na śmierć, jakaś hipotermia albo diabli wiedzą co. Otwiera drzwiczki, przygotowany na najgorsze, a tu papuga wyłazi na drżących łapkach, wspina się na jego ramię i mówi: „Panie, wybacz, proszę. Żadne słowa nie są w stanie wyrazić, jak wielce mi przykro z powodu mego postępowania. Przyrzekam, że od tej pory żadne niekulturalne słowo nie przejdzie mi przez dziób". Facet patrzy na papugę, nie wierząc własnym uszom. A wtedy papuga: „Tak nawiasem mówiąc, panie, czym ci zawinił ten wykastrowany kurczak w zamrażarce?".

Publiczność się śmieje. Jeden wielki wstrzymywany oddech, który wybucha i wibruje śmiechem. Może chichrają się także po to, żeby uratować człowieka na scenie przed ciosami jego własnych rąk. Jakaż to osobliwa zmowa się tu zawiązuje i jaki ja mam w tym udział? Dwoje młodych bladych ludzi pochyla się nad stolikiem, wysuwają z napięciem wargi, prawie namiętnie. Może mają nadzieję, że on znów zacznie się okładać? Dowale słucha dobiegającego z sali rozgardiaszu, głowę ma przechyloną, czoło zmarszczone. – No dobra – wzdycha, oceniwszy natężenie i czas trwania śmiechu – więcej z nich nie wyciśniemy. Masz tu do czynienia z wymagającą i superwyrafinowaną publiką, Dowusiu. Niewykluczone nawet, że niektórzy są lewakami, co wymaga bardziej erudycyjnego podejścia, z nutką bigoterii. Na czym stanęliśmy?! – Dopinguje się okrzykiem do działania. – Mówiliśmy o urodzinach, które, jak wiadomo, są dniem rachunku sumienia, badania własnej duszy, przynajmniej dla tych, którzy ją posiadają, co do mnie to, prawdę mówiąc, w mojej obecnej sytuacji najzwyczajniej w świecie nie stać mnie na utrzymanie duszy. Serio mówię, dusza to taki interes, którego trzeba non

stop doglądać, no nie? Niekończące się zabiegi. Dzień w dzień trzeba ją serwisować, od świtu do nocy. No sami powiedzcie, czy nie mam racji?

Kufle z piwem wędrują do góry na potwierdzenie jego słów. Wydaje mi się, że jako jedyny wciąż jestem pod wpływem ręki, która zawisła nad twarzą; ja i chyba jeszcze pewna siedząca nieopodal kobieta, wyjątkowo niska, która wpatruje się w niego zdumionymi oczami od chwili, gdy wszedł na scenę, jakby z całych sił starała się uwierzyć, że taki twór może istnieć na świecie. – Co, nie mam racji? – wykrzykuje znowu i tym razem odpowiada mu z widowni zgodne rżenie. – N i e - m a m - r a - c j i ?! – grzmi z całych sił, a oni wrzeszczą, że tak, ma rację, racja! Niektórym z wysiłku błyszczą oczy i odnoszę wrażenie, że im większy rwetes, tym bardziej on jest uszczęśliwiony, delektuje się podsycaniem, stymulowaniem w nich jakiegoś wulgarnego, zdegenerowanego gruczołu, i nagle staje się dla mnie jasne w sposób najbardziej oczywisty, że nie chcę i wcale nie muszę tu być.

– Bo ta pierdolona dusza, niech zginie i przepadnie, przez cały czas jeździ po nas wte i wewte, zauważyliście to? Czy zauważyliście, Netanjo? – Oni odpowiadają mu rykiem, że tak, zauważyli, a on: – Raz chce tak, a raz śmak, niekiedy tryska euforią i fajerwerkami, a pół minuty później wali cię pałką przez łeb, w jednej sekundzie jest zajebiście fajnie, w następnej ona ma kryzysy, kaprysy i piździsy! Kto z nią w ogóle wytrzyma, powiedzcie mi, i na chuj ona komu potrzebna? – Podnieca się coraz bardziej, a ja rozglądam się dookoła i znowu wydaje mi się, że oprócz mnie i tamtej kobiety, niebywale niskiej, prawie karlicy, wszyscy doskonale się bawią. Co ja u diabła tu robię? Jakie mam zobowiązania wobec kogoś, kto czterdzieści parę lat temu brał razem ze mną korepetycje? Daję mu jeszcze pięć minut, pięć minut z zegarkiem w ręku, a potem, jeśli nie nastąpi, jak by to ująć, jakiś zwrot akcji, wstaję i wychodzę.

Z jakiegoś powodu przez telefon jego propozycja zabrzmiała interesująco i tutaj też, nie przeczę, ma swoje dobre momenty – kiedy okładał się rękami, coś w tym było, nie jestem pewien co, ale otwarła się jakaś pociągająca otchłań. Ten facet z pewnością nie jest idiotą. Nigdy nim nie był i bez wątpienia dziś wieczorem coś mi umyka, jakiś sygnał, który

trudno wychwycić, ktoś z jego głębi woła do mnie, nic jednak na to nie poradzę, że ten gatunek widowiska jest tak beznadziejnie ograniczony.

Nie, nie, myślę sobie i zaczynam przygotowania do szybkiej ewakuacji. Nie będzie mógł czynić mi wyrzutów: pofatygowałem się, przyjechałem z Jerozolimy, słuchałem go prawie pół godziny, nie odnalazłem ani uroku, ani młodości, więc teraz dokonam cięcia.

On wygłasza kolejną płomienną tyradę przeciwko, ni mniej, ni więcej, „pojebanej koncepcji nieśmiertelności-kurwa-jej-mać-duszy". Okazuje się, że gdyby dano mu wybór, bez zastanowienia wybrałby opcję nieśmiertelności ciała. – Wyobraźcie sobie ciało bez żadnych obciążeń! – wywrzaskuje. – Żadnego myślenia, żadnych wspomnień, tylko durnowate ciało, co skacze sobie po łące jak zombie, beztrosko się obżera, chleje i bzyka, co popadnie. – Demonstruje nam to, kicając i żwawo wypychając biodra w przód i w tył, a do tego szczerząc zęby w głupkowatych uśmiechach. Daję kelnerce znaki, żeby przyniosła rachunek. Rezygnuję nawet z zaszczytu przyjmowania poczęstunku na jego koszt. Nie chcę być mu nic winien. Nawet bez tego świat przypomina najeżoną szpilkami poduszkę. To był błąd, duży błąd, żeby tu przyjeżdżać. On zauważa mój gest w stronę kelnerki i twarz mu wiotczeje, dosłownie się rozpada.

– No serio! – woła i jeszcze szybciej galopuje w swoim słowotoku. – Wiecie, co dziś znaczy mieć duszę na utrzymaniu? To prawdziwy luksus, bez ściemy! Policzcie sobie dobrze, a zobaczycie, że wyjdzie wam drożej niż za nowiutkiego suva! A mówię o najprostszym modelu, nie o duszy jakiegoś Szekspira, Czechowa czy Kafki, nawiasem mówiąc, niezłe lektury, tak mi przynajmniej doniesiono, osobiście nie czytałem; tu uczynię wzruszające wyznanie: mam ciężką, nieuleczalną dysleksję, słowo honoru, wykryli to u mnie, kiedy byłem jeszcze embrionem, a lekarz, który mnie zdiagnozował, sugerował rodzicom natychmiastową aborcję…

Publiczność się śmieje. Ja nie. Przypominam sobie jak przez mgłę, że nieraz opowiadał o książkach, których tytuły znałem i wiedziałem, że za dwa lata będą mnie z nich egzaminować na maturze, on zaś rozprawiał o nich tak, jakby rzeczywiście je wszystkie przeczytał. Należała do nich

Zbrodnia i kara i jeśli się nie mylę, także *Proces* albo *Zamek*. A teraz, na scenie, rzuca w oszałamiającym tempie tytułami i nazwiskami autorów, zapewniając widzów, że nigdy w życiu żadnego nie czytał, ja tymczasem czuję swędzenie w górnej części pleców i zastanawiam się, czy on po prostu przymila się do widowni, sprzedając jej „bezpretensjonalność" i „swojskość", czy raczej knuje coś, co ostatecznie uderzy we mnie. Ponaglam kelnerkę oczami.

– Bo koniec końców, czym ja jestem! – wykrzykuje. – Podrzędnym gatunkiem widowiska, zgadza się? – Tu odwraca się całym ciałem do mnie, strzelając gorzkim uśmiechem: – Zastanawialiście się kiedyś, co to w ogóle jest stand-up? Posłuchajcie mnie, Netanjo, tak naprawdę to, bądźmy szczerzy, żałosna forma rozrywki, a wiecie dlaczego? Bo można wąchać zapach naszego potu! Naszego wysiłku, żeby rozśmieszać ludzi! Oto dlaczego! – Obwąchuje sobie pachę, wykrzywia się niemiłosiernie, a skonsternowana publiczność nieśmiało chichocze. Prostuję się na krześle, krzyżując ręce na piersi, ponieważ wydaje mi się, że jest to wypowiedzenie wojny.

– Można obejrzeć na naszych gębach stres – podnosi głos jeszcze bardziej. – Napięcie, żeby za wszelką cenę rozbawić, i szczere błaganie, żebyście nas polubili (to także, jak przypuszczam, są wybrane perełki cytatów z naszej rozmowy telefonicznej). I właśnie dlatego, panie i panowie, chciałbym teraz powitać, z wielkim wzruszeniem i uszanowaniem, wysokiego przedstawiciela sprawiedliwości, sędziego Sądu Najwyższego, pana Awiszaja Lazara, który przybył tu dziś wieczorem zupełnie nieoczekiwanie tylko po to, by publicznie wesprzeć naszą nędzną i żałosną sztukę! Panie i panowie, proszę wstać, s ą d i d z i e!

Zdradliwy błazen staje wyprężony na baczność i trzaska obcasami, po czym robi głęboki ukłon w moją stronę. Coraz więcej osób odwraca się, żeby na mnie popatrzeć, niektórzy posłusznie, bez zastanowienia klaszczą, ja głupkowato bąkam: – Okręgowego, nie Najwyższego, a poza tym jestem na emeryturze. – On tymczasem, na scenie, wybucha ciepłym, dźwięcznym śmiechem, zmuszając mnie do udawania, że cieszę się z nim.

W głębi duszy cały czas wiedziałem, że nie da mi tak łatwo stąd uciec. Że ta sprawa z zaproszeniem mnie i z jego pokręconą propozycją była pułapką, prywatną zemstą, sidłami, w które wpakowałem się jak największy kretyn. Od chwili gdy ogłosił na scenie, że dziś są jego urodziny – drobny szczegół, o którym ani słowem nie napomknął podczas rozmowy ze mną – czułem zaciskającą się pętlę na szyi. Kelnerka, idealnie wybrawszy najgorszy moment, przynosi mi rachunek. Cała publiczność gapi się na mnie. Próbuję zgadnąć, jak powinienem zareagować, ale wszystko toczy się trochę za szybko jak na mój gust, a w ogóle – odkąd zaczął się ten wieczór, dociera do mnie, że życie w samotności jest bardzo powolne i sprawia, że ja sam jestem spowolniony. Składam rachunek na pół, wsuwam pod popielniczkę, po czym spoglądam mu prosto w oczy.

– Mówiłem wam o zwyczajnej duszy. – Przełyka nieznaczny uśmieszek i daje znak menedżerowi klubu, żeby podesłał mi jeszcze jedno piwo, na jego koszt. – O prostej żołnierskiej duszy, bez pagonów i bez medali, duszy w wersji podstawowej, zwykłego człowieka, który chciałby dobrze zjeść i z umiarem wypić, wesoło się naćpać, raz dziennie odlecieć i raz na tydzień poruchać, i żeby wszyscy dali mu święty spokój, a tu raptem się okazuje, że ta jebana duszyczka, niech ją szlag jasny trafi, wysuwa nie byle jakie roszczenia! Cały komitet związkowy sobie założyła! – Znów wyciąga rękę w stronę publiczności i wylicza na palcach, a widzowie na głos z nim: – Zawał serca, raz! Wyrzuty sumienia, dwa! Złe przeczucia, trzy! Koszmary i noce nieprzespane ze strachu, co teraz będzie i jak to będzie, cztery!

Ludzie ze wszystkich stron przytakują ze zrozumieniem, on się śmieje.

– Słowo wam daję, ostatni raz w życiu, kiedy nie miałem żadnych zmartwień, to był ósmy dzień po moim narodzeniu, zanim obcięli mi napletek.

Publiczność skręca się ze śmiechu. Wpycham sobie do ust garść orzeszków i miażdżę, jakby to były jego kości. On stoi na środku sceny, w krążku rzucanego przez reflektor światła, i kiwa głową, zamknąwszy oczy, jakby w tej właśnie chwili wyłożył całą filozofię życia. Gdzieniegdzie

słychać oklaski, a prócz nich gwałtowne, prostackie okrzyki „uuuu!", zwłaszcza z ust kobiet. Ten człowiek, myślę, nie jest ani przystojny, ani ekscytujący, ani w żaden sposób atrakcyjny, za to jakimś cudem potrafi dźgać ludzi akurat w takie miejsca, że zamienia ich w tłum gapiów, w istny motłoch.

On zaś, jakby wyłowił uchem moje myśli, przerywa reakcję widowni tnącym ruchem ręki, twarz ma wykrzywioną, teraz wyczuwam w nim kompletne przeciwieństwo tego, co właśnie sobie pomyślałem: otóż sam fakt, że się z nim zgadzają, że ktoś, wszystko jedno kto, w czymkolwiek mu przyklaskuje, najwyraźniej wzbudza w nim niechęć, wręcz obrzydzenie – ten grymas ust, te ściągnięte nozdrza! – jakby wszyscy ludzie, którzy tu zasiadają, otoczyli go wianuszkiem, próbując dotknąć czy obmacać.

– A teraz najwyższy czas, panie i panowie, podziękować pewnej osobie, która przywiodła mnie aż tutaj; która skłonna była zostać przy mnie na zawsze i bezwarunkowo, nawet wtedy gdy porzuciły mnie, opuściły i hurtem wyciepały żony i dzieci, koledzy z pracy i przyjaciele – przeszywa mnie kłującym jak igła wzrokiem i natychmiast wybucha śmiechem. – Nawet dyrektor mojej szkoły, nie szukając daleko, pan Pinchas Bar-Adon, zjednoczmy się we wspólnej modlitwie za jego duszę, choć nadal żyje, który wyrzucił mnie w wieku lat piętnastu na zbity pysk prosto do Ulicznej Szkoły Życia i na dodatek napisał uzasadnienie, słuchajcie uważnie, Netanjo! „Takiego starego cynika jak ten chłopak nie spotkałem podczas całej swojej kariery". Mocne, no nie? Niepodważalne! Po tym wszystkim jedynym człowiekiem, który nigdy mnie nie zostawił, nie opuścił i nie porzucił, byłem ja sam, tak. – I znowu kołysze biodrami, uwodzicielsko przesuwając dłonie wzdłuż całego tułowia. – A teraz, moi kochani, dobrze się przyjrzyjcie i powiedzcie, co widzicie. No, mówię poważnie, co widzicie? Ludzki pył, zgadza się? Praktycznie zero materii, a sięgając do nauk ścisłych, rzekłbym nawet: antymaterię. Macie już jasność, że mowa tu o facecie przeznaczonym na złomowanie, tak? – Chichocze, puszcza do mnie oko, przymilając się nieco, być może to prośba, żebym pomimo złości dotrzymał złożonej obietnicy.

Sami popatrzcie, Netanjo, co znaczy lojalność, wręcz poświęcenie przez pięćdziesiąt siedem dość chujowych lat! Zobaczcie, co dało oddanie i pracowitość w przypadku poronionego projektu bycia Dowalem! Albo po prostu bycia! – Zaczyna wiercić się na scenie jak nakręcana zabawka i gdakać irytującym głosem: – Bycie! Bycie! Bycie! – Raptem zatrzymuje się i powoli odwraca do widowni błyszczącą, szczwaną twarz oszusta, złodzieja, kieszonkowca, któremu trafiła się nie lada gratka. – Czy wy w ogóle kapujecie, jaki to odlotowy pomysł: bycie? Jaki wywrotowy?

Nadyma lekko policzki i wypuszcza coś w rodzaju małego „puf" niczym pęknięcie mydlanej bańki.

– Dowale G., panie i panowie, znany jako Dowczik, znany też jako Dow Grinsztajn, zwłaszcza w kartotekach Państwa Izrael, gdzie notowany jest wielokrotnie w związku z niepłaceniem alimentów. Dobry Boże – spogląda na mnie wzrokiem udręczonej niewinności, strzelając palcami – to niesamowite, ile te dzieci jedzą, wysoki sądzie! Ciekawe, ile alimentów musi płacić taki ojciec w Darfurze… Mister G., drogie panie i panowie! Jeden jedyny w całym pierdolonym wszechświecie, który gotów jest spędzić ze mną całą noc, nie biorąc za to kasy, co w moich oczach jest najczystszą, najbardziej obiektywną miarą przyjaźni. Tak to jest, kochana publisiu! Tak to się w życiu poukładało. Człowiek planuje, a Bóg jeb go w łeb…

*

Dwa razy w tygodniu, w niedziele i środy, o wpół do czwartej kończyliśmy lekcje u prywatnego nauczyciela, ponurego nabożnego człowieka, który nigdy nie patrzył nam w oczy i niewyraźnie mruczał pod nosem. Otępiali od zaduchu w jego domu, ogłupieni zapachami potraw, które gotowała za ścianą jego żona, wychodziliśmy razem i natychmiast odłączaliśmy się od innych chłopców z naszej grupy. Szliśmy środkiem jezdni, spokojną główną ulicą osiedla, którą jeździło pięć samochodów na krzyż, a gdy dochodziliśmy do przystanku autobusu numer 12, obok sklepu „Tnuwa"

pana Lermana, spoglądaliśmy na siebie, mówiąc równocześnie: „Idziemy do następnego?". Mijaliśmy w ten sposób piechotą pięć czy sześć przystanków, zanim dotarliśmy do dworca autobusowego w pobliżu jego dzielnicy, Romemy, i tam czekaliśmy na mój autobus do Talpijot. Siadaliśmy na rozpadającym się kamiennym murku, zarośniętym chwastami i rozmawialiśmy. Ściśle mówiąc, ja siedziałem; on nie potrafił usiedzieć ani ustać w jednym miejscu dłużej niż kilka minut.

Prawie zawsze zadawał pytania, a ja odpowiadałem, taki mieliśmy podział pracy. On tak ustalił, a mnie to oczarowało. Nie należałem do wygadanych, wręcz przeciwnie, byłem małomównym, zamkniętym w sobie chłopcem, z dość absurdalną – tak to sobie wyobrażam – aureolką zawziętości i ponuractwa, której nie umiałbym się pozbyć, nawet gdybym bardzo chciał.

Być może z własnej winy, a może z powodu tułaczki mojej rodziny w ślad za interesami ojca nigdy nie miałem bratniej duszy. Zdarzało się tu i tam, że miałem jakichś kumpli, jakieś krótkie szkolne przyjaźnie z dziećmi dyplomatów i zagranicznych biznesmenów. Ale odkąd wróciliśmy do Izraela, do Jerozolimy, do dzielnicy i szkoły, w której nikogo nie znałem i nikt nie zadawał sobie trudu, żeby mnie poznać, stałem się jeszcze bardziej samotny i zgryźliwy.

I nagle pojawił się ten mały roześmiany chłopiec, który chodził do innej szkoły i nie wiedział, że powinien obawiać się mnie i mojej zgryźliwości, i nie robiła na nim najmniejszego wrażenia moja wyniosła smutasowatość.

– Jak ma na imię twoja mama? – Tak brzmiało pierwsze pytanie, jakie mi zadał po wyjściu z korepetycji. Pamiętam, że wymsknęło mi się coś w rodzaju zdumionego chichotu: ten piegowaty krasnalek ma czelność insynuować, że w ogóle mam matkę!

Moja – zawołał radośnie – nazywa się Sara! – I nagle wyminął mnie, galopując tyłem z twarzą zwróconą do mnie: – Co mówiłeś, że jak się nazywa twoja mama? Urodziła się w Izraelu? Gdzie się poznali twoi rodzice? Oni też są z Holokaustu?

Autobusy do Talpijot nadjeżdżały i odjeżdżały, a my bez przerwy gadaliśmy. Oto jak to wyglądało: ja siedzę na murku, chudy (tak, tak) i długi jak tyczka, o ściągniętej, nieprzejednanej twarzy i zasznurowanych ustach, za wszelką cenę unikający uśmiechów, a wokół mnie uwija się mały chłopiec, co najmniej o rok ode mnie młodszy, o czarnych włosach i bardzo jasnej karnacji, chłopiec, który umiał wywabić mnie z mojej skorupy, uparcie i nader sprytnie, rozbudzając we mnie stopniowo chęć, żeby to i owo sobie przypomnieć, żeby porozmawiać, żeby opowiedzieć o Gederze, Paryżu i Nowym Jorku, o karnawale w Rio i Dniu Zmarłych w Meksyku, i o uroczystościach na cześć słońca w Peru, i o wycieczce balonem ponad stadami antylop gnu na równinie Serengeti…

Dzięki jego pytaniom zaczynałem pojmować, że mam rzadki skarb: doświadczenie życiowe. I że moje życie, które do tej pory postrzegałem jako męczący wir podróży, ciągłej zmiany mieszkań i szkół, języków i twarzy, w istocie było wspaniałą przygodą. Szybko odkryłem, że nawet przesada była chętnie przezeń przyjmowana: nie przekłuwał szpilką żadnego z moich balonów, wręcz przeciwnie, okazało się, że można i powinno się opowiadać każdą historię w kółko, za każdym razem dorzucając nowe detale i zwroty akcji, które rzeczywiście się wydarzyły lub mogły się zdarzyć. Kiedy z nim przebywałem, nie poznawałem samego siebie. Nie znałem wcześniej rozentuzjazmowanego i zapalonego chłopca, który się ze mnie wyłaniał. Nie znałem uczucia gorąca w skroniach nagle rozpłomienionych od myśli i obrazów. A w szczególności nie znałem przyjemności, jaką dawało uznanie dla mojego nowego talentu: te oczy, które rozszerzały się przede mną ze zdumienia i śmiejącego się szczęścia. Głęboki ciemnoniebieski blask. Było to, jak sądzę, coś w rodzaju mojego autorskiego honorarium.

Przez okrągły rok trzymaliśmy się razem, dwa razy w tygodniu. Nienawidziłem matematyki, ale ze względu na niego starałem się nie opuścić żadnej lekcji. Autobusy przyjeżdżały i odjeżdżały, a my pogrążaliśmy się w naszym własnym świecie, dopóki rzeczywiście nie trzeba było się rozstać. Wiedziałem, że musiał odbierać skądś tam swoją

mamę punktualnie o piątej trzydzieści. Powiedział mi, że jego mama jest „wysokiej rangi urzędniczką" w jakimś państwowym biurze, a ja nie rozumiałem, dlaczego musiał „ją odbierać". Pamiętam, że miał zegarek dla dorosłych, doxę zakrywającą jego chudy nadgarstek, i im bliżej wyznaczonej godziny, tym częściej zerkał na nią z coraz większym podenerwowaniem.

Za każdym razem gdy się rozstawaliśmy, szybowały w powietrzu możliwości, których żaden z nas nie ośmielał się wypowiedzieć na głos, jakbyśmy wciąż nie ufali rzeczywistości, czy aby na pewno będzie umiała kontynuować tę delikatną, kruchą historię, jaką stanowiliśmy my dwaj: może kiedyś spotkamy się ot tak, zwyczajnie, a nie po lekcjach? Może pójdziemy do kina? Może przyjdę do ciebie do domu?

*

– Skoro już jesteśmy przy temacie Wielkiego Popaprańca – wymachuje obiema rękami – pozwólcie panowie, że na samym początku wieczoru, aby dziejowej sprawiedliwości stało się zadość, z głębi serca podziękuję w waszym imieniu kobietom, wszystkim kobietom świata, stać nas przecież na szeroki gest, drodzy przyjaciele. Czemu nie mielibyśmy choć raz wyznać otwarcie, gdzie tak naprawdę znajduje się nasz wymarzony kwiat paproci, cel naszego istnienia i zarazem motor naszych dążeń? Czemu nie pokłonić się choć raz i nie podziękować należycie tym ostrym i słodkim przyprawom życia, które dostaliśmy w ogrodzie edeńskim? – I rzeczywiście bije pokłony, raz po raz pochylając głowę i pół tułowia w kierunku to tej, to tamtej kobiety na widowni, a mnie się zdaje, że każda, dosłownie każdziutka, nawet te, które siedzą w męskim towarzystwie, odpowiada mu szybkim, prawie mimowolnym błyskiem w oczach. On zachęca rękami innych mężczyzn, żeby poszli w jego ślady. Większość uśmiecha się szyderczo i nie wstaje, niektórzy siedzą jak zmrożeni obok równie zmrożonych kobiet, ale czterech czy pięciu reaguje, powstaje z miejsc i z zakłopotaniem, chichocząc, sztywno składa ukłon partnerkom.

W moich oczach to głupkowaty akt, tani sentymentalny gest, a mimo to, ku swojemu zupełnemu zaskoczeniu, sam błyskawicznie pochylam się, prawie niedostrzegalnie, przed pustym krzesłem obok, co jedynie dowodzi raz jeszcze, jak bardzo rozchwiany i niepewny czuję się tu dzisiejszego wieczoru. Gwoli ścisłości – to było tylko drobne skinienie głową i niekontrolowane mrugnięcie oczami, takie mrugnięcie zawsze zdarzało się między mną i nią, nawet w środku kłótni, dwie iskry frunące z oka do oka: ja-iskra w niej, ona-iskra we mnie.

Zamawiam kieliszek tequili i zdejmuję sweter. Nie zdawałem sobie sprawy, że będzie tu tak gorąco (mam wrażenie, że kobieta przy sąsiednim stoliku szepnęła do swojego partnera „no wreszcie"). Znów krzyżuję ręce na piersi i obserwuję człowieka na scenie, w jego wyblakłych oczach widzę siebie i jego, i przypominam sobie to uczucie: my dwaj. Pamiętam blask podniecenia, a także nieustanne zakłopotanie, jakie odczuwałem w jego towarzystwie: chłopcy wówczas nie rozmawiali w ten sposób. Nie o takich rzeczach i nie takim językiem. We wszystkich moich ulotnych przyjaźniach z chłopakami dał się wyczuć rodzaj wzajemnej anonimowości, co było bardzo wygodne i męskie, a tymczasem z nim…

Szperam w kieszeniach spodni, koszuli. W portfelu. Jeszcze parę lat temu nie wychodziłem z domu bez notatnika. Małe pomarańczowe notesiki sypiały z nami w łóżku na wypadek, gdybym przed snem albo we śnie wyczarował jakiś mocny argument, którego mógłbym użyć w uzasadnieniu wyroku, jakąś uderzająco trafną metaforę lub pomysł na olśniewający cytat (byłem znany z tego rodzaju sztuczek). Długopis mam, nawet trzy, ale ani skrawka papieru. Daję znak kelnerce, a ona już pędzi do mnie z całym opakowaniem serwetek – zielonych serwetek – z daleka macha nimi nad głową, z głupiutkim uśmiechem.

Właściwie to całkiem miły uśmiech.

– Ale naj, najbardziej, kochani bracia i siostry – drze się wniebogłosy, pękając z radości na widok serwetek i długopisów – skoro podziękowaliśmy ogólnie wszystkim kobietom na świecie, to teraz chciałbym szczególnie podziękować wszystkim słodkim ślicznotkom, które

zawłaszczyły globalnie mój potencjał seksualny, wszystkim tym, które, odkąd skończyłem szesnaście lat, wskakiwały na mnie i ujeżdżały, bzykały, obracały i posuwały, i ssały mi…

Większość publiczności jest rozbawiona, ale niektórzy wyraźnie się krzywią. Niedaleko mnie jakaś kobieta wysuwa nogę z ciasnego pantofla i pociera ją o łydkę drugiej nogi, a mnie skręca w środku chyba trzeci czy czwarty raz tego wieczoru: mocne, solidne nogi Tamary, i słyszę własny jęk, taki, o którym dawno już zapomniałem.

Nagle widzę przed sobą na scenie jego dawny uśmiech, uroczy i pełen zapału, nareszcie można zaczerpnąć powietrza, jak gdyby rozproszyła się nieco udręka wisząca nad tym występem, więc daję się uwieść i odwzajemniam uśmiech, to dobry moment, prywatny moment między nami dwoma, i przypominam sobie, jak kiedyś podskakiwał dookoła mnie, rżąc, piszcząc i chichocząc, jakby samo powietrze go łaskotało. Teraz ma w oczach takie samo lśnienie, dzbanuszek światła skierowany do mnie, wierzący we mnie, jakby wszystko można było jeszcze naprawić, nawet u nas, u mnie i u niego.

Ale i tym razem uśmiech znika w okamgnieniu, jakby Dowale jednym szarpnięciem wyrwał go spod naszych stóp, a zwłaszcza, jak mi się zdaje, spod moich. I znowu przenika mnie dojmujące poczucie jakiegoś mrocznego oszustwa, w miejscu, do którego słowa nie są w stanie dotrzeć.

– Nie wierzę własnym oczom! – ryczy znienacka. – Ty tam, maleństwo ze szminką, tak, do ciebie mówię, po ciemku się umalowałaś? Czy twoja charakteryzatorka cierpi na parkinsona? Powiedz no, laleczko, czy to aby przyzwoite, że w czasie gdy ja dupę sobie zdzieram, żeby cię rozbawić, ty p i s z e s z e s e m e s y?!

Przemawia do miniaturowej kobiety siedzącej samotnie przy stoliku niedaleko mnie. Na jej głowie sterczy jakaś dziwaczna, skomplikowana baszta, jakby pleciony z włosów kopiec, w który wetknięto czerwoną różę.

– Ładnie się tak zachowywać?! Człowiek żyły z siebie wypruwa, duszę przed tobą wylewa, wywnętrza się do szpiku kości, obnaża, co tam obnaża,

robi striptiz od czubka głowy do prostaty! A ty wysyłasz esemesa? Można wiedzieć, co tam nadajesz, że tak ci pilno?

A ona odpowiada najzupełniej poważnym tonem, niemal z wyrzutem:

– Nie wysyłam esemesa!

– Niełądnie kłamać, słoneczko, wszystko widziałem! Klik-klik-klik! Szybkimi paluszkami! A tak przy okazji, właściwie to siedzisz czy stoisz?

– Co? – Szybko wciska głowę między ramiona. – No… pisałam do siebie.

– Ach, do siebie… – Wytrzeszcza oczy i świdruje dogłębnie widzów, zawiązuje z nami spisek przeciwko niej.

– Mam taką… – mamrocze kobieta. – Aplikację do robienia notatek.

– To naprawdę szalenie dla nas interesujące, słoneczko. A co ty na to, żebyśmy wszyscy wyszli na chwilę na dwór, żeby nie zakłócać ci nawiązywania rozkosznego kontaktu ze sobą?

– Co? – Potrząsa głową w panice. – Nie, nie, nie wychodźcie.

Ma dziwaczną wadę wymowy. Głos brzmi dziecinnie i piskliwie, ale słowa wyciskane z ust są jakieś toporne.

– Więc zdradź nam wreszcie, co tam do siebie pisałaś. – Prawie pęka z radości, nie dając jej czasu na odpowiedź: – Droga Ja! Obawiam się, że trzeba nam będzie się rozstać na tydzień ekstremalnego seksu, bo dziś wieczór, Moja Kochana Myszeczko, poznałam mężczyznę swoich marzeń, z którym zamierzam związać swój los, a przynajmniej swoje łóżkowe zahamowania…

Kobieta patrzy na niego z lekko rozdziawioną buzią. Nosi czarne buty ortopedyczne na grubych podeszwach, ale nie dosięga stopami podłogi. Wielka, czerwona, błyszcząca torba wciśnięta jest między jej tułów i stolik. Zastanawiam się, czy on to wszystko widzi ze sceny.

– Nie – odpowiada po ślamazarnym namyśle – to wszystko nieprawda, wcale tak nie napisałam.

– Co w takim razie napisałaś? – krzyczy, chwytając się za głowę z udawaną rozpaczą.

Rozmowa, która zapowiadała się z jego punktu widzenia obiecująco, staje się uciążliwa, postanawia więc zerwać kontakt.

– To coś prywatnego – szepcze ona.

– Pry-wat-ne-go! – Przed chwilą zarządził odwrót, ale to słowo chwyta go jak lasso i ciągnie z powrotem do niej, z szyją wygiętą do tyłu. Daje się tak wlec tyłem po scenie, jednocześnie odwracając do nas twarz i strojąc przerażone miny, jakby właśnie wystrzelono w powietrze coś niebywale wulgarnego. – A jakimż to zawodem para się, jeśli wolno spytać, nasza prywatna i dyskretna madame?

Zimny powiew przelatuje przez widownię.

– Jestem manikiurzystką.

– A to ci numer! – Przewraca oczami ze zdumienia, wyrzuca ręce do przodu, rozcapierzając palce, kręci głową w prawo i w lewo: – Francuski manikiur, poproszę! Nie, raczej z brokatem… – Dmucha po kolei na każdy paznokieć. – Może jednak wzorek z kryształków? Masz może, kochanie, jakieś minerały? A mogą być suszone kwiatki?

– Ale wolno mi to robić tylko w salonie w naszej wsi – mówi szeptem ona. I zaraz dodaje: – Jestem także medium. – Przestraszona własną śmiałością, jeszcze wyżej podciąga czerwoną torbę, wznosząc ją jak barykadę między sobą i nim.

– Me-dium? – Chytry lis w jego oczach zatrzymuje się w biegu, przysiada, oblizuje wargi. – Panie i panowie – obwieszcza z powagą. – Proszę o uwagę. Mamy dziś wieczorem niepowtarzalną manikiurzystkę, która ni mniej, ni więcej jest także medium! Gdzie wasze ręce do klaskania? Gdzie paznokcie?

Publiczność klaszcze posłusznie, choć z zakłopotaniem. Mam wrażenie, że większość ludzi wolałaby, żeby dał jej spokój i upolował bardziej stosowną ofiarę.

Powoli sunie po scenie, głowa pochylona, ręce splecione za plecami. Całą swoją istotą wyraża namysł i otwartość umysłu:

– Medium. To znaczy, że komunikujesz się z zaświatami?

– Co? Nie… Na razie tylko z duszami.

– Zmarłych?

Ona pochyla głowę. Nawet w ciemności wyraźnie widzę szybkie pulsowanie żyły na jej szyi.

– Aha… – On kiwa głową z dogłębnym, egzaltowanym zrozumieniem. Można niemal zobaczyć, jak nurkuje w głąb siebie, żeby wyłowić perły drwiny i szyderstwa, których dostarcza mu to spotkanie. – To może madame medium opowie nam… Chwilunia, skąd właściwie jesteś, Calineczko?

– Nie wolno mnie tak nazywać.

– Przepraszam. – Wycofuje się natychmiast, czując, że przekroczył czerwoną linię. „Nie jest zupełnym bydlakiem" – notuję na serwetce.

– Teraz jestem tutejsza, spod Netanji – odpowiada kobieta, ból zniewagi wciąż ściąga jej twarz. – Mamy tu wioskę… dla ludzi takich jak… jak ja. Ale jak byłam mała, to mieszkałam z tobą po sąsiedzku.

– Mieszkałaś koło pałacu Buckingham? – woła podniecony, bębniąc rękami w powietrzu, ciągnąc za sobą kolejny słaby tren śmiechu. Widziałem, że zawahał się na ułamek sekundy, zanim zdecydował, że nie wykpi słów „jak byłam mała". Zabawne jest śledzenie tych jego nieoczekiwanych czerwonych linii. Mikroskopijnych wysepek współczucia i przyzwoitości.

Ale teraz zaczyna do mnie docierać, o czym ona mówi.

– Nie – stwierdza z tym samym zaciętym uporem, odmierzając słowa. – Pałac Buckingham jest w Anglii. Wiem, bo…

– Jak, jak? Co powiedziałaś?

– Rozwiązuję krzy-żanówki. I znam wszystkie kra…

– Nie, nie, wcześniej. Joaw?

Menedżer klubu kieruje na nią reflektor. W skręconym, czubatym kopczyku siwych włosów widać fioletowe pasemko. Jest starsza, niż przypuszczałem, ale twarz ma bardzo gładką, jak z kości słoniowej. Nos spłaszczony, powieki obrzękłe, lecz mimo to, pod pewnym kątem, widać w niej mglistą, zawoalowaną urodę.

Kobieta kamienieje pod spojrzeniami, które się na nią zwróciły. Para młodych motocyklistów szepcze między sobą, wyraźnie podekscytowana.

Ona coś w nich rozbudza. Znam ten typ ludzi. Kwiatów zła. Właśnie tacy jak ci sprawiali, że traciłem panowanie nad sobą, kiedy zasiadałem w sali rozpraw. Spoglądam na nią ich oczami: w odświętnej sukience, z kwiatkiem we włosach, z czerwienią rozmazaną na ustach wygląda jak dziewczynka, która przebrała się za damę, wyszła na ulicę i już wie, że stanie się z nią coś złego.

– Byłaś moją sąsiadką? – pyta niepewnie.

– Tak, w Romemie. Od razu jak wszedłeś, się zorientowałam. – Pochyla głowę i przechodzi do szeptu: – W ogóle się nie zmieniłeś.

– W ogóle się nie zmieniłem? – parska. – W ogóle się nie zmieniłem? – Ocienia ręką czoło i skanuje ją, wytężając wzrok. Publiczność śledzi uważnie, zafascynowana toczącym się na jej oczach procesem przerabiania życiowego materiału w żart.

Jesteś pewna, że to ja?

– Jasne – chichocze, twarz jej się wypogadza. – Jesteś tym chłopcem, co chodził na rękach.

W sali zupełna cisza. Mam sucho w ustach. Tylko raz widziałem, jak chodził na rękach. Tego dnia, kiedy widziałem go ostatni raz.

– Zawsze na rękach – kobieta śmieje się, zasłaniając dłonią usta.

– Teraz nawet na nogach ledwie mogę się utrzymać – mruczy on.

– Chodziłeś za kobietą w za dużych butach.

On niechcący wydaje z siebie cichy jęk.

– A któregoś razu w zakładzie fryzjerskim u twojego taty – ciągnie – zobaczyłam cię na nogach i nie poznałam.

Publiczność znów zaczyna oddychać. Ludzie zerkają na sąsiadów, nie wiedzą, co powinni o tym sądzić. On posyła mi ze sceny przenikliwe, rozdrażnione i oburzone spojrzenie. Tego nie było w programie, przekazuje mi na naszej prywatnej częstotliwości, i jest to absolutnie nie do przyjęcia. Chciałem, żebyś zobaczył mnie w stanie netto, bez jakichkolwiek dodatków. Potem zbliża się do krawędzi sceny, schyla i klęka na jedno kolano. Wciąż osłaniając ręką oczy, patrzy na nią.

– Mówiłaś, że jak masz na imię?

– To nie ma znaczenia… – Kiedy chowa głowę między ramiona, na jej karku pojawia się miniaturowy garb.

– Ma znaczenie – odpowiada on.

– Azulaj. Moi rodzice nazywali się Ezri i Ester, oboje niech spoczywają w pokoju. – Szuka w jego twarzy znaku, że coś mu to mówi. – Na pewno ich nie pamiętasz. Mieszkaliśmy tam niedługo. Moi bracia chodzili się strzyc do twojego taty. – Kiedy się zapomina, wada wymowy jest bardziej zauważalna. Jakby coś gorącego utknęło jej w gardle. – Byłam mała, osiem i pół roku, a ty chyba w wieku bar micwy, i bez przerwy na rękach, nawet ze mną rozmawiałeś w taki sposób, od dołu…

– Tylko po to, żeby ci zajrzeć pod sukienkę. – Puszcza oko do publiczności, ale ona potrząsa energicznie głową, baszta włosów się chwieje. – Nie, to nieprawda! Trzy razy mnie zagadnąłeś, a ja miałam długą sukienkę, niebieską w kratkę, i też z tobą rozmawiałam, chociaż to było niedozwolone…

– To było n i e d o z w o l o n e? – Nurkuje po to słowo z wystawionymi szponami. – Ciekawe dlaczego? Czemu było niedozwolone?

– To nie ma znaczenia.

– Jasne, że ma! – warczy z głębi trzewi. – Co ci powiedzieli?

Ona uparcie kręci głową.

– Powiedz tylko, co ci powiedzieli.

– Że jesteś zwariowanym chłopakiem – wydusza w końcu z siebie. – Ale ja z tobą rozmawiałam. Trzy razy rozmawiałam.

Milknie i spogląda na czubki swoich palców. Teraz jej twarz lśni od potu. Przy stoliku za nią jakaś kobieta pochyla się i szepcze mężowi do ucha. Mąż potakuje. Jestem zupełnie zdezorientowany. Skołowany. Szybko notuję na serwetce, próbując poskładać to do kupy: chłopiec, którego znałem. Chłopiec, którego ona znała. Człowiek na scenie.

– Więc mówisz, że trzy razy rozmawialiśmy? – Przełyka ślinę. Sądząc po minie, musi być bardzo gorzka. – Ale super… – Zmusza się, żeby odzyskać nad sobą panowanie, puszcza oko do publiczności. – I na pewno pamiętasz też, o czym rozmawialiśmy?

– Za pierwszym razem powiedziałeś, że już się kiedyś spotkaliśmy.

– Gdzie?

– Mówiłeś, że teraz wszystko w twoim życiu dzieje się drugi raz.

– Pamiętasz takie rzeczy po tylu latach?

– I mówiłeś, że razem byliśmy dziećmi w czasach Holokaustu albo Biblii, albo jaskiniowców, nie mogłeś sobie dokładnie przypomnieć kiedy – i że tam spotkaliśmy się pierwszy raz, i że ty byłeś tam aktorem w teatrze, a ja byłam tancerką…

– Drooodzy państwo! – Powstaje na równe nogi, przerywając jej okrzykiem i szybko od niej umykając. – Mamy tu niezwykle rzadkie zeznanie na temat waszego szczerze oddanego, kiedy był mały! A nie mówiłem? Nie ostrzegałem? Wiejski głupek, stuknięty chłopak, sami słyszeliście, i do tego podrywał małe dziewczynki, pedofil jeden, na domiar złego bujał w obłokach: byliśmy razem w Holokauście, w Biblii… No sami widzicie! – Obnaża zęby w szerokim, szczodrym uśmiechu, który jednak nikogo nie przekonuje. Równocześnie ze zdumieniem spogląda na mnie, jakby nagle nabrał podejrzeń, że maczałem w tym palce, w pojawieniu się tej maciupkiej kobiety. Kręcę głową, przykro mi. Ale właściwie dlaczego ma mi być przykro. Naprawdę jej nie znam. Nigdy nie byłem w jego dzielnicy, ponieważ za każdym razem, gdy proponowałem, że odprowadzę go do domu, odmawiał, wykręcał się, znajdował wymówki, skomplikowane i pokrętne historyjki.

Wiedzcie, że tak było ze mną zawsze! – Teraz prawie piszczy. – Nawet zwierzęta w Romemie się ze mnie nabijały! Serio, pewien czarny kot spluwał za każdym razem, gdy go mijałem, opowiedz im, koteczku…

– Nie, nie… – Podczas gdy Dowale zabawia publiczność, jej krótkie nogi wierzgają pod stolikiem, jakby ją ktoś dusił, a ona z trudem łapała powietrze. – Ty byłeś chłopcem, który…

– Chwileczkę, a czy to prawda, że bawiliśmy się w lekarza i pielęgniarkę i ja byłem pielęgniarką?

– To wszystko nieprawda! – krzyczy ona, z trudem dźwiga się z krzesła i staje na nogi. Aż trudno uwierzyć, że jest taka miniaturowa. – Czemu tak

mówisz? Byłeś dobrym chłopcem!

Cisza w sali.

– Jak, jak? – prycha i nagle policzek mu płonie, jakby to było bardziej bolesne uderzenie od ciosów, które sam sobie wymierzył. – Jak mnie nazwałaś?

Ona wspina się na palce, siada z powrotem na krześle, zapada się w sobie, smutnieje.

– Wiesz, Calineczko, że mogę cię podać do sądu za szkalowanie mojego dobrego imienia? – Klepie się obiema rękami po udach i wybucha śmiechem. Potrafi dobywać gromki śmiech z głębi brzucha, ale publiczność, prawie cała, tym razem odmawia współpracy.

Ona pochyla głowę. Bawi się pod stolikiem palcami – drobne, precyzyjne ruchy. Ustawia palce naprzeciw siebie, przesuwa jedne nad drugimi, potem zgina i plącze. Sekretny taniec, z własnymi regułami.

Głęboka cisza. W jednej chwili spektakl się wali. On, na scenie, zdejmuje okulary i mocno przeciera oczy, wzdychając do siebie. Ludzie przy stolikach odwracają od niego wzrok. Niewidzialna zgryzota rozprzestrzenia się w sali niczym pogłoska o niezwykle poważnych trudnościach, która utorowała sobie drogę z daleka i właśnie zaczęła docierać.

Naturalnie pojmuje, że wieczór wymyka mu się z rąk, więc natychmiast wykonuje wewnętrzny slalom, można niemal dosłyszeć zgrzyt mechanizmu. Otwiera szeroko oczy i przybiera uszczęśliwioną minę: – Jesteście niesamowitą i nadzwyczajną publicznością! – wykrzykuje i znów miota się po deskach, trzaskając swoimi durnymi kowbojkami. – Kochani bracia i siostry, cudowni jesteście, każde z osobna… – Nieprzyjemny zgrzyt, który próbuje zatuszować, rozchodzi się jednak jak pierdnięcie w niewielkim pomieszczeniu. – Nie jest łatwo! – woła, otwierając ramiona do serdecznego uścisku z powietrzem. – Nie jest łatwo dociągnąć do pięćdziesięciu siedmiu lat, zwłaszcza że przeżyłem, jak właśnie usłyszeliśmy, Holokaust, a nawet Biblię!

Kobieta kurczy się, głowę schowała głęboko między ramiona, a on jeszcze zwiększa głośność, starając się zagłuszyć jej milczenie.

– W tym wieku najfajniejszą rzeczą jest to, że stąd da się już wyraźnie dostrzec napis „Tu żyją sobie szczęśliwie Dowale i robale”… Siema, ziomale! – grzmi. – Super, że przyszliście, czeka nas tutaj szalona noc! „Z najdalszych krańców naszej ziemi przybyliście”, widzę tu chłopaków z Jerozolimy, z Beer Szewy, z Rosz ha-Ajin…

Głosy z tyłu sali dopowiadają gromko: – Z Arielu! I z Efratu! – Udaje zdziwionego: – Chwilka, jesteście z terytoriów okupowanych? To kto tam został, żeby bić Arabów? Żartowałem, jaaa-sne, że żartowałem, od razu przyjmujcie odszkodowania! Bierzcie dwadzieścia milionów dolarów na zakup puf do siedzenia i balonowej gumy do żucia, przyda się w centrum kultury imienia Barucha Goldsteina, morder…, przepraszam, świętego, niech Bóg pomści jego krew. Za mało jak dla was? Żaden problem! Weźcie sobie jeszcze pół hektara ziemi i jeszcze jedną kozę, weźcie stado kóz, bierzcie całą krajową hodowlę bydła, zabierajcie cały ten kraj, w pizdu! Och, faktycznie, przecież już zabraliście.

Oklaski, które mu do tej chwili wtórowały, zamierają. Kilkoro młodych ludzi na końcu sali, chyba żołnierzy na przepustce, bębni z całych sił w stoliki.

– Hej, szefie! Joaw, skarbie! Spójrzcie na jego minę, coś ty tak spanikował? Przysięgam, że więcej nie będzie takiej gadki, koniec z tym. Tak, wiem, że tak powiedziałem, obiecałem, dałem słowo, no wiem, wymknęło mi się, ale teraz koniec kropka, żadnej polityki, żadnej okupacji, żadnych Palestyńczyków, żadnego świata, żadnej rzeczywistości, żadnych „dwóch osadników na kasbie w Hebronie”, och, pliiiz, Joaw, tylko ten jeden opowiem, to będzie ostatni…

Mam wrażenie, że doskonale wie, co robi i czego mu teraz pilnie trzeba, ale Joaw stanowczo kręci głową, publiczność też nie chce polityki. Powietrze znów wypełniają gwizdy, walenie pięściami i okrzyki, żeby wracał do stand-upu. – Chwila, ludzie złoci – nalega błagalnym tonem – ten wam się spodoba, ubawicie się po pachy, gwarantuję, posłuchajcie tylko: Po

kasbie w Hebronie spacerują sobie dwaj żydowscy osadnicy i jeden Arab. Nazwijmy go Arabusem, ot takie obiegowe określenie – gwizdy i walenie pięściami przygasają, gdzieniegdzie uśmieszki. – I nagle słyszą z głośnika zapowiedź izraelskiej armii, że za pięć minut zacznie się dla Arabów godzina policyjna. Jeden z osadników zdejmuje z ramienia strzelbę i pakuje Arabusowi kulkę prosto w łeb. Drugi pyta ciut zadziwiony: „Ożeż ty, bracie mój świątobliwy, czemu to zrobiłeś?". A świątobliwy brat patrzy na niego i mówi: „Bo widzisz, ja wiem, gdzie on mieszka: za nic w świecie nie zdążyłby dobiec do domu".

Publiczność śmieje się trochę zażenowana. Niektórzy głośnym westchnieniem wyrażają dezaprobatę, jakaś kobieta robi nawet „buuu". A menedżer akurat chichocze, zaskakująco piskliwym głosem, co z kolei wywołuje bardziej zrelaksowane śmiechy na widowni.

– No widzisz, Joawuś! – Cieszy się na scenie, chyba przeczuwa, że podstęp mu się udał. – Nic się nie stało! Na tym polega urok humoru, że czasem można się pośmiać! A jakby mnie kto spytał, moi kochani, to na tym polega największy problem lewactwa, że nie umieją się śmiać, nic a nic. Czy ktokolwiek widział śmiejącego się lewaka? Gwarantuję wam na tysiąc procent, że nie. Nawet jak jest sam, nie pozwala sobie na podśmiechujki, a zazwyczaj jest sam. Jakoś w ogóle ich nie śmieszy cała ta sytuacja! Nie rozumiem ich... – Wytacza z głębi trzewi swój gromki śmiech, publiczność go podchwytuje. – Zastanawialiście się kiedykolwiek, jak wyglądałby świat bez lewaków? – Rzuca okiem na Joawa i jeszcze raz na publiczność, najwyraźniej wyczuwa, że w drodze wyjątku dostał jeszcze parę punktów kredytowych, więc galopuje: – Pomyślcie tylko, jaka to może być fajna zabawa, Netanjo milusińska. Zamknijcie na chwilę oczęta i pomyślcie o świecie, w którym można robić wszystko, wszyściuchno, cokolwiek wam przyjdzie do głowy, i nikt wam za nic nie wlepia żółtej kartki! Nie ma żółtych kartek! Ani czerwonych! Nie ma skwaszonych gąb w telewizji ani wrzodogennych artykułów w gazecie! Nie ma zawracania nam dupy od pięćdziesięciu lat, od świtu do nocy, okupacją-sracją. Nie ma już takich, co zapomnieli, że są Żydami! – Publiczność reaguje ciepło,

oddaje mu się, a on nakręca się bijącym od niej ciepełkiem. I cały czas unika spoglądania na malutką kobietę. – Najdzie was ochota, żeby na tydzień wprowadzić godzinę policyjną w jakiejś wsi? Sru, jest godzina policyjna! Jeden dzień, drugi i jeszcze jeden, ile tylko dusza zapragnie… – Znowu rzut oka na menedżera: – Nabijanie się z lewaków nie jest uważane za politykę, prawda, Joawuś? To tylko stwierdzenie faktów, no nie? Super, to na czym stanęliśmy? Ach tak: masz ochotę popatrzeć, jak Arabowie tańczą na checkpoincie? Bum, jedno twoje słowo, a już tańczą, śpiewają, zrzucają z siebie fatałaszki. Ileż radości życia w tym egzotycznym ludzie! Jacy otwarci raptem się stają dzięki niezwykłej atmosferze checkpointu! Jak uwielbiają tam śpiewać całą gromadą! „Doopóki w seercach naaaszych". – Publiczność nie jest pewna, jak reagować na słowa hymnu. – Jak raptem przylegają do swoich kobiecinek u boku! „Witajcie, pogranicznicy, witajcie, od tyłu nas wyruchajcie!". – Zaczyna leciutko się kołysać, kręci biodrami i pośladkami w rytm swoich słów, klaszcząc powoli i z namaszczeniem: „Witajcie, pogranicznicy, witajcie, od tyłu nas wyruchajcie!". – Rozkołysana sylwetka faluje niewyraźnie na powierzchni stojącego z tyłu miedzianego dzbana. Do śpiewu dołącza kilku mężczyzn, a on naprowadza ich na ciężki arabski akcent. Żołnierze zawodzą najgłośniej, drą się na całe gardło (odniosłem wrażenie, że początkowo nieco się wahali nie ze względu na niewybredność tekstu, lecz dlatego, że to piosenka straży pogranicza). Teraz rozśpiewały się także trzy lub cztery kobiety, popiskując, gdzieniegdzie połykając słowa, ale za to nadrabiając entuzjastycznymi oklaskami, a jedna z nich wybucha donośnym „uuuu!". Całe to muzykowanie jednak nie jest wcale tym, czym mogłoby się zdawać, bo mam wrażenie, że człowiek na scenie drwi sobie z widzów, bawi się nimi, po chwili jednak wydaje mi się, że to widzowie chytrze wciągają go w jego własną pułapkę i że ta podwójna gra czyni z nich wspólników w jakiejś obślizgłej, występnej sprawie. Teraz Dowale dzieli swój chórek na męski i żeński, dyryguje nim w uniesieniu, strzepując z powiek fałszywe łzy, prawie cała sala śpiewa i cieszy się razem z nim, on zaś, dyrygent, podejrzewam, że umyślnie celował właśnie w to mętne

poczucie wspólnictwa, które wkłuwa się głęboko w nasze trzewia, wzbudzając coś w rodzaju lepkiej, pogmatwanej rozkoszy, odrażającej, lecz zarazem na swój sposób pociągającej, jednym zdecydowanym ruchem chwyta w dłoń śpiew wszystkich chórzystów i następuje chwila ciszy, muzyczna pauza, niemal czuję, jak odlicza w duchu takt, raz, dwa, trzy, cztery, po czym znowu uderza jak burza: – Najdzie was chęć, żeby zaplombować kilka studni przed śniadankiem, moi prawi przyjaciele? Dobra wróżka użyczy wam swojej czarodziejskiej różdżki na tydzień! Na pięćdziesiąt lat! Macie chrapkę na „sprawiedliwy odwet"? Areszt prewencyjny do koń-ca ży-cia? Na ży-we tar-cze? – Widzowie przyłączają się do tego powolnego, rytmicznego klaskania nad głową i tupania nogami w sceniczne deski odbijającego się ciężkim, głuchym echem w całej sali. – Chcecie zagrać w monopol z wywłaszczaniem nieruchomości? W remika z godziną policyjną? W brydża z blokadą granicy? A może macie wilczy apetyt na żywe tarcze? Na słomianą wdowę? Na psikusy „raz im włączyć światło, raz wyłączyć światło"? Albo upierdliwe kontrole na drogach? Albo zabawę w „Naszczaj-Ahmed-na-towar-dłużej-świeżość-zachowa"? – Z każdym słowem zapala się coraz bardziej, rysy twarzy stają się ostre i wyraziste, jakby je ktoś podkreślił długopisem. – Wszystko możecie zrobić! – krzyczy. – Wszystko jest dozwolone! Więc grajcie sobie do woli, drogie dziatki, bawcie się, bawcie w marzenia! Tylko pamiętajcie, moi milusińscy, że czarodziejska różdżka nie jest na zawsze, ma drobną wadę techniczną, *shit*! – Gniewnie przewraca oczami i tupie nogą jak oszukane dziecko: – Tak, ta kurwa różdżka jest felerna, błąd systemu! Teraz już rozumiecie, prawda, kochane maleństwa? Okazuje się – wychyla się ku publiczności nad krawędzią sceny i konspiracyjnie zakrywa ręką usta – że dobra wróżka to kapryśna dziwka, tak to już jest z wróżkami, i że później wszystko się odwróci, bo ona tak właśnie lubi, a wtedy to my, s i u r p r a j z!, będziemy zawodzić przy i c h blokadach „Biladi, biladi", kraju mój ukochany! O tak, każą nam śpiewać palestyńskie hymny i skandować ich hasła: „Chajbar, Chajbar pamiętamy, Żydów znów powyrzynamy!". No dalej, zaśpiewajcie razem ze mną, prawi przyjaciele, moje wy wolne ptaki,

moje jaja z wolnego wybiegu, „Chajbar, Chajbar pamiętamy…”. – Publiczność tym razem nie daje się wciągnąć, publiczność wali rękami w blaty i gwiżdże, publiczność nie jest frajerem. Wysoki chłopak z ogoloną głową, być może żołnierz na przepustce, gwiżdże tak zapamiętale, że omal nie przewraca się razem z krzesłem. Powstaje mały zamęt…

Dobra, macie rację, macie rację! – Unosi ręce na znak, że się poddaje, cały jest jednym wielkim śmiechem sympatii i dobroci. – Po co sobie głowę zawracać? Upłynie kupa czasu, zanim do tego dojdzie, Joaw ma sto procent racji: żadnej polityki! Zresztą kiedy to się zdarzy, nasze dzieci zdążą już urosnąć, więc to ich problem, bo kto im każe tu zostawać i zajadać to gówno, któreśmy im naszykowali? Więc po co teraz się denerwować, kłócić, walczyć i toczyć bratobójcze wojny, po co łamać sobie głowę, po co w ogóle myśleć?! Brawa dla niemyślenia! – wrzeszczy, na szyi pęcznieją mu zielonkawe ścięgna. – Hej, Joawuś! – ryczy. – Kopsnij tu nam więcej światła, żebyśmy mogli zobaczyć, kto jest przeciwko komu, no dawaj, zalewaj światłem, zalej całą salę… Siema, słodziaki, naprawdę miło, że przyszliście… Domyślam się, że akurat, jak na złość, zabrakło biletów na występ Adiego Aszkenaziego… Powiedzcie: nie za gorąco wam czasem? Jak to nie? Spójrzcie, jak ja się roztapiam, pot ze mnie spływa. – Obwąchuje sobie pachę i wdycha głęboko. – Ochchch, gdzie się podziewają handlarze piżmem, kiedy w sam raz ich potrzebujesz? Podkręć trochę klimę, człowieku, nie żałuj nam prądu, chociaż raz. Na mój koszt! Na czym stanęliśmy?

Jest wzburzony i rozkojarzony. Cały huragan z prowokowaniem publiczności najwidoczniej nie pomaga mu przejść do porządku dziennego nad tym, co wywołała swoim wtargnięciem malutka kobieta. Wyczuwam to. Widownia też wyczuwa.

– O czym mówiliśmy… O felernej różdżce… „Biladi, biladi”… O naszych popieprzonych dzieciach… Prosiłbym, żeby protokolantka zechciała uprzejmie powtórzyć kilka ostatnich zdań… – Wte i wewte sunie zygzakiem po scenie, prześlizgując się zakłopotanym wzrokiem po malutkiej kobiecie, która siedzi z opuszczoną głową. Teraz jego twarz

rozciąga się w jadowitym rechocie. Zaczynam rozpoznawać ten grymas. Jakby przebłysk wewnętrznej agresji. Albo zewnętrznej, głęboko ukrytej.

Milutki dzieciak, tak? Dobry chłopiec… – mruczy do siebie, twarz ma skrzywioną, jakby mu ktoś serce zmiażdżył. – Niesamowita jesteś, słowo daję! Skąd ja cię wytrzasnąłem? Wróżbitkę wylosowałem na swoje urodziny? Co was napadło, Netanjo? Nie mogliście po prostu przynieść flaszki dom perignona? To już wam nie wystarcza? Tacy się zrobiliście oryginalni? No pomyślcie tylko, w całym cywilizowanym świecie artyści mojego kalibru dostają na urodziny gorące laski, które nago wyskakują z tortu, a ta co najwyżej mogłaby wyskoczyć z herbatnika! Żartowaaałem, no nie rób takiej miny, laleczko, to wszystko dla śmiechu, no nie płacz, no… uf… no, kochanie…

Ale ona nie płacze. Wykrzywia z bólu twarz, lecz nie płacze. On patrzy na nią, na jego twarzy mimowolnie odzwierciedla się jej twarz. Podchodzi do fotela, siada. Wygląda na wykończonego, pokonanego. Z widowni ktoś krzyczy: – Dalej, dawaj czadu! – Niepokaźny mężczyzna w niebieskim dresie woła: – Co z tym pokazem? Terapię grupową będziesz z nią odstawiał? – Mnóstwo osób parska śmiechem. Zaczyna się przebudzenie, jakby z dziwacznego snu. Kobieta siedząca przy stoliku koło baru rzuca w stronę sceny: – Może kubeczek mleka? – Jej przyjaciele klaszczą, od paru stolików dobiegają wybuchy śmiechu i słowa zachęty, a Dowale wystawia palec, maca ręką za fotelem i wyciąga duży czerwony termos. Na widowni niektórzy już śmieją się z zachwytu, a ja usiłuję zrozumieć, po co ludzie przychodzą na jego występy drugi raz lub więcej: co on im daje?

Jest taki obnażony i złachany, co on ma do dawania?

Może i dobrze, że tu zostałem, myślę z dziwnym dreszczem podniecenia, mimo wszystko dobrze, że zostałem, aby to zobaczyć.

Wymachuje termosem przed publicznością. Wielkimi literami, czarnym mazakiem jest na nim napisane: „MILK”. Wiwaty. On powoli odkręca pokrywkę, bierze łyk, lubieżnie oblizuje wargi. – Ach – uśmiecha się. – Smak dawnych czasów, jak powiedziała pewna kurwa, obciągając staremu prykowi. – Znów bierze łyk, pospiesznie, grdyka mu lata. Po chwili stawia

termos na podłogę, między nogami, i siada na brzegu fotela. Długo przygląda się małej kobiecie, potrząsając głową ze zdumienia.

Potem zgina cały tułów, głowa na kolanach, ramiona wyciągnięte wzdłuż nóg. Trudno się zorientować, czy w ogóle oddycha.

W klubie znów jest bardzo cicho, powietrze nagle gęstnieje. Myśl, że być może już nie wstanie z fotela, przebiega – jak sądzę – przez głowę każdego z widzów. Jakby wszyscy wyczuwali, że gdzieś tam, w jakiejś dalekiej i rozkapryszonej sali rozpraw toczy się właśnie moneta, która może opaść na jedną lub na drugą stronę.

Jak on to zrobił, zastanawiam się, jakim cudem w tak krótkim czasie udało mu się zamienić publiczność, w pewnym sensie także mnie, w domowników swojej duszy? I w zakładników?

Niespieszno mu wcale, żeby dźwignąć się z tej dziwacznej pozycji. Wręcz przeciwnie, zapada w nią coraz głębiej. Chudy warkoczyk opadł na czaszkę, która z tej perspektywy – gdy cały jest wychylony do przodu – wygląda na zdumiewająco małą i starą, zbyt starą jak na jego wiek, jakby skurczoną wskutek specjalnej obróbki.

Rozglądam się wokół ostrożnie, aby nie zerwać żadnej pajęczej nici. Większość ludzi wychyla się do przodu i patrzy, jakby ktoś urok na nich rzucił. Młody motocyklista powoli oblizuje dolną wargę. To chyba jedyny ruch, jaki dostrzegam.

I kiedy on, wydobywszy w końcu swoje ciało z czeluści fotela, wstaje i prostuje się przed nami, na jego twarzy pojawia się coś nowego.

– Chwilunia, czekajcie, cicho! Trzeba przerwać i zacząć wszystko od nowa, cały wieczór od początku! To wszystko było pomyłką! Wymazać, zapomnieć, nie dlatego że nie zrozumieliście, bo jesteście super, to przeze mnie, ja nie skumałem, jaka gratka mi się przytrafiła, Boże święty! – Chwyta za głowę obiema rękami. – Nie uwierzycie, co się będzie działo dziś wieczór, Netanjo! O Netanjo, miasto brylantowe, ależ fartowna z was publiczność, dziś wieczorem rzeczywiście uczynimy dla was cud, megazabawę… – Mówi do widzów, ale jego oczy przeszywają moje, próbują powiedzieć mi coś pilnego, niecierpiącego zwłoki, coś zbyt

skomplikowanego dla spojrzeń. – Wasz szczerze oddany postanowił po dokładnym rozpatrzeniu sprawy i po naradzie z gato negro hojnie rozcieńczonym przez szefa wodą z kranu, twoje zdrowie, Joawku Rozcieńczaczu ty mój, krótko mówiąc, zdecydowałem… co zdecydowałem… zobaczmy… słowa mi się plączą, ach tak, postanowiłem jako osobisty wyraz mej wdzięczności za to, że przyszliście, by wyprawić mi urodziny, chociaż mały ptaszek szeptał mi do ucha, nawiasem mówiąc, musiał szeptać, bo jak raz ochrypł, biedactwo, z powodu ptasiej grypy, że być może na śmierć zapomnieliście, że dziś są moje…

Międli słowa. Odciąga naszą uwagę, bo jednocześnie trawi jakiś skomplikowany pomysł, który strzelił mu do głowy, i już planuje następny ruch.

– Mimo wszystko przybyliście, więc z powodu waszej wspaniałomyślności, jako że zjawiliście się tłumnie, by ze mną świętować, spontanicznie postanowiłem dać wam dziś wieczorem mały suwenir, coś od serca. Taki jestem zajefajny, hojność to moje drugie imię, Dow Przełaskawy Grinsztajn, tak będzie napisane na moim nagrobku, a poniżej: „Tu spoczywa w pokoju wielki potencjał", a jeszcze ciut niżej: „subaru, rocznik 98, w idealnym stanie, cena do uzgodnienia". Ale tak między nami, moi kochani, co ja właściwie mam, żeby was obdarzyć? Pieniędzy, jak już ustaliliśmy, nie mam. Ani grosza przy dupie, nawet dupy prawie nie mam, za to mam piątkę dzieci, tyle że żadnego z nich nie mam, a moim największym osiągnięciem w życiu jest to, że udało mi się wyprodukować dużą i bardzo zjednoczoną rodzinę – przeciwko mnie. Żeby nie przynudzać, Netanjo, skumaliście już, że niczego ni w ząb nie mam, a jednak zamierzam dać wam tutaj coś, czego do tej pory nikomu nie dałem, coś nieskalanie uczciwego, historię z życia wziętą. Tak, to są najlepsze historie, tak, jestem za, jestem za! Co jest, stoliku numer sześć? Coś tak spanikował, człowieku? To tylko opowieść, nie będziesz musiał zbytnio nadwerężać przysadki mózgowej, nawet nie zauważysz, że ją masz. To tylko słowa. Wiatr i brzęczenie dzwoneczków. Jednym uchem wpadnie, drugim wypadnie.

Znów spogląda na mnie. Jego oczy przewiercają mnie nagląco, błagalnie.

– Chcę, żebyś mnie obejrzał – powiedział tamtej nocy przez telefon, po tym jak przeprosiłem go z całego serca za swoją napastliwość. – Po prostu musisz tam posiedzieć półtorej godziny, góra dwie, to zależy, jak się rozwinie wieczór. Załatwimy stolik gdzieś z boku, żeby nikt ci nie przeszkadzał. Napoje, jedzenie, a jeśli zechcesz, to taksówka na zawołanie, wszystko na mój rachunek, zapłacę też za robociznę tyle, ile zażądasz.

– Chwileczkę, nadal nie rozumiem, na czym ta robota ma polegać.

– Już mówiłem. Jeśli chcesz, możesz mnie nagrywać, robić komórką zdjęcia, wszystko mi jedno. Grunt, żebyś mnie obejrzał.

– I co potem?

– Potem, jak będziesz miał ochotę, zadzwonisz i powiesz mi, co widziałeś.

– Słuchaj – odparłem. – Do czego ci to potrzebne?

Zastanawiał się. Chyba z pół minuty myślał.

– Do niczego. Dla siebie. Nie wiem. Posłuchaj, wiem, że ci spadłem na głowę ni z gruchy, ni z pietruchy, ale nagle poczułem, że tak ma być, no właśnie. Że już czas.

– Niech no zrozumiem – roześmiałem się. – Chodzi ci o to, żebym zrecenzował twój występ, czy po prostu chciałbyś wiedzieć, jak wypadasz na scenie? Zresztą ja tak czy owak do żadnej z tych rzeczy się nie nadaję.

– Nie, no coś ty… Skąd ci to przy… – Parsknął śmiechem. – Wierz mi, dobrze wiem, jak wypadam.

Wziął głęboki wdech i szybko wypuścił powietrze, jakby od dawna ćwiczył sobie ten tekst: – Chciałbym usłyszeć, o ile się zgodzisz, usłyszeć od takiego faceta jak ty, Awiszaj, od kogoś wytrenowanego, to znaczy kogoś, kto całe życie patrzył na ludzi i w pół sekundy ich rozszyfrowywał, na wylot…

– Hola, hola – przerwałem mu – trochę cię poniosło.

– Nie, nie, staram się tylko… Wiem, co mówię. Czytałem w gazetach o twoich rozprawach, obserwowałem, przytaczali twoje wyroki i to, co

mówiłeś o oskarżonych i adwokatach, wszystko, co powiedziałeś, było jak cięcie nożem. Ostatnio trochę mi zniknąłeś z oczu, ale oczywiście pamiętam, że miałeś parę głośnych przypadków, kiedy cały kraj… Możesz mi wierzyć, Awiszaj, proszę wysokiego… czy jak cię zwać, mam dobre oko do takich rzeczy. Niekiedy to było prawie jak czytanie książki.

Jego szczerość mnie rozbroiła. Chyba nawet więcej – rozbawiła. Pomyślałem o swoich orzeczeniach, w których cyzelowałem i polerowałem każde zdanie, raz po raz – z umiarem, oczywiście, i bez zadzierania nosa – wplatając soczystą metaforę lub cytat z wiersza Pessoi, Kawafisa czy Natana Zacha, a nawet własne obrazy poetyckie… Naraz poczułem dumę z powodu swoich orzeczeń, tych skromnych zapomnianych perełek.

W duszy mignęła mi scena: Tamara, jakieś pięć lat temu, siedząca w kuchni z nogą podwiniętą na krześle, na stole kubek gorącej wody z listkiem mięty, a ona stuka o zęby zaostrzonym ołówkiem, co doprowadza mnie do szału, i przeczesuje moje zapiski „drobnym grzebieniem do wygarniania pcheł", wydłubując z nich „sentymentalne przymiotniki, egzaltowane wyrażenia oraz inne ekscesy, do których wysoki sąd ma nadmierną skłonność" (ja w salonie drepczę tam i powrotem w oczekiwaniu na jej werdykt).

– A więc o to ci chodzi? – Roześmiałem się. Naraz musiałem wziąć oddech. – Chcesz prywatnego wyroku? Drobnego zawłaszczenia wymiaru sprawiedliwości? Domowej wizyty sędziego? Nieźle…

– Wyrok? – powiedział zdumiony. – Jaki znowu wyrok?

– Ach, więc to nie to? Myślałem, że może chcesz mi coś opowiedzieć, żebym mógł…

– Jaki znowu wyrok? – Zimny, ostry podmuch wionął do mnie przez telefon. Słyszałem, jak przełyka ślinę. – Wystarczy, że przyjdziesz na mój występ, popatrzysz na mnie przez chwilę i nic więcej, naprawdę nic więcej, a później powiesz, ale bez żadnego rozczulania, to najważniejsze, ze dwa–trzy zdania, tak jak ty potrafisz, nie bez powodu wybrałem ciebie… – I znów się roześmiał, ale w jego głosie już usłyszałem wahanie.

Nie miałem wątpliwości, że to nie wszystko. Coś ukrywał, niewykluczone, że przed sobą samym. Zadałem jeszcze parę pytań, próbowałem to z jednej, to z drugiej strony, podkręcałem i dociskałem, jak się dało. Ale bezskutecznie. W żaden sposób nie zdołał nic doprecyzować, poza niejasnym życzeniem, żebym „go obejrzał". Rozmowa zaczynała kręcić się w kółko. Czułem, jak z minuty na minutę niknie jego naiwna, dziecinna nadzieja na to, że mimo czterdziestu paru lat rozłąki przetrwało między nami głębokie, natychmiastowe zrozumienie.

– Powiedzmy, że… – wybąkał, kiedy już zaczynałem formułować odmowę. – Powiedzmy, że posiedzisz tam i pooglądasz mnie przez godzinę, półtorej, nic więcej, mówiłem ci, że to zależy, jak potoczy się wieczór, a potem chwycisz za telefon albo wyślesz pocztą, byłoby miło dostać list od kogoś innego niż komornik, wystarczy jedna strona, nawet kilka linijek albo jedno zdanie. Przecież ty potrafisz jednym zdaniem załatwić człowieka…

– Ale co? O czym?

Znów parsknął z zakłopotaniem: – Powiedzmy, że powiesz, co to jest to coś, co mam… Nie, dajmy sobie spokój, zapomnij o tym.

– No mów…

– Chodzi mi o to, co można wychwycić, kiedy się mnie ogląda. Co ludzie wiedzą, gdy na mnie patrzą… O to coś, co ze mnie wyłazi. Rozumiesz?

Powiedziałem, że nie. Suczka, uniósłszy łeb, spojrzała na mnie bacznie, zwietrzyła kłamstwo.

– No dobra – westchnął. – Dajmy ci spokojnie zasnąć. Chyba nic z tego nie będzie.

– Zaczekaj – odparłem. – Mów dalej.

– Sęk w tym – powiedział – że nie mam już nic do…

I akurat w tym momencie coś w nim pękło i popłynęło ciurkiem: – Powiedzmy, że idę sobie ulicą, a naprzeciwko idzie ktoś, kto mnie nie zna, zupełnie nic o mnie nie wie. Pierwsze spojrzenie i bum! Co on ze mnie wyłapie? Co sobie zarejestruje w głowie? Nie wiem, czy jasno się wyrażam…

Wstałem i zacząłem dreptać z telefonem po kuchni, w tę i z powrotem.

– Ale przecież ja cię wcześniej widziałem – przypomniałem mu.

– Minęło tyle lat – odpowiedział bez wahania. – Ja to już nie ja, ty to nie ty.

Pamiętałem: niebieskie oczy, nieproporcjonalnie duże w stosunku do twarzy, i wydatne wargi, które nadawały mu wygląd dziwacznego pisklęcia o ostrych rysach. Szybko pulsującej cząsteczki życia.

– Takie coś – powiedział cicho – co wychodzi z człowieka niekontrolowanie? Co być może ma w sobie tylko ten jeden konkretny człowiek na świecie?

Promieniowanie osobowości, pomyślałem, wewnętrzny blask. Albo wewnętrzna ciemność. Sekret, drganie wyjątkowości. Wszystko, co rozciąga się poza słowami, które opisują człowieka, i poza zdarzeniami, jakie mu się przytrafiły, i czymś, co się w nim wypaczyło i zepsuło. To coś, czego przed laty, gdy dopiero zaczynałem jako sędzia, naiwnie obiecałem sobie szukać w każdym człowieku, który przede mną stanie, czy to oskarżony, czy świadek. Przyrzekłem, że nigdy nie będę na to obojętny. Że to coś będzie punktem wyjścia mojego wyroku.

– Od prawie trzech lat nie jestem sędzią. – Naraz poczułem potrzebę, by mu zakomunikować. – Od trzech lat jestem, jak to się mówi, w stanie spoczynku.

– Tak szybko? Co się stało?

Przez chwilę poważnie rozważałem, czy nie opowiedzieć mu całej historii.

– Odszedłem – powiedziałem. – Na wcześniejszą emeryturę.

– Co w takim razie robisz?

– Niewiele. Siedzę w domu. Zajmuję się ogródkiem. Czytam.

Milczał. Wyczuwałem i doceniałem jego powściągliwość.

– Stało się to – odparłem ku swojemu zaskoczeniu – że moje wyroki były trochę za ostre jak na gust systemu.

– Aha – odparł.

– Zbyt agresywne – zadrwiłem. – Sąd Najwyższy hurtowo mi je uchylał.

Powiedziałem mu też, że parę razy wkurzyłem się na łżących w żywe oczy, bezczelnych świadków, na oskarżonych, którzy dopuścili się potwornych, obrzydliwych czynów na swoich ofiarach, i na ich adwokatów, którzy torturowali te ofiary podczas przesłuchań. – Popełniłem wtedy błąd – ciągnąłem, jakbym od dawna przywykł do rozmów z nim – bo powiedziałem któremuś z tych ustosunkowanych i wpływowych adwokatów, że moim zdaniem jest zakałą rodzaju ludzkiego. To przesądziło o moim losie.

– Nie wiedziałem – odparł. – Ostatnio nie za bardzo śledziłem, co się dzieje dookoła.

– Tego rodzaju rzeczy – powiedziałem – robi się u nas prędko i po cichu. Trzy–cztery miesiące i sprawa załatwiona. No, jak widzisz – roześmiałem się – czasami młyny sprawiedliwości mielą szybko.

Nie odpowiedział. Byłem trochę zawiedziony, że nie udało mi się rozśmieszyć komika.

– Za każdym razem gdy wpadło mi w oko twoje nazwisko – powiedział – przypominałem sobie, jacy kiedyś byliśmy, i ciekawiło mnie, co robisz, gdzie jesteś czy w ogóle mnie pamiętasz. Widziałem, że pniesz się coraz wyżej, ale dobrze ci życzyłem, z całego serca.

Suczka wydała cichutkie, niemal ludzkie westchnienie. Nie umiem się pogodzić z tym, że trzeba ją uśpić. Wciąż tak bardzo przypomina mi o Tamarze – zapach, głos, dotyk, wygląd. Znowu rozdzieliła nas cisza, ale teraz zupełnie inna. Pomyślałem: a co ludzie widzą we mnie na pierwszy rzut oka? Czy można jeszcze dostrzec, kim do niedawna byłem? Czy wielka miłość, której zaznałem, odcisnęła na mnie piętno? Ślad moich ponownych narodzin?

Od dawna nie zapuszczałem się w takie rejony, więc te myśli mnie skołowały. Poprzewracały we mnie różne rzeczy do góry nogami. Nadal miałem przeświadczenie, że robię błąd, ale być może, dla odmiany, taki błąd wyjdzie mi na dobre. I powiedziałem:

– Jeśli to zrobię, a wciąż nie jestem pewien, że tak, to wiedz, że nie zamierzam się nad tobą rozczulać.

– Zapominasz, że to był mój warunek, nie twój. – Roześmiał się.

Powiedziałem, że jego pomysł brzmi trochę tak, jakby ktoś sam napuszczał na siebie płatnego mordercę.

Znów się zaśmiał.

– Wiedziałem, że się nadasz. Tylko pamiętaj – jednym strzałem, prosto w serce.

Też się roześmiałem. Poczułem w sobie zapomniany ciepły opar naszych dawnych dni. Pożegnaliśmy się z jakimś nowym rodzajem ulgi, wręcz z ożywającą sympatią. I dopiero wtedy, być może z powodu wypowiedzianych na koniec rozmowy słów, dostałem niespodziewany cios: przypomniałem sobie, co przydarzyło się jemu, a także mnie, kiedy byliśmy razem w Beer Ora na obozie przysposobienia obronnego, i na kilka sekund dosłownie zamarłem z przerażenia na samą myśl, że w ogóle potrafiłem o tym zapomnieć.

I że on o tym nie wspomniał ani słowem.

*

– Będziecie musieli jednak uzbroić się w cierpliwość, moi drodzy, bo to jest historia, której, Bóg mi świadkiem, nigdy nie opowiadałem na występach, na żadnym stand-upie ani też prywatnie, absolutnie nikomu, a tu raptem dziś wieczór to mi się przydarzy…

Im szerszy ma uśmiech, tym bardziej ponura staje się jego twarz. Spogląda na mnie, wzruszając bezradnie ramionami, całym sobą pokazuje, że zaraz nastąpi wielki fatalny skok, ale nie ma wyboru, musi go wykonać.

– A zatem proszę bardzo: oto świeżutki przysmak, dopiero co z folii odwinięty, jeszcze nie czuję go dobrze na języku, tak więc, panie i panowie, dziś wieczorem będziecie moimi króliczkami doświadczalnymi, szaleję za tobą, Netanjo!

Znowu niepohamowany aplauz, odgłosy śmiechu i okrzyki zachęty. On znów bierze łyk z termosu, niezwykle wydatna grdyka sunie w górę i w dół, każdy z widzów zauważa to rozpaczliwe łaknienie, a on sam wyczuwa, że jest zauważone. Grdyka przestaje biegać. Oczy spoglądają znad termosu prosto na widownię. Z zakłopotaniem, co u niego zaskakujące i wręcz wzruszające, podnosi głos do krzyku. – Krótko mówiąc: Netanjo, ty mój poroniony projekcie! Jesteście ze mną? Nie spanikowaliście? Super, cudnie z waszej strony, musicie teraz być ze mną, potrzebuję was, żebyście mnie przytulili do piersi jak brata marnotrawnego, ty też, madame medium! Zaskoczyłaś mnie dziś wieczorem, przyznaję, przybyłaś z miejsca, które ja dawno temu… Na którym od wieków nie stanęła stopa białego człowieka… – Podciąga nogawkę, obnażając do kolana chudą jak szkielet i łysą łydkę, pergaminowa skóra i wystające kości. Studiuje ją uważnie: – No i dobra, noga żółknącego faceta, w sumie super, żeś przyszła, medium, nie mam pojęcia, co cię tu dziś wieczorem sprowadziło, ale posłuchaj, może zainteresuje cię jako profesjonalistkę, bo jest w tej historii, jak to ująć… no, coś w rodzaju ducha. Kto wie, może nawet uda ci się z nim nawiązać kontakt, ale uprzedzam: jakby co, dzwoń na jego rachunek!

A teraz poważnie: ta opowieść to ciężka sprawa, mówię wam, bo poniekąd dotyczy morderstwa, tyle że nie jest jasne czyjego, nie wiadomo,

kto był mordercą, czy w ogóle można to nazwać morderstwem i kto tam został zamordowany na całe życie.

I już frunie ponad sceną błazeński, rozdziawiony uśmiech. – A teraz, kochani bracia i siostry, wysłuchajcie szalonej i przezabawnej historii mojego pierwszego pogrzebu…

Pląsa wokół fotela, boksując się z powietrzem, wymierza cios, robi zręczny unik i następny cios. – „Latać jak motyl – głosem kantora wyśpiewuje motto Cassiusa Claya – i żądlić jak pszczoła…”. – Na widowni chichoty i pochrząkiwania oznaczające, że ludzie relaksują się w oczekiwaniu na zabawę. Tylko ja znowu jestem niespokojny. Bardzo niespokojny. Pięć kroków dzieli mój stolik od wyjścia.

– Mój pierw-szyyy… pogrzeb! – obwieszcza ponownie, tym razem udając trąbienie cyrkowego konferansjera. W głębi sali wychudzona kobieta ze słomianymi włosami wypuszcza serię śmiechu zachrypniętym staccato, a on ze zgrzytem wyhamowuje i wbija w nią spojrzenie niczym szpikulec: – Do jasnej cholery, Netanjo-Południe! Mowa jest o pogrzebie, a wy zaczynacie śmichy-chichy? Takie tu macie wyczucie? – Publiczność odpowiada jeszcze głośniejszym rechotem, on nawet nie raczy się uśmiechnąć. Zatacza kółka na scenie i gestykulując, rozmawia ze sobą. – Co się z nimi porobiło? Czy normalny człowiek śmieje się z takich rzeczy? A przecież na własne uszy słyszałeś, jak ryczą ze śmiechu, siedem w skali Dowalego, naprawdę nie rozumiem tych ludzi…

Zatrzymuje się, kładzie rękę na oparciu fotela. – Powiedziałem „pogrzeb”, koleżanko – świdruje wzrokiem wychudzoną. – Czy naprawdę zbyt wiele żądam, złociutka, prosząc o odrobinę współczucia, szczyptę empatii, słyszałaś kiedykolwiek to słowo, lady Makbet? W s p ó ł c z u c i e! Przecież mówimy o śmierci, proszę pani! B r a w a d l a ś m i e r c i! – ryczy znienacka straszliwym, rozpalonym głosem i rusza biegiem przed siebie, rozrzucając na bok ręce, po czym klaszcze rytmicznie nad głową, zachęcając publiczność, by przyłączyła się do jego okrzyków: – Bra-wa dla śmier-ci! – Ludzie chichoczą z zakłopotaniem, ten slogan ich drażni, on sam ich drażni, kiedy tak miota się po scenie i wrzeszczy na całe gardło.

Zdegustowane oczy widzów zaczynają się powoli szklić, a ja zaczynam dostrzegać zasadę działania całego mechanizmu: on wprawia się w szał i w ten sposób doprowadza ich do szału, zapala się i rozpala tym innych. Niezupełnie rozumiem, jakim cudem to działa, ale działa, bo i ja wyczuwam wibracje w powietrzu i w swoim ciele. Tłumaczę sobie, że chyba po prostu trudno pozostać obojętnym w obliczu człowieka, który na twoich oczach tak bezgranicznie zespala się z jakimś swoim pierwotnym żywiołem, lecz to bynajmniej nie wyjaśnia uwięzionego w moich trzewiach skowytu nabierającego mocy z minuty na minutę. I oto zaczynają się do niego przyłączać siedzący tu i ówdzie mężczyźni, wyłącznie mężczyźni, być może po to, by go uciszyć, zagłuszyć jego wrzask swoim wyciem, ale już po chwili krzyczą zgodnie wraz z nim, coś ich opętało: ten rytm, ten szał. – B r a w a d l a ś m i e r c i! – wrzeszczy spocony i zdyszany, policzki mu płoną chorowitą czerwienią. – Dawać czadu! – huczy, a młodzież, zwłaszcza żołnierze na przepustkach, klaszczą nad głowami i ryczą razem z nim, on ich zachęca dziwacznymi, szyderczymi uśmieszkami, oni wrzeszczą jak opętani. Para motocyklistów – teraz już widać, że to chłopak i dziewczyna, być może bliźniaki – których twarze jakby się wyostrzyły, wygląda niczym dwoje drapieżnych szczeniąt, obserwuje go, pożerając oczami każdy ruch. Ożywienie panuje też przy stolikach koło baru, ktoś nawet odstawia taniec na krześle. Wychudzony, zapadnięty w sobie facet o szarej twarzy macha dziko rękami, wołając: „Brawa dla śmierci!”, trzy opalone na brąz staruszki szaleją, wyrzucając szczupłe ramiona w powietrze, krzyczą i zaśmiewają się do łez. Dowale jest istną erupcją, do reszty oszalał, bezładnie potrząsa rękami i nogami, a widownię zalewa śmiech, publika tonie we własnym śmiechu, nie sposób oprzeć się napierającemu obłędowi, wokół mnie jest sześćdziesiąt czy siedemdziesiąt osób, mężczyźni i kobiety, starzy i młodzi, którzy mają pełne usta musujących zatrutych cukierków. Zaczyna się od niezręcznego pomruku, spojrzeń na boki i nagle coś się kolejno zapala w jednym i drugim, najpierw okrzyki rozdymają im szyje, a po sekundzie już lecą w powietrze niczym baloniki idiotyzmu i swobody, które uwolniły się od grawitacji

i znalazły sposób, by przejść na stronę jednego jedynego obozu, który nigdy nie zostanie pokonany: Brawa dla śmierci! Teraz już prawie cała widownia krzyczy, klaszcząc rytmicznie, i ja też, przynajmniej w duchu – dlaczego tylko tak? Dlaczego nie mogę bardziej? Czemu nie wziąć na chwilę urlopu od siebie, od tej trującej jak cyjanek gęby, jakiej dostałem w ostatnich latach, z nieustannie zaczerwienionymi od uwięzionych łez oczami. Czemu nie wskoczyć na któreś z krzeseł i nie wrzasnąć „brawa dla śmierci", tej śmierci, co wyszarpnęła z moich rąk, w ciągu zaledwie sześciu tygodni, niech ją cholera weźmie, jedyną osobę, którą bezgranicznie i prawdziwie kochałem, z uwielbieniem życia, z radością życia, od chwili gdy zobaczyłem jej twarz, twoją twarz, twoją okrągłą, pełną światła twarz o pięknym, mądrym, czystym czole, z gęstwiną mocnych włosów świadczących – tak w swojej głupocie wierzyłem – o twoim potężnym przywiązaniu do życia, i twoje rozłożyste, duże, szczodre, roztańczone ciało – nie waż się usunąć ani jednego z tych przymiotników! – byłaś dla mnie lekarstwem, remedium na jałowe starokawalerstwo, w którym się zatrzasnąłem, i na „sędziowski temperament", który niemal do reszty wyparł moją osobowość, i na te wszystkie przeciwciała skierowane przeciw życiu, jakie nagromadziły się przez lata w mojej krwi, zanim przyszłaś, aż wreszcie przyszłaś i całą swoją obfitością…

Ty – wciąż mam fizyczną wręcz awersję, by nadawać tym słowom ostateczny sens na piśmie, choćby tylko na tej serwetce – która byłaś ode mnie o piętnaście lat młodsza, a teraz o osiemnaście i z każdym dniem więcej.

Która obiecałaś, prosząc mnie o rękę, że zawsze będziesz na mnie patrzeć życzliwym okiem. Okiem kochającego świadka, powiedziałaś. Nikt nigdy nie powiedział mi w życiu nic piękniejszego.

– Zrób mi dzidziusia, kostucho! – drze się, podskakując jak uwolniony z butelki dżinn, cały jest zlany potem, twarz mu płonie, publiczność z jazgotem i ze śmiechem powtarza za nim, on zaś ryczy wniebogłosy: – Śmierć, śmierć, wygrałaś! Nikt ci nie podskoczy, zabierz nas do siebie, daj nam dołączyć do większości! – Ja ryczę wraz z nim

w głębi pękającego serca i słowo daję, że najchętniej bym powstał i też wrzeszczał na cały głos, mimo że mnie tu znają, mimo poczucia godności; chciałbym się zerwać z miejsca i wydzierać razem z nim, wyć jak szakal do księżyca i do gwiazd, do jej mydełek wciąż leżących na podstawce pod prysznicem, do jej różowych kapci pod łóżkiem i do spaghetti bolognese, które gotowaliśmy wieczorami, gdyby nie to, że utkwiła mi przed oczami ta niepocieszona karlica zatykająca sobie dwoma palcami uszy, niczym nieprzenikniona pamiątka grzechu, nieuznająca kompromisów.

Odchylam się na krześle. Wyczerpany, raptem daję za wygraną.

A Dowale pochyla się, ciężko opierając ręce na kolanach, usta ma szeroko rozdziawione w swoim szkieletowatym uśmiechu, pot kapie mu z twarzy. – Dosyć już, basta – błaga publiczność ze śmiechem, tracąc dech. – Jesteście niesamowici, słowo daję.

Teraz jednak, kiedy zakręciło mu się w głowie i dostaje czkawki ze śmiechu, oni naraz trzeźwieją, ziębną, patrzą na niego z niesmakiem. W sali zalega cisza i w tej ciszy staje się dla wszystkich jasne, że ten człowiek zagalopował się daleko poza własne granice.

Że dla niego to nie jest zabawa.

Dysząc, osuwają się na krzesła. Kelnerki znów zaczynają śmigać między stolikami. Drzwi do kuchni nieustannie otwierają się i zamykają. Wszyscy raptem są spragnieni, wszyscy głodni.

On jest chory, uderza mnie niezbita pewność. Jest człowiekiem chorym. Niewykluczone, że ciężko chorym. Jak mogłem nie zauważyć? Jak mogłem nie zrozumieć? Nawet wtedy, gdy sam to wyraźnie powiedział: prostata, rak. Były też inne grubymi nićmi szyte aluzje, ale sądziłem, że to kolejny z jego kiepskich żartów albo sprytny sposób na wyciśnięcie z nas sympatii, może również wyrozumiałości, gdy będziemy wydawać artystyczny osąd, nie mówiąc już o złagodzeniu wyroku, o który mnie prosił. Wszak po nim wszystkiego można się spodziewać – najprawdopodobniej tak to sobie tłumaczyłem i pomyślałem (o ile w ogóle myślałem) – więc nawet jeśli w jego słowach było ziarno prawdy, jeśli kiedyś rzeczywiście był chory i wyzdrowiał, to teraz jego stan z pewnością nie jest aż tak poważny,

w przeciwnym razie nie dawałby występu, nie zdobyłby się ani fizycznie, ani psychicznie na taki wysiłek, prawda?

Jak to rozumieć? Jak wytłumaczyć, że – mając dwadzieścia pięć lat doświadczenia w obserwowaniu i słuchaniu, czyhaniu na najdrobniejszą informację, Boże drogi – byłem na jego stan aż tak ślepy, tak dalece skupiony na sobie i własnych sprawach? Jak to się stało, że jego ekstatyczna paplanina i irytujące dowcipy podziałały na mnie niczym stroboskopowe lampy na epileptyka, rzucając mnie raz po raz z powrotem ku sobie, ku własnemu życiu?

I jak to się stało, że on, w jego stanie, ostatecznie uczynił dla mnie to, czego nie zrobiły wszystkie przeczytane książki, wszystkie obejrzane filmy i wszelkie próby pocieszenia oferowane przez przyjaciół i krewnych w ciągu ostatnich trzech lat?

Niemal przez całą pierwszą godzinę występu promieniowała w moją stronę choroba, na którą cierpi – szkieletowata twarz, przerażająca chudość – ja jednak uparcie ją negowałem, mimo że inną częścią mózgu wiedziałem, że to niepodważalny fakt. Ignorowałem ją, choć w trzewiach narastał znajomy ból świadomości, że niebawem ten człowiek, który biega, pląsa i bez przerwy gada, że tego człowieka już wkrótce nie będzie.

Bycie, krzyczał niedawno z chytrym uśmiechem, cóż to za odlotowy pomysł, jaka wywrotowa idea!

– Mój pierwszy pogrzeb… – Śmieje się, wyciągając chude ramiona. – Znacie ten kawał o kolesiach, co właśnie umarli i stają przed komisją pozagrobową w niebie, a tam ich sortują: jedni do raju, drudzy do Netan… znaczy do piekła? No nie, teraz poważnie, przecież nie ma większego koszmaru, jeśli koniec końców się okaże, że ortodoksi mieli rację? Że naprawdę jest takie miejsce jak piekło? – Publika chichocze półgębkiem, ludzie spuszczają wzrok, chyba nie mają ochoty na niego patrzeć.

Słuchajcie, kochani, mam na myśli piekło *all inclusive*, znaczy cały ten bajzel z ogniem i rogatymi diabłami, z widłami i kołem tortur, z kotłem wrzącej smoły i wszystkimi gadżetami, które szatan ma do dyspozycji… Od samego myślenia oka nie mogę zmrużyć przez ostatnich parę miesięcy,

słowo daję, a najgorzej jest w nocy, bo takie myśli wysysają ze mnie siły. Doskonale wiem, co wam teraz przychodzi do głowy: Ożeż kurwa, po cośmy zżarli te niekoszerne krewetki na wyjeździe do Paryża? Albo świeżutkie pity od zaprzańców z Abu Gosz podczas święta Pesach? I czemuśmy wszyscy nie zagłosowali na partię Judaizm Tory? Zniża głos i grzmi: Za późno, łajdaki, do kotła!

Publiczność się śmieje.

– Dobra, więc mówiliśmy, znaczy się ja mówiłem, o swoim pierwszym pogrzebie. Śmialiście się, bydlaki, hołoto bez serca, oziębła jak aszkenazyjczycy w styczniu. A ja wam mówię o dzieciaku ledwie czternastoletnim, Dowiku, Dowalem, oczku w głowie swojej mamusi. Spójrzcie na mnie, to wypisz, wymaluj on, wystarczy tylko odjąć łysinę, szczecinę i nienawiść do bliźnich.

I niemal wbrew swojej woli rzuca spojrzenie na malutką kobietę, jakby u niej szukał potwierdzenia lub zaprzeczenia. Trudno mi odgadnąć, którą z dwóch możliwości by wolał, odnotowuję jednak, że to pierwszy raz, kiedy nie zerknął najpierw na mnie, żeby się zorientować, co o tym myślę.

Kobieta jednak odmawia patrzenia na niego. Skąpi mu spojrzenia. I jak za każdym razem, gdy on się opluskwia, ona kręci schyloną głową, że nie, nieprawda, a jej wargi mamroczą coś w tym samym czasie, gdy on wypuszcza z siebie słowotok. Od strony mojego stolika wygląda to tak, jakby przekreślała każde jego słowo własnym przeczącym słowem. Teraz on rozważa, czy powinien zrobić kolejne podejście. Bo jest w niej coś, wyczuwam to, co doprowadza go do pasji. Jego ślinianki już produkują jad…

Zostawia ją w spokoju.

Przez ułamek sekundy zwinny, roześmiany chłopiec o jasnej karnacji sunie na rękach po pylistej ścieżce za blokiem mieszkalnym. Spotyka wyjątkowo malutką dziewczynkę w kraciastej sukience. Próbuje ją rozśmieszyć.

– I ten Dowale, pokój mojej duszy, niziołek wielkości orzecha, notabene musicie wiedzieć, że w wieku czternastu lat byłem dokładnie tego samego

wzrostu co teraz, ni pięd zi więcej! – Parska szyderczym chichotem, który już potrafię przewidzieć. – No widzicie, bracia moi przyrodni, że na tym polu – z namaszczeniem przesuwa rękoma wzdłuż ciała, od głowy do kolan – nie miałem wielkich osiągnięć, ale za to jeśli idzie o rozszczepienie atomu i odkrycie cząstki boskości, oho, w tych dziedzinach, jak wiadomo, byłem całkiem niezły. – Spojrzenie ma zasnute mgłą, czule głaszcze się po genitaliach: – Ach, ta cząstka boskości… Ale serio, u nas w rodzinie ze strony ojca, żebyście dobrze zrozumieli, występuje takie zjawisko, że mężczyźni osiągają rekord wzrostu mniej więcej w wieku bar micwy i na tym koniec, stop! Zatrzymują się do końca życia! Jest to udokumentowane i z tego, co wiem, nawet Mengele nas studiował, to znaczy nasze części, zwłaszcza kości uda i przedramienia. Wzbudziliśmy ciekawość tego wielce wyrafinowanego, zamkniętego w sobie człowieka. Co najmniej dwudziestu facetów z rodziny ojca przewinęło się tam u niego przez rampę, braci i kuzynów, i dzięki jego pomocy wszyscy bez wyjątku odkryli rozkosz ulatywania prosto do nieba. I tylko ten sukinkot mój ojciec – miga promiennym uśmiechem – dał dupy na całego, bo jakopionier wyjechał do Ziemi Izraela na minutę przed tym, jak wszystko się zaczęło, natomiast mama napatoczyła się prosto na niego, znaczy się na tego doktorka, cała jej rodzina też przeszła przez jego łapy, więc w gruncie rzeczy można powiedzieć, że poniekąd był on naszym lekarzem rodzinnym, no co, nieprawda? – Niewinnie trzepocze powiekami w stronę publiczności, która staje się coraz bardziej milcząca. – I tylko pomyśleć, że chociaż facet był bardzo zajęty – ludzie ciągnęli do niego z całej Europy, zadeptywali się w pociągach, byle się do niego dostać – to jednak znajdował czas, żeby nas przyjmować osobiście, tyle że absolutnie się nie zgadzał, byśmy zasięgali opinii innego specjalisty. Z wizytą tylko do niego! I po króciutką diagnozę: na prawo, na lewo, na lewo, na lewo, na lewo…

Piętnaście bodaj razy, nie mniej, szarpie głową w lewo jak zacinająca się wskazówka zegara. Po sali pełznie szelest pomruków i protestów. Ludzie wiercą się na krzesłach, wymieniają spojrzenia. Ale są też niezdecydowane chichoty, zwłaszcza wśród młodych. Tylko dwoje motocyklistów pozwala

sobie na głośny śmiech. Na ich nozdrzach i wargach rozbłyskują kółka kolczyków. Kobieta przy stoliku obok mnie rzuca na nich okiem, wstaje i wychodzi z sali, przeciągle wzdychając. Odprowadzają ją spojrzenia. Jej mąż zostaje, chwilę siedzi bezradny, ale zaraz spieszy za nią.

Dowale podchodzi do niewielkiej czarnej tablicy na drewnianych nóżkach, stojącej w głębi sceny. Tablicy, którą dopiero teraz zauważam. Chwyta czerwoną kredę i rysuje pionową linię, a obok drugą, krótką i zakrzywioną. Na widowni chichoty i szepty.

– Wyobraźcie sobie Dowalego, który wygląda tak: ciut głupkowato, gęba aż się prosi, żeby ją spoliczkować, z takimi okularami, grubszymi niż dno od butelki, w krótkich spodenkach z paskiem zapiętym na wysokości sutków, bo ojciec zawsze mi kupował o cztery rozmiary za duże, jeszcze miał wobec mnie wielkie nadzieje. A teraz odwróćcie szybko to wszystko do góry nogami i postawcie na rękach. I jak? Skumaliście? Wiecie, na czym sztuczka polega? – Przerywa na chwilę, zamyśla się, rozważa coś, po czym schyla się do podłogi, wyrzucając ręce przed siebie. Dolne części jego ciała drżą, kiedy próbuje dźwignąć je do góry. Przez chwilę wierzga nogami w powietrzu, po czym upada i leży na boku, z policzkiem spłaszczonym na deskach.

Wszędzie tak wyglądałem, w drodze do szkoły z dyndającym z przodu tornistrem i w domu na korytarzu między sypialnią i kuchnią, tam i z powrotem, tysiące razy, zanim ojciec wrócił do domu. I na osiedlu, między podwórkami, schodząc po schodach i wchodząc na schody, nic łatwiejszego, przewracałem się, wstawałem i hopsa, jeszcze raz na ręce. – Mówi bez przerwy, a mnie niepokoi to, że leży nieruchomo i tylko usta żyją, tylko one nieustannie są w ruchu. – Nie wiem, skąd to się u mnie wzięło, a właściwie wiem, urządzałem przedstawienia dla mamy, tak się zaczęło, odgrywałem dla niej skecze wieczorami, zanim Figaro wrócił do domu i znów stawaliśmy się wszyscy sztywni i formalni. Pewnego dnia najzwyczajniej w świecie położyłem ręce na podłodze, poderwałem nogi w górę, upadłem raz, upadłem drugi, mama klasnęła w dłonie, myśląc, że chcę ją rozśmieszyć, może rzeczywiście tak było, całe życie próbowałem ją

rozśmieszyć. – Milknie. Zamyka oczy. W jednej chwili staje się tylko ciałem. Pozbawionym życia. Wydaje mi się, że przez salę przelatuje kolejny desperacki szept: Co tu się wyprawia?

Wstaje. Spokojnie unosząc z podłogi poszczególne członki, jeden po drugim – ramię, nogę, głowę, dłoń, pośladek – jak ktoś, kto zbiera porozrzucane części odzieży. Przez salę sączy się cichy śmiech, jakiego dziś jeszcze nie słyszałem. Śmiech uznania dla jego precyzji, subtelności, aktorskiej mądrości.

– Widziałem, że mamę to zachwyciło, więc znowu wyrzuciłem nogi do góry, zakołysałem się, upadłem, znów je podrzuciłem, a ona się śmiała, naprawdę słyszałem jej śmiech. Spróbowałem więc jeszcze raz i jeszcze, aż znalazłem właściwy punkt i złapałem równowagę. Było mi błogo, było dobrze. W uszach słyszałem tylko pulsującą krew… I spokój, spokój od wszystkiego. Poczułem, że w całym powietrzu świata nareszcie znalazłem miejsce, w którym nie ma nikogo prócz mnie.

Parska z zażenowaniem, a mnie przypomina się osobliwa prośba, żebym w nim zobaczył to coś, co wychodzi z człowieka w sposób niekontrolowany. Co być może ma w sobie tylko ten jeden konkretny człowiek na świecie.

– Dalej? – pyta, prawie z lękiem.

– A może by tak, chłopie, jakiś dowcip, co? – woła któryś z mężczyzn. Inny warczy: – Przyszliśmy posłuchać kawałów! – Jakaś kobieta, odpowiadając na zachrypnięte głosy obu facetów, krzyczy: – Nie widzisz, że dzisiaj on sam jest kawałem? – I ściąga istną lawinę śmiechu.

– Nie miałem najmniejszego problemu z utrzymaniem równowagi – ciągnie, ale widzę, że zrobił sobie krzywdę, bo wargi mu zbielały. – Wręcz przeciwnie, tak naprawdę na nogach zawsze czułem się trochę nieswojo, jakbym się przewracał, i cały czas się bałem. Bo w naszej dzielnicy utarł się taki piękny zwyczaj: „przywalić Dowalemu”. Nic poważnego, tu kuksaniec, tam kopniak, jakaś piącha w brzuch, nie ze złośliwości, ot tak, po prostu, żeby coś zrobić. Techniczna procedura, tak jak podbija się kartę pracy w fabryce. Czy dzisiaj już przywaliłeś swojemu Dowalemu?

Ostre spojrzenie na kobietę, która go wyszydziła. Publiczność śmieje się do rozpuku. Ja nie. Widziałem, jak to się odbywało w Beer Ora na obozie przysposobienia obronnego przez całe cztery dni.

– Za to kiedy stałem na rękach… Nie wiedzieć czemu, ale nikt nie bije dziecka chodzącego do góry nogami, takie są fakty. Idź i spróbuj dać w pysk dzieciakowi sunącemu na rękach, no dobra, ale jak namierzyć jego twarz? No co, zegniesz się do samej ziemi i dasz mu w gębę? Albo na przykład, powiedzmy, że chcesz go kopnąć. Gdzie dokładnie ma teraz jaja? Można się pogubić, prawda? Kompletna dezorientacja! Możliwe, że nawet trzeba się go trochę bać, tak, dzieciak do góry nogami to nie jest żart. Czasami – spogląda ukradkiem na kobietę medium – czasami niektórzy nawet myślą, że dzieciak zwariował. Mamo, mamo, zobacz, ten chłopak chodzi na rękach! Zamknij się i lepiej popatrz na tamtego pana, który podcina sobie żyły! Ojejku – wzdycha. – Byłem totalnie świrnięty, możecie ją zapytać, jakim byłem kawałem na osiedlu – nie patrząc, strzela kciukiem w stronę malutkiej kobiety, która słucha z pochyloną głową, jakby rozważała każdziutkie jego słowo, i przez cały czas stanowczo kręci głową: Nie.

Kurde, co to będzie – rozkłada ręce i spogląda na mnie, akurat na mnie, i znowu odnoszę wrażenie, że obarcza mnie winą za jej obecność, jakbym umyślnie wezwał tu wrogiego świadka.

Zalazła mi za skórę – mówi głośno do siebie. – Nie dam rady, wybija mnie z rytmu, człowiek próbuje sklecić historyjkę, a ona przychodzi… – Z całych sił masuje sobie pierś. – Mnie macie słuchać, nie jej, dobra? Naprawdę byłem popaprany, w nic nie umiałem się bawić, nie znałem żadnej gry. Czemu kręcisz głową na „nie”? Znałaś mnie lepiej niż ja sam? – Jest poirytowany.

To już nie jest występ. Coś naprawdę szarpie jego duszę, a widzowie dają się wciągnąć, chociaż nieufnie, i najwyraźniej skłonni są na chwilę zrezygnować z tego, po co tu przyszli, ja zaś próbuję przemóc paraliż, który znowu mnie chwyta, otrząsnąć się i przygotować na to, co wkrótce nastąpi, bo nie mam wątpliwości, że nastąpi.

– Posłuchajcie, dam wam przykład: pewnego dnia ktoś przyszedł do mojego ojca i nagadał mu, że ja to i że śmo, i że na rękach. Że widziano na ulicy, jak szedłem do góry nogami za mamą. Żebyście dobrze skumali, otwieram nawias: wasz szczerze oddany miał za zadanie czekać na nią o piątej trzydzieści na przystanku, gdy wracała ze swojej zmiany, i odprowadzać ją do domu, pilnować, żeby nie zabłądziła i nie trafiła w jakieś podejrzane miejsce, nie wślizgnęła do pałaców i nie załapała na królewskie uczty; udawajcie, że niby rozumiecie, o czym mówię, grzeczna Netanja. – Publiczność się śmieje, a ja przypominam sobie „wysokiej rangi urzędniczkę" i jego nerwowe zerkanie na doksę na chudym nadgarstku.

Był jeszcze jeden bonus: kiedy szedłem na rękach, nikt nie zwracał uwagi *na nią*, kapujecie? Przez cały boży dzień mogła sobie dreptać z oczami przy ziemi, w chustce na głowie i w gumowych kaloszach, a tu raptem nikt na nią krzywo nie patrzy, jak jej się zawsze zdawało, sąsiadki nie obgadują, mężczyźni nie podglądają przez szpary w żaluzjach, wszyscy cały czas gapią się tylko na mnie, ona może chodzić swobodnie, jak na przepustce. – Mówi szybko i dobitnie, gotów udaremnić wszelkie próby przerwania opowieści, a publika wierci się i szeleści, jakby fizycznie reagowała na pociągnięcia niewidzialnej liny oddzielającej jego od nich.

No, ale kiedy mój ojczulek Old Shatterhand dowiedział się, że chodzę do góry nogami, bez ceregieli spuścił mi lanie i obdarzył swoją zwykłą gadką, jaki wstyd mu przynoszę, przeze mnie ludzie się z niego śmieją za plecami, przeze mnie go nie szanują. Jak jeszcze raz usłyszy, że taką małpiarnię odstawiam, to mi ręce połamie i na dokładkę powiesi na żyrandolu głową w dół, nogami do góry. Kiedy ojczulkowi nerwy puszczały, stawał się zajebiście poetycki, nie macie pojęcia jak bardzo, a za najlepszy bajer trzeba uznać zestawienie tej poetyckości z jego oczami, serio, czegoś takiego w życiu nie widzieliście – chichocze, ale nie bardzo mu ten chichot wychodzi. – Wyobraźcie sobie czarne kulki. Już? Małe czarne kulki z żelaza, coś z tymi oczami było nie tak, zbyt blisko osadzone, zbyt okrągłe. Słowo honoru, patrzysz w te ślepia przez parę sekund i czujesz, jakbyś

widział jakieś małe zwierzątko, które nagle zaczyna ci odwracać cały proces ewolucji…

Ponieważ chichot zawiódł, wybucha śmiechem, posyła na front swój zaraźliwy rechot z głębi brzucha i znowu miota się po scenie, próbując naładować energią swoje gesty. – „No i co wtedy zrobiłeś, Dowale?", na pewno ze szczerą troską zadajecie sobie w duchu to pytanie. Co zrobił dzieciak Dowale? Wróciłem do chodzenia na nogach, oto co zrobiłem! Miałem wybór? Z moim ojcem się nie zadziera, u nas w domu, jeśli jeszcze się nie zorientowaliście, panował monoteizm: nie było innych bogów prócz niego, liczyła się tylko jego wola, a jeśli odważyłeś się choćby pisnąć, to pasek szedł w ruch, plask! – Chłoszcze ręką powietrze, ścięgna na szyi puchną, twarz wykrzywia się w przebłyskach strachu i nienawiści, tylko usta trzymają uśmiech lub raczej piorunują uśmiechem i przez moment widzę małego chłopca, którego znałem, lecz najwyraźniej nie znałem. Z każdą chwilą lepiej zdaję sobie sprawę, jak bardzo nie znałem i jakim on był świetnym aktorem, Boże święty, jakim był aktorem już wtedy i ile wysiłku udawania musiał wkładać w naszą przyjaźń: mały chłopiec uwięziony między stołem i ścianą, kiedy ojciec okładał go pasem.

Nigdy mi nie powiedział, w żaden sposób nie napomknął, że ojciec spuszcza mu lanie. Albo że biją go w szkole. Albo że ktoś w ogóle jest w stanie wyrządzić mu krzywdę. Wręcz przeciwnie: wyglądał na wesołego, lubianego chłopca, a optymistyczne, jasne ciepło, jakim promieniował, ciągnęło mnie do niego magicznymi sznurkami, oddalało od mojego dzieciństwa i mojego domu, gdzie zawsze panowała zimna, mroczna i jakaś taka tajna atmosfera.

Wciąż rozciąga na ustach swój sceniczny uśmiech, ale miniaturowa kobieta wzdryga się na ruch chłoszczącej ręki, jakby to ją okładano pasem. I kiedy ona wypuszcza ledwie słyszalne westchnienie, on natychmiast odwraca się do niej niczym kąsający wąż, oczy ma czarne z wściekłości. I nagle ona rośnie w moich oczach, ta zadziwiająca malutka, uparta kobieta, samozwańcza wojowniczka walcząca o duszę chłopca, którego znała kilkadziesiąt lat temu i z którego nie pozostał prawie żaden ślad.

– Okej, ojciec mówi, że nie ma chodzenia na rękach, więc nie chodzimy, ale zaraz potem zacząłem główkować: Co teraz robić? Jak się ratować? Rozumiecie, o co chodzi? Jak nie zdechnąć od tego całego prostowania? Jak w ogóle być? Tak wtedy kombinowałem, zawsze miałem w sobie niepokój. Okej, on chce widzieć, że chodzę tak jak wszyscy? Świetnie, będę chodził tak, jak sobie życzy, będę chodził na nogach, dobra, dobra, dupa bobra, ale za to zacznę chodzić tak jak w szachach. Kapujecie?

Publiczność patrzy na niego z uwagą, próbując wyczuć, dokąd zmierza.

– Dam przykład. – Chichocze, nakłaniając także nas skomplikowaną mimiką, abyśmy śmiali się razem z nim. – Jednego dnia chodziłem przez caluśki dzionek, od rana do wieczora, tylko po przekątnej, jak goniec. Innego dnia tylko po liniach prostych, jak wieża. A jeszcze innego jak skoczek, ho-hop, wte i wewte. Na ludzi idących z naprzeciwka patrzyłem tak, jakby grali ze mną w szachy. Jasne, że oni tego nie wiedzieli, bo i skąd mieliby wiedzieć? Ale każdy z nich miał przypisaną rolę, cała ulica była polem mojej gry, całe szkolne boisko w czasie przerwy…

Znowu widzę nas dwóch, jak idziemy i rozmawiamy, a on krąży wokół mnie, przyprawiając o zawrót głowy, pojawia się z jednej strony, wyskakuje z drugiej, nie wiadomo, w jakiej jego grze biorę udział.

– Powiedzmy, że jako skoczek wpadałem do ojca w czasie, kiedy piłował szmaty w pokoju z dżinsami, nieważne, wierzcie mi na słowo, że jest taki wszechświat, w którym to stwierdzenie ma sens, i ustawiałem się dokładnie na tej płytce, z której mogłem bronić mamy, czyli królowej. Sterczałem tam między nim a mamą, mówiąc do niego w duchu: „szach”, odczekiwałem parę sekund, dając mu czas na wykonanie ruchu, i jeśli nie przesunął się w porę na inną płytkę, to był mat. Pojebany dzieciak, no nie? Nie pęklibyście ze śmiechu, gdybyście wiedzieli, co mu chodzi po głowie? Nie pomyślelibyście: na czym ten szajbus roztrwonił swoje dzieciństwo?

Ostatnimi słowami dźga malutką kobietę. Nawet na nią nie spojrzał, ale głos skierowany jest do niej. Ona prostuje się nagle i krzyczy zrozpaczonym, przerażającym tonem: – Przestań! Byłeś tam najlepszy ze wszystkich! Nie wyzwałeś mnie od karłów, nie zabrałeś do magazynu,

mówiłeś do mnie „pisklaczku”, a „pisklaczek” był w porządku, nie pamiętasz?

– Nie. – Stoi przed nią z opuszczonymi rękami.

– A za drugim razem, kiedy rozmawialiśmy, przyniosłeś mi w ustach zdjęcie z gazety, Isi… Isadory Duncan, do dziś mam je w swoim pokoju. Jak możesz nie pamiętać?

– Nie pamiętam, proszę pani – bąka zażenowany.

– Dlaczego mówisz do mnie „pani?” – szepcze.

On wzdycha. Drapie się po wysepkach przerzedzonych włosów na skroniach. Wyczuwa, oczywiście, że cały występ zaczyna skręcać na boczny tor. Jest tu jeden konar, który okazuje się cięższy od całego drzewa. Widownia też to czuje. Ludzie spoglądają po sobie, poruszają się niespokojnie. Coraz mniej rozumieją, w czym tu właściwie biorą udział wbrew swojej woli. Nie mam wątpliwości, że już dawno wstaliby i wyszli albo nawet przegnali go ze sceny gwizdem i wrzaskami, gdyby nie pokusa, której tak trudno się oprzeć – pokusa zaglądania w cudze piekło.

– Wszycho w porząsiu! Dowale znów wskakuje na siodło! – Podnosi głos i rozciąga usta w fałszywym, uwodzicielskim uśmiechu: – Wyobraźcie sobie teraz nasze dzieciątko, małego Dowalusia, z pryszczami w kolorach tęczy, istny pokaz fajerwerków, z głosem wciąż niezmutowanym, który jeszcze nie dotknął niczyjego sutka, ale lewą rękę ma już podejrzanie umięśnioną, bo choć wzrostu mizernego, nie ma bardziej lubieżnego…

Paple bez przerwy. Żongluje słowami. Od dłuższej chwili czuję dziurę w brzuchu. Czeluść. Nagły, gryzący głód, muszę go natychmiast czymś zatamować. Zamawiam kilka porcji tapas. Błagam kelnerkę, żeby jak najszybciej się uwinęła.

– Pamiętacie ten wiek dojrzewania, kiedy wszystko na świecie zarąbiście cię podnieca? Powiedzmy, że siedzisz na lekcji geometrii, a nauczycielka mówi, na przykład tak: „Weźmy trójkąt równoramienny…”. Aaa… I już wszystkim chłopakom w klasie trójkąt się kojarzy, ciężko dyszą, dostają ślinotoku… Albo że mówi: „Teraz zjedźcie pionowo do środka koła…”. – Zamyka oczy, wargami i językiem

wykonuje gesty ssania i lizania. Publiczność ćwierka ze śmiechu, tylko malutka kobieta wlepia w niego wzrok, a spojrzenie ma tak zbolałe, że trudno powiedzieć, czy ten widok jest wstrząsający, czy śmieszny.

Gadki szmatki. Oto moja klasa jedzie na południe, do miejsca zwanego Beer Ora, gdzieś pod Ejlatem, na obóz przysposobienia obronnego…

Zaczyna się. Niemal mimochodem. Od dwóch tygodni, od naszej rozmowy przez telefon, czekam, żeby doszedł do tego miejsca. Żeby pociągnął mnie za sobą w tamtą otchłań.

– Pamiętacie czasy paramilitarnych obozów, ziomale? Ktoś może wie, czy teraz w ogóle są takie obozy? Tak? Nie? Tak?

Pustka długiego spadania.

Pięć kroków między mną i drzwiami.

Słodycz zemsty, która się na mnie dokona.

Wybiła godzina sprawiedliwości.

– Założę się o tysiąc dolarów, że lewactwo skasowało obozy przysposobienia, zgadza się? Ja nie wiem, po prostu zgaduję, na pewno im przeszkadza, jak ktoś ma frajdę, zwłaszcza gdy chodzi o wychowanie dzieci w wojskowym duchu, brrr! A przecież byliśmy bardziej spartańscy niż Sparta i bardziej mameluccy od mameluków!

Coraz bardziej podsyca płomienie pod własnym stosem. A ja już wiem, już poznaję. Prostuję się na krześle. Nie przyłapie mnie na tym, że jestem nieprzygotowany.

– Ruszamy w drogę – uwodzi nas podekscytowanym szeptem. – Piąta rano, jeszcze ciemno, rodzice odstawiają nas na wpół śpiących na Umschlagplatz, żartowałem! – Uderza ręką w palce drugiej ręki. – Wymsknęło mi się, chyba mam zespół Tourette'a. Każdemu wolno zabrać tylko jeden plecak. Odczytują nazwiska, ładują nas na ciężarówki, żegnamy się z rodzicami, potem dziesięć godzin jazdy na drewnianych ławkach, które masakrują kręgosłup, siedzimy przodem jeden do drugiego, żeby, broń Boże, nie chybić celu podczas puszczania pawia, dotykamy się nawzajem kolanami, mnie trafiły się kolana Szimszona Kacowera, nic zachwycającego, śpiewamy nasze pojebane pieśni i hymny ruchu

młodzieżowego, same fajne kawałki typu: Ona nogę ma na śrubki, a głowę na gwint, na hak rękę odwiesza, kiedy sobie śpi! – Niektóre kobiety podchwytują z zapałem melodię, on rzuca im długie lodowate spojrzenie. – Hej, medium – pyta, nie patrząc na nią. – Mogłabyś mnie skontaktować ze mną w tamtym wieku?

– Nie – mamrocze ona ze spuszczoną głową. – Wolno mi to robić tylko w klubie w naszej wsi, w dodatku tylko z tymi, co umarli.

– Pasuje jak ulał – stwierdza krótko. – A tak na marginesie, wcale nie chciałem jechać na ten obóz, żebyście dobrze zrozumieli. Nigdy przedtem nie opuściłem domu na cały tydzień, nigdy nie rozstałem się z nimi dwojgiem na tak długo, nie było takiej potrzeby! Za granicę się wtedy nie jeździło, w każdym razie nie ludzie naszego pokroju, zagranica istniała jak dla nas wyłącznie na potrzeby Zagłady, po Izraelu też się nie podróżowało, niby dokąd mieliśmy jeździć? Kto nas wyczekiwał? Tylko we trójkę zostaliśmy na świecie: ojciec–matka–dzieciak, i kiedy sterczeliśmy tam koło ciężarówek, szczerze mówiąc, nagle obleciał mnie strach, nie wiem, coś w całej tej sprawie nic a nic mi nie pasowało, miałem jakiś szósty zmysł, a może bałem się, sam nie wiem, zostawić ich sam na sam ze sobą…

*

On przyjechał do Beer Ora ze swoją szkołą, ja ze swoją. Nikt nie planował wysłania nas na ten sam obóz. Jego szkoła miała udać się do innej bazy (zdaje się, że Sde Boker), ale organizatorzy z jakichś względów wpadli na odmienny pomysł, więc znaleźliśmy się razem nie dość, że w Beer Ora, to na dodatek w tym samym oddziale i w jednym namiocie.

*

– Zacząłem wmawiać ojcu, że kiepsko się czuję, niech mnie zabierze do domu, a on na to: „Po moim trupie”. Słowo daję, że tak powiedział, więc

jeszcze bardziej się zestresowałem, próbowałem wziąć go na łzy, ale nic z tego, skucha…

Z dzisiejszej perspektywy strasznie dziwne mi się wydaje, że beczałem tam na oczach wszystkich, wyobraźcie sobie: miałem prawie czternaście lat, całkiem spory był ze mnie osioł. Ojciec się wściekał, że mu wstyd przynosimy, bo kiedy mama zobaczyła, że szlocham, zrobiła dokładnie to samo, zawsze tak było, do płakania chętnie się przyłączała. A on nie mógł znieść widoku jej płaczu, od razu łzy mu do oczu napływały, taki był uczuciowy, zwłaszcza w stosunku do niej, szkoda gadania, naprawdę ją kochał ten mój ojczulek, na swój sposób, jak to się mówi, ale kochał, przyznaję, że kochał, niewykluczone, że tak jak wiewiórka albo mysz, która znalazła śliczne szkiełko lub kolorową kulkę i nie może od niej wzroku oderwać… – Uśmiecha się. – Pamiętacie, że były kiedyś takie niesamowite szklane kulki? „Motylkowe" na przykład, z motylem w środku? Takim rodzajem kulki była moja matka.

Paru mężczyzn w sali pamięta, ja też pamiętam, a także smukła kobieta o krótko przyciętych siwych włosach. Wszyscy jesteśmy mniej więcej w jednakowym wieku. Ludzie rzucają nazwy innych kulek: bąbelkowa, zygzakowa, przydymiona. Ja dorzucam swoją – to znaczy rysuję na zielonej serwetce – kulkę holenderską, z kwiatem w środku. Grupki młodszych widzów podkpiwają z naszego entuzjazmu. Dowale stoi uśmiechnięty, rozkoszując się ciepłem chwili. Lewą ręką prztyka wyimaginowaną kulkę w moim kierunku. Czułość i ciepło na jego twarzy są jednak zwodnicze.

– To było coś niebywałego, mówię wam, bo moja mama dla niego, tak mi się przynajmniej zdawało, była darem z nieba, czymś najcenniejszym, co mu powierzono do pilnowania, równocześnie jednak powiedziano: „Strzeż się, masz jej tylko pilnować, zrozumiano? A nie z nią być. Więc trzymaj się z daleka!". Jak to jest napisane w Biblii? Tak na marginesie, Netanjo, Biblia jest zarąbista! To dopiero książka, ciężko się od niej oderwać! Jakbym nie był taki zdystansowany, tobym ją nazwał książką nad książkami, pełno w niej świńskich kawałków! Tam macie napisane już na wstępie: „I poznał Adam żonę swą Ewę". Napisano tak czy nie napisano? – Napisano –

odpowiada kilka głosów. – No dobra, a więc szacun, mister Adam, kawał chłopa z ciebie, tylko zwróć uwagę, że napisali tam, żeś ją poznał, a nie żeś ją zrozumiał, no co, dziewczęta? Mam rację? – Kobiety w sali odpowiadają wiwatem. Krąg ciepła unosi się nad ich głowami, szybuje i otacza go jak aureola. On puszcza do nich oko. Jakimś sposobem objął je wszystkie jednym mrugnięciem, a mimo to odnoszę wrażenie, że do każdej mrugnął nieco inaczej.

Nie rozumiał, nie rozumiał ni w ząb mój tatko tej pięknej kobiety, która cały dzień milczała, po prostu siedziała wśród książek za zamkniętymi drzwiami, o nic go nie prosząc i niczego nie chcąc, żadnego wrażenia na niej nie robił tymi swoimi kombinacjami. Za dwieście pięćdziesiąt dolców miesięcznie udało mu się wynająć magazyn na tyłach zakładu fryzjerskiego, dla czteroosobowej rodziny! Ta-tam! Potem kupił skrzynię zamszowych spodni z felernymi suwakami, sprowadzonych kutrem rybackim z Marsylii, które przez następne dwa lata zasmradzały nam mieszkanie, alleluja! Ona co wieczór, przez całe lata, siadywała z nim przy stole w kuchni, zupełnie nieruchomo, przewyższając go o głowę – Dowale wyciąga złączone ramiona jak posłuszny uczeń albo więzień nadstawiający ręce pod kajdanki – a on otwierał kapownik, drobnym jak odchody much pismem notował w nim liczby i kryptonimy wymyślone dla klientów i dostawców, tych, którzy byli wobec niego w porządku, i tych, co go wydymali: Faraon, Kochaś z Sosnowca, Sarah Bernhardt, Zishe Breitbart, Goebbels, Rumkowski, Meir Wilner, Ben Gurion…, i dawaj się podniecać, szkoda, żeście go wtedy nie widzieli, spocony, czerwony jak burak, z palcem drżącym nad liczbami, cały czas dowodził, jakby ona się z nim spierała, jakby w ogóle go słuchała, że za tyle a tyle lat i za tyle a tyle miesięcy będzie miał dość pieniędzy, żebyśmy mogli się przenieść do dwupokojowego mieszkania z balkonem w Kiriat Mosze.

Unosi wzrok w stronę widowni, jakby na chwilę zapomniał, gdzie się znajduje. I natychmiast się rozpogadza, przeprasza z uśmiechem i wzruszeniem ramion.

– Po dziesięciu godzinach jazdy docieramy do jakiegoś zadupia na Negewie albo w Arawie, gdzieś koło Ejlatu, zobaczmy… Spróbuję nawiązać kontakt z błogosławionej pamięci sobą… – Przewraca oczami, odchyla głowę do tyłu i mamrocze: – Widzę… brązowe i czerwone góry, widzę pustynię, namioty i baraki dowództwa, stołówkę i wystrzępioną izraelską flagę na szczycie masztu, kałużę oleju napędowego, ledwie dychający generator-degenerator i menażki, które wtedy dostawało się w prezencie na bar micwę, a szorowało druciakiem, zasyfioną gąbką i zimną wodą, tak że cały tłuszcz zostawał…

Publiczność jest teraz jego. Publiczność brodzi w znanej sobie wodzie.

Spędziliśmy tam cztery dni, ja i Dowale, w tym samym oddziale, większość czasu mieszkaliśmy w jednym namiocie, jedliśmy przy jednym stole w stołówce i nie zamieniliśmy ze sobą ani jednego słowa.

– A wychowawcy, zdaje się, że nazywano ich dowódcami, byli z dupy wzięci, każdy jebnięty w innym miejscu. Każdy jak niedoróbek człowieka. Do prawdziwej armii ich nie wzięli, więc kazali im niańczyć dzieciaki na obozie przysposobienia obronnego. Jeden miał zeza, na metr nic nie widział, drugi miał platfusa, inny nerkę, a jeszcze inny był z Cholonu. Możecie mi wierzyć, że z dziesięciu takich wychowawców dałoby się złożyć do kupy najwyżej jednego normalnego człowieka.

Odwraca się z westchnieniem do medium.

– Powiedz no, kochanie, chyba mi mleko w termosie przez ciebie kwaśnieje – widzisz, jak wszyscy rechoczą – nie śmieszą cię moje dowcipy?

– Nie.

– Co, żaden nie jest dobry?

– Twoje dowcipy są złe. – Wzrok ma wbity w stolik, palcami przytrzymuje uchwyt torebki.

– Złe, bo nie są śmieszne? – pyta czule. – Czy dlatego że jest w nich coś złego?

Nie odpowiada od razu. Zastanawia się.

– I to, i to – mówi w końcu.

– Więc moje żarty nie są śmieszne – interpretuje jej słowa. – I w dodatku jest w nich coś złego.

Ona namyśla się jeszcze chwilę.

– Tak.

– Ale tak ma być. Na tym polega stand-up.

– W takim razie to nie jest w porządku.

Rzuca jej długie rozbawione spojrzenie.

– To dlaczego przyszłaś?

– Ponieważ w naszym klubie powiedzieli, że jest stand-up, a ja myślałam, że chodzi o karaoke.

Gawędzą sobie, jakby w sali nie było nikogo innego.

– No to teraz już wiesz, o co chodzi, i możesz sobie iść.

– Chcę zostać.

– Ale po co ci to? Nie bawisz się dobrze. Najwyraźniej nie jest ci fajnie.

– To prawda. – Twarz jej pochmurnieje. Emocje, jakich doświadcza, od razu widoczne są na twarzy. W gruncie rzeczy podczas tego wieczoru patrzę na nią nie rzadziej niż na niego. Dopiero zdałem sobie z tego sprawę: bez przerwy przenoszę wzrok z niego na nią, oceniam go wedle jej reakcji.

– Lepiej, żebyś sobie poszła, teraz będzie to dla ciebie jeszcze trudniejsze.

– Chcę zostać. – Kiedy sznuruje usta, przesadne kółeczko czerwonej szminki nadaje jej wygląd małego urażonego klauna. Dowale wciąga zapadnięte policzki, jego oczy zdają się zbliżać do siebie.

– Okej – mruczy – ale pamiętaj, że cię ostrzegałem, słoneczko. Żebyś potem nie miała pretensji…

Spogląda na niego, nie rozumiejąc, po czym znów się kurczy.

– Dawaj dalej, Netanjo! – krzyczy przerażającym głosem, dosłownie ryczy w jej stronę. – Po dziesięciu godzinach dojeżdżamy na miejsce, lokują nas w namiocie, w wielkich namiotach, po dziesięciu czy dwudziestu w jednym, a może mniej? Nie pamiętam, nie pamiętam, w ogóle nic już nie pamiętam, nie ufajcie mi ani trochę, na życie mojej

matki, głowę mam dziurawą jak sito, słowo honoru, kiedy moje dzieci jeszcze wiedziały, że mają ojca, i przychodziły do mnie z wizytą, mówiłem im: „Halo! Najpierw przypnijcie sobie identyfikatory z imionami!”.

Słaby śmiech.

– Tam, w Beer Ora, uczą nas wszystkiego, co każdy dumny hebrajski chłopiec umieć powinien: jak wspinać się po ścianach, na wypadek gdybyśmy znów musieli zwiewać poza mury getta; jak się czołgać, gdyby przyszło wydostać się kanałami; jak wykonać PCOWO, żeby naziści się nie połapali, że to skrót od „padnij-czołgaj się-obserwuj-wyceluj-ognia”, bo może dzięki temu się zniechęcą. Każą nam skakać z wieży na płachtę, pamiętacie? I chodzić po linie jak kameleon, do tego alerty dzienne i nocne, a my pocimy się, biegamy dookoła bazy w koszmarnym upale, strzelamy pięcioma nabojami z czeskiego mauzera i czujemy się jak James Bond, co do mnie – trzepocze kokieteryjnie rzęsami – to akurat strzelanie sprawia, że czuję się blisko mamy, daje smak domu, bo moja mama… opowiadałem już? Nie opowiadałem? Mama pracowała w Taas, tak, w zakładach produkcji broni w Jerozolimie. Sortowała tam naboje, moja kochana mamusia, sześć razy w tygodniu, ojciec jej załatwił, prawdopodobnie ktoś był mu coś winien, więc dali jej robotę pomimo całego bagażu, jaki dźwigała. Bij zabij, nie wiem, co ojcu strzeliło do głowy, co sobie roił, dziewięć godzin dziennie, ona, z nabojami: ta-ta-ta-ta-ta! – Chwyta wyimaginowany pistolet maszynowy i strzela na wszystkie strony, krzycząc ochrypłym głosem: – Beer Ora, *here-I-come*! Pomyślcie o dyżurach w kuchni! Pomyślcie o olbrzymich kotłach! Do tego świerzb! Każdy drapie się po całym ciele jak miniaturka Hioba! Sraczka płynie strumieniem, bo za specjalizację w dyzenterii szef kuchni, niech będzie zdrowy, zdobył gwiazdkę w przewodniku Michelina…

Od paru minut nie patrzy mi w oczy.

– A wieczorem balangi i ogniska, wspólne śpiewy, gaszenie ognia po harcersku; mnie z fiutkiem na wierzchu pozwolili nasikać na żar, do tego „cieszcie się i radujcie, chłopcy i dziewczęta”, yin i yang, tańczymy krakowiaka, ubaw miałem po pachy! Zabawiałem cały oddział, śmiali się ze

mną, przymilali, rzucali jak piłkę jeden do drugiego, bo byłem mały, nic nie ważyłem, i do tego najmłodszy, kiedyś przeskoczyłem jedną klasę, nieważne, nie dlatego że byłem nie wiadomo jaki mądry, po prostu mieli mnie dosyć i kopnęli o klasę wyżej. A na obozie zrobili ze mnie ni stąd, ni zowąd maskotkę naszego oddziału, talizman Dowale-na-szczęście. Przed każdą musztrą i ćwiczeniami na strzelnicy każdy przyłaził, żeby pacnąć mnie w głowę, ale życzliwie, dla zabawy. „Bambino", wołali tam na mnie, pierwszy raz miałem u nich normalną ksywkę, nie „gumowe kalosze" ani „stare szmaty"...

*

Oto jak go tam spotkałem: przybyłem do bazy i wszedłem do namiotu, żeby rozpakować plecak. Ujrzałem trzech nieznajomych wyrośniętych chłopaków, którzy zabawiali się rzucaniem do siebie wielkiego wojskowego chlebaka, w środku piszczał niczym zwierzątko jakiś dzieciak. Chłopaków nie znałem. Z naszej szkoły jako jedyny zostałem skierowany do tamtego namiotu. Przypuszczam, że nauczyciel, który pojechał z nami na obóz i przydzielał miejsca do spania, uznał, że wszędzie będę czuł się tak samo obcy. Pamiętam, że stanąłem jak wryty w wejściu do namiotu. Nie mogłem oczu oderwać. Trzej chłopcy byli w samych podkoszulkach, bicepsy lśniły im od potu. Dzieciak w chlebaku już nie wrzeszczał, lecz szlochał, a oni nabijali się z niego bez słowa i dalej podrzucali w górę, celując zamaszyście jeden do drugiego.

Położyłem swój plecak na pryczy, która wyglądała na wolną, niedaleko wejścia, i usiadłem na niej tyłem do tego, co się działo. Nie ośmieliłem się interweniować, ale nie byłem też w stanie opuścić namiotu. W pewnym momencie usłyszałem donośny huk, aż podskoczyłem. Chlebak najwyraźniej wyślizgnął się komuś z rąk i trzasnął o betonową podłogę. Szybko się otworzył, z wnętrza wychynęła kudłata głowa, z czarnymi włosami, od razu go poznałem. Chłopcy zapewne coś dostrzegli na mojej twarzy, bo zarechotali. Dowale odwrócił głowę w ślad za ich spojrzeniami

i zerknął na mnie. Twarz miał mokrą od łez. To spotkanie było poza naszym zasięgiem i poniekąd przekraczało nasze możliwości. Nie daliśmy żadnego znaku, że się rozpoznajemy. Nawet jako negatywy samych siebie byliśmy w pełni zsynchronizowani. Jego krzyk zamarł mi w gardle, tak to odczułem. Potem uniosłem wysoko głowę, odwróciłem się bokiem i wyszedłem z namiotu, a ich szydercze rechoty pobiegły za mną.

*

– Kotłowały się tam dziewczyńskie i chłopięce sprawy, co rusz nowe hormony, jeszcze nierozpakowane, i wesołe trzaski pękających pryszczy, ale ja byłem żółtodziobem w tej kwestii, no wiecie, dopiero zaczynałem pierwsze eksperymenty z samym sobą, pisemka, fotosy, i tym podobne, natomiast co się tyczy samego sedna, to miałem zaledwie status obserwatora, ale za to jaką przyjemność czerpałem z obserwacji! Tam się to zaczęło i zostało mi na całe życie.

Uśmiecha się, ludzie uśmiechają się do niego. Co on im tutaj sprzedaje? Co sprzedaje sobie?

*

Wkrótce po naszym spotkaniu natknąłem się na niego w stołówce. Ponieważ mieszkaliśmy w jednym namiocie, siedzieliśmy też przy jednym stole, ale na szczęście dla mnie daleko od siebie. Nałożyłem sobie na talerz i wetknąłem nos w jedzenie, lecz mimo to widziałem, jak koledzy z klasy wsypali mu do zupy całą solniczkę, a on chłeptał radośnie, mlaszcząc na cały głos tak, że skręcali się ze śmiechu. Ktoś zerwał mu z głowy czapkę z daszkiem, która fruwała wte i wewte nad stołem, co chwila wpadając do czyjegoś talerza, aż w końcu wylądowała na jego głowie, coś ciekło mu po twarzy. Wyciągnął język i oblizał. Raz po raz, pomiędzy radosnymi piskami i głupimi minami, zahaczał o mnie wzrokiem, obojętnym i pustym.

Na koniec posiłku wetknęli mu do ust pół banana, a on drapał się po żebrach, naśladując małpie wrzaski, aż dowódca oddziału kazał mu się zamknąć i siedzieć cicho.

W nocy, kiedy po zgaszeniu światła wszyscy legliśmy na pryczach, chłopcy w namiocie zażądali, żeby opowiedział swoje sny o pewnej dziewczynie z klasy, nadzwyczaj hojnie obdarzonej przez naturę. Opowiedział. Używając takich słów, że nie mogłem uwierzyć, że je zna. Ale to był jego głos, jego słowotok, jego przebogata wyobraźnia. Leżałem nieruchomo, prawie nie oddychając, wiedziałem już na pewno, że gdyby nie było go w namiocie, przyczepiliby się do mnie.

Między dwoma rzędami pryczy przebiegł nagle chłopak, przedrzeźniając sposób mówienia jego ojca, inny stanął przed nim i zaczął naśladować jego matkę. Naciągnąłem na głowę wojskowy koc. Chłopcy rechotali, Dowale śmiał się razem z nimi. Nie przeszedł jeszcze mutacji i jego głos dźwięczał osobliwą świeżością pośród ich grubych basów. Ktoś powiedział: „Jakbym szedł ulicą Dizengoffa razem z Grinsztajnem, ludzie by myśleli, że idę z dziewczyną!". Wielka fala śmiechu zalała namiot.

Po drugiej nocy ubłagałem nauczyciela o przeniesienie do innego namiotu. Trzeciej nocy leżałem już na innej pryczy, w innym namiocie, z dala od niego, ale wciąż czułem drgawki na myśl o poprzednim miejscu. Czwartej nocy postawili mnie na warcie z dziewczyną z mojej klasy i przestałem zawracać sobie głowę Dowalem.

Miał rację: wymazałem go.

*

– A w nocy bieganina w ciemności pomiędzy namiotami, zewsząd słychać: aaa i uuu, zabieraj łapę, ty kretynie, a przynajmniej tutaj mogę dotknąć, fuj, gdzie się pchasz z językiem, połóż tu rękę, po prostu poczuj go, ja dziś naprawdę, naprawdę nie mogę, matka mnie zabije, jak się odpina te wszystkie cholerne haczyki, a co to jest, o matko, coś ty na mnie wytrysnął, ożeż ty suko, zatrzasnęłaś mi suwak na moim…

Widownia unosi się teraz i opada na falach śmiechu. On nadal unika mojego wzroku. Czekam. Jestem gotów. Lada chwila odwróci się do mnie z szerokim uśmiechem: „Cóż za zbieg okoliczności! Jaki mały jest ten świat! Szanowny sędzia Awiszaj Lazar też tam ze mną był!”.

*

Na drugi dzień rano odesłano mnie ze strzelnicy po zostawioną w namiocie manierkę. Pamiętam, jak miło było znaleźć się nagle samemu, bez hałasu, krzyków i poleceń, które nieustannie wypełniały każdy skrawek przestrzeni, i co za ulga, że w końcu jestem bez niego, bez tortur jego obecności. Powietrze było niezwykle czyste, zewsząd biła kojąca świeżość (teraz, gdy to piszę, wraca do mnie zapach wody i mydlin z porannego mycia zbierających się w szczelinach cementowej podłogi w namiocie).

Usiadłem na swojej pryczy. Klapy namiotu były uchylone, mogłem spokojnie obserwować pustynię, której piękno mnie obezwładniało, a także dawało niejaką pociechę, odkąd tam przyjechałem. Starałem się opróżnić umysł z wszelkich myśli.

I właśnie wtedy, być może dlatego, że przez chwilę byłem bezbronny, poczułem wzbierający głęboko w gardle płacz, jakiego nigdy przedtem nie zaznałem. Od razu wiedziałem, że to szloch rozpaczy, straszliwej straty, który zaraz wstrząśnie mną bez żadnych hamulców.

Nagle do namiotu wszedł Dowale. Zobaczył mnie i zamarł. Potem przemknął chwiejnym krokiem, niemal kulejąc, do swojej pryczy i zaczął szperać w plecaku. Ja rzuciłem się do swojego plecaka, pogrzebałem w środku i ukryłem w nim twarz. Wielki szloch momentalnie wysechł. Po minucie czy dwóch, gdy już nic nie słyszałem, pomyślałem, że wyszedł, i uniosłem głowę. Stał obok swojej pryczy z twarzą zwróconą w moją stronę, z oklapniętymi ramionami. Wymieniliśmy niejasne, mroczne spojrzenia. Poruszał ustami, chyba chciał coś powiedzieć. A może próbował się uśmiechnąć, żebym sobie przypomniał jego, nas.

Najwyraźniej jednak odpowiedziałem gestem ostrzeżenia, niechęci albo wstrętu. Widziałem, jak jego twarz wykrzywia się i drży.

I to było wszystko. Kiedy spojrzałem ponownie, zobaczyłem, że oddala się od namiotu.

*

– A potem, na trzeci dzień – krzyczy – może zresztą czwarty, kto by spamiętał? Kto, do diabła, w ogóle cokolwiek pamięta? Naprawdę nie jestem w stanie powiedzieć, ech ta moja nieboszczka pamięć… W każdym razie siedzimy sobie w kółeczku na ziemi, słońce praży jak jasna cholera, jeśli uświadczysz odrobiny cienia, to wyłącznie od sępów, co tylko czekają, żebyśmy wyciągnęli kopyta, zezowaty wychowawca tłumaczy nam, czym jest kamuflaż albo coś w tym stylu, a tu nagle od baraku dowódcy nadbiega żołnierka, w stopniu bodaj sierżanta, bum-bum, pędzi w naszą stronę, nieduża dziewczyna, ale z solidnymi obciążnikami, aż jej mundur rozsadzają, nogi jak u gazeli, każda z osobna jest gazelą, cha, cha, mały hołd dla humoru z lat sześćdziesiątych, sekundę później jest już przy nas, dyżurny nie zdąża nawet pisnąć „uwaga!”, a ona rzuca bez tchu: „Grinsztajn Dow jest w tym oddziale?”.

*

Ja też doskonale pamiętam ten moment. Nie samą żołnierkę, lecz ostry ton, jakim wykrzyczała jego imię, przeraziła mnie, bo właśnie śniłem na jawie i nie zauważyłem, że nadchodzi. Jego nazwisko spłynęło na mnie tak niespodziewanie, że niemal podskoczyłem ze strachu i powiedziałem, że to ja.

*

– A ja, moi mili, od razu wyniuchałem, że kroi się coś śmierdzącego jak diabli. Cała klasa, wszyscy moi wspaniali przyjaciele, jak jeden mąż wskazują na mnie palcami i wrzeszczą: „To on!". Jakby spieszyli donieść: „To ten! Zabierzcie jego, nie mnie!". Z takimi przyjaciółmi to… – Śmieje się, nie patrząc na mnie. – Na pewno nie byłoby fajnie trafić z nimi do selekcji na rampie. I ta żołnierka mówi: „Natychmiast idziesz ze mną do dowódcy". A ja wydusiłem z siebie wykastrowanym głosikiem: „Ale co ja takiego zrobiłem, pani oficer?". Moi przyjaciele rechoczą, uważają, że to bardzo zabawne: „Ale co ja takiego zrobiłem, pani oficer…". Krzyczą jeden przez drugiego: „Wlep mu naganę za walenie konia albo pierdzenie w namiocie", szczują, wymyślają kłamstewka, chórkiem intonują: „Gumka do pierdla! Gum-ka, Gum-ka do pierd-la!". Żebyście dobrze zrozumieli: w klasie miałem między innymi taką ksywkę. Czemu „Gumka"? Miło, że się zainteresowaliście, kochani. Bo byłem piegusem, z kupą piegów, teraz już ich nie ma, wyblakły, ale wtedy miałem ich mnóstwo, tak, to prawda, jakby ktoś nasrał w wentylator, bardzo dziękuję za oryginalne wyjaśnienie, stoliku numer dziewiętnaście…

Powoli odwraca głowę w kierunku krzykacza, to jego stały numer, i wbija w niego beznamiętny wzrok. Menedżer rzuca snop światła na tęgiego, ogolonego na łyso mężczyznę w żółtej marynarce. Dowale nie odrywa od niego oczu. Powieki ma do połowy przymknięte. Publiczność pęka ze śmiechu.

– Dobry wieczór, panie Tony Soprano oblany cytrynową pianą – mówi słodziutkim głosem. – Witamy w naszych skromnych progach, życząc panu kryształowej nocy. Rozumiem, że ma pan przerwę w zażywaniu leków i właśnie dziś wieczór, taka moja karma, musiał pan wyjść, żeby się przewietrzyć? – Żona klepie mężczyznę po plecach, ze śmiechu łzy jej tryskają z oczu, ale on sapie i odpycha pocieszającą dłoń. – No, no bracie – zażegnuje Dowale – wszystko jest w jak najlepszym porządku, super się z tobą bawimy! Joaw, postaw człowiekowi kieliszeczek, na mój rachunek, tylko nie zapomnij wrzucić do wódki podwójnej dawki valium, paru tabletek uspokajających… No porządny z ciebie gość, na koniec wieczoru

dostaniesz nagrodę Al-Kaidy za inteligencję emocjonalną. Nie śmieję się z ciebie, bracie, śmieję się z tobą, okej? Tylko przyjmij do wiadomości, że dowcip o wentylatorze już parę razy w życiu słyszałem, mieliśmy w klasie takiego jednego, coś mi się zdaje, że świetnie byście się dogadali, podobny był do ciebie, kubek w kubek. – Zwija rękę w trąbkę i rzuca do nas teatralnym szeptem: Cała subtelność łomu i wdzięk jąder w suspensorium. – Śmieję się z tobą, siadaj na miejsce! Żartowałem! Za każdym razem, kiedy tamten mnie spotykał, za każdziutkim razem, przez osiem w dupę jebanych lat, pytał, czy nie potrzebuję gumki do ścierania piegów, nadążasz za mną? Nie ma tu przypadkiem któregoś z moich dawnych kolegów z klasy? Nie? Więc swobodnie mogę kłamać dalej? *Bravissimo!* Żeby nie przynudzać: wstaję i otrzepuję dupę z piasku, tym sposobem, nawiasem mówiąc, zaczęły się burze na Negewie, dzięki którym powstał syjonizm, a później upadł Izrael, zostawiam koleżków, drepczę za nią i już wiem, że to koniec, stało się, od pierwszej sekundy miałem przeczucie, że tam nie wrócę, że dla mnie cała sprawa jest skończona, to znaczy moje dzieciństwo.

Bierze łyk z termosu. W powietrzu znów niewyraźnie dźwięczy nerwowe bicie serc. Widzowie wciąż się zastanawiają, w którą stronę powieje ten wieczór. Kredyt, jakiego mu udzielili, wycieka, jest już na wyczerpaniu. Wyczuwam ich reakcję w swoim organizmie, tak jak się wyczuwa gwałtowny spadek poziomu cukru we krwi. Pamiętam: tuż przed tym, jak wstał na polecenie żołnierki, poszukał mnie oczami, posyłając długie, błagalne spojrzenie. Uchyliłem się od patrzenia.

– Co sobie myślałem? – mruczy na scenie. – W dzisiejszych czasach tyle jest gadania na temat dzieci, czy są akceptowane, czy odrzucane, a ja chciałbym na przykład wiedzieć, tu i teraz, jak to właściwie było z owym rabinem cudotwórcą, Babą Sali, w jego szkole. Ciekawe, no nie? Dosłownie mam przed oczami scenę, jak jego wychowawczyni mówi rodzicom na wywiadówce: Bardzo mi przykro, państwo Sali, ale wasz mały Baba nie jest przez klasę akceptowany!

Co? Jak? Was to nie śmieszy? Rozumiem. Trudna i wyrafinowana publiczność, o europejskich standardach. Dobra, nie ma problemu, podejdźmy z innej strony, co moim zdaniem bardziej przypadnie wam do gustu. Oto mała analiza psychologiczna z nutką sentymentalizmu. Kiedy byłem mały, miałem niezawodnie precyzyjny i naukowy sposób sprawdzania, który dzieciak jest akceptowany, a który nie. Nazywam to „metodą sznurówki". Na czym ona polega? Przypuśćmy, że grupka dzieci wraca ze szkoły do domu. Idą, paplają, śmieją się, wrzeszczą. Jak to dzieciaki. I raptem jeden przykuca, żeby zawiązać sznurówkę. No więc, jeśli grupka od razu się zatrzymuje – cała! Łącznie z tymi, które szły przodem i nie widziały, że się schyla, ale natychmiast przystają i czekają na niego – to znaczy, że jest swój, że wporzo, jest akceptowany. Jeśli jednak nikt nawet nie zauważył, że on się zatrzymuje, i dopiero pod koniec ósmej klasy, powiedzmy na zakończeniu roku szkolnego, ktoś zapyta: „Hej, może ktoś wie, co się stało z tym kolesiem, co przykucnął, żeby zawiązać sznurówkę?", no cóż, wtedy będzie wiadomo, że ten koleś to ja.

Miniaturowa kobieta siedzi na brzegu krzesła, usta ma wpółotwarte, nogi mocno ściśnięte. Pijąc z termosu, on spogląda jej prosto w oczy, a dopiero potem, nareszcie, patrzy na mnie. Jest to przeciągłe, dogłębne spojrzenie. Pierwszy raz, odkąd zaczął opowiadać tę historię, patrzy mi prosto w oczy, a ja mam dziwaczne wrażenie, jakby wziął ogień od tej kobiety i wzrokiem przeniósł go do mnie.

– Wracając do rzeczy: idę za żołnierką i główkuję, że albo zamierzają mnie ukarać, bo coś przeskrobałem, ale co ja mogłem przeskrobać? Ja? Największy przygłup na całym obozie, największa oferma? Dobry chłopiec… – Uśmiecha się, puszczając oko do malutkiej kobiety, i natychmiast szuka mnie: – Powiedzcie no, towarzyszu sędzio, czy to słówko jeszcze w ogóle jest w obiegu? Nadal się tak mówi: oferma? Nie wyciągnąłem go z lamusa?

W jego głosie i oczach nie ma śladu wrogości, co zbija mnie z tropu. Potwierdzam, że słowo wciąż jest w użyciu. Powtarza je sobie przeciągłym

szeptem, tylko do siebie, raz, potem drugi, a ja daję się wciągnąć i szepczę razem z nim.

– Albo że to ma coś wspólnego z moim ojcem, może nagle go coś ugryzło, może uznał, że coś mu nie pasuje z całym tym obozem lub uwłacza jego godności, może dowiedział się, na przykład, że obóz przysposobienia obronnego ma jakiś związek z partią Mapai, a przecież on jest człowiekiem Bejtaru albo, co najbardziej prawdopodobne, znalazł nieprzyzwoite pisemka „Bul" i „Gamad", które ukryłem za żaluzją w swoim pokoju, i teraz wzywa mnie po poradę, bądź tu mądry, z nim naprawdę nigdy nie było wiadomo, z której strony padnie następny cios.

Stoi na skraju sceny, tuż przy pierwszym rzędzie stolików, wciskając ręce głęboko pod pachy. Niektórzy kierują ku niemu twarze. Inni zapadają się w siebie, patrzą dziwnym znużonym wzrokiem, jakby zrezygnowali z nadążania za nim, lecz mimo to nie potrafią oderwać oczu.

– I naraz zdaję sobie sprawę, że ona do mnie mówi, ta pani oficer. Szybko idzie i szybko gada, tłumaczy, że mam natychmiast wrócić do domu i że czas nagli, bo o czwartej muszę być na pogrzebie. Nie odwraca głowy, jakby, czy ja wiem, bała się na mnie spojrzeć, a nie zapominajcie, że przez cały czas tuż przed moimi oczami kołysze się jej tyłek, kawał porządnego tyłka. Dobra, prawda jest taka, że dupa to bardzo wdzięczny temat. Powiedzcie, mi panowie, z ręką na sercu, powiedziałem: na sercu, stoliku trzynaście! Tak między nami, czy widzieliście kiedykolwiek kobietę, która byłaby zadowolona ze swojego tyłka? Widzieliście przynajmniej jedną taką kobietę pod słońcem?

Ciągle mówi. Widzę, że jego usta się poruszają. Wymachuje rękami, cały w uśmiechach. Tymczasem u mnie w głowie rozchodzi się biała, mleczna mgła.

– Znacie te chwile, kiedy ona staje przed lustrem i ogląda się do tyłu, to z tej strony, to z tamtej… Nawiasem mówiąc, jeśli chodzi o własną dupę, to kobieta potrafi obrócić głowę o trzysta sześćdziesiąt pięć stopni, bez najmniejszego problemu, gwarantowane! Naukowo udowodnione! To taki

rodzaj ruchu, który w całej przyrodzie są w stanie wykonać, oprócz niej, tylko słonecznik i wał korbowy. A potem odwraca się o tak…

Demonstruje, niemal wpadając na stojące przy scenie stoliki. Rozglądam się dookoła. Widzę mnóstwo dziur. Małych otworków gębowych, rozdziawionych w szerokim śmiechu.

– …i ogląda się… studiuje… Nie zapominajcie, że ona ma w głowie specjalną aplikację, Google Ass, która w dowolnym momencie porównuje wielkość jej tyłka do tego, jaki był w wieku lat siedemnastu, po chwili robi minę, taką minę zobaczysz tylko-i-wyłącznie-i-jedynie w tej konkretnej sytuacji, w jidysz to się nazywa endemiczny wyraz twarzy, a po hebrajsku dupotwarz, i następnie głosem królowej z tragedii greckiej rzuca: „No właśnie! Zaczyna wiotczeć". Albo nie, jeszcze gorzej! „Oklapł". Rozumiecie? Nagle zaczyna gadać jak opiekunka socjalna przydzielona do pracy nad własnym tyłkiem. Jakby on, ze swojej nieprzymuszonej woli, z premedytacją, wypadł z ustalonych ram, wycofał się z normalnego życia, odwrócił od cywilizacji i zamienił się w tyłek z marginesu społecznego! Lada moment zobaczycie, jak poleci szprycować się heroiną w jakimś ciemnym zaułku na przedmieściach! A ty, nieszczęsny mężczyzno, jeśli przypadkiem w tym szczególnym momencie znajdziesz się razem z nią w pokoju, to najlepiej, żebyś się zamknął. Nie waż się wypowiedzieć ani jednego słowa! Wszystko, co powiesz, zostanie użyte przeciwko tobie. Jeśli stwierdzisz, że przesadza, bo twoim zdaniem jest całkiem fajny, atrakcyjny, w sam raz do podszczypywania i głaskania, to zaliczysz wpadkę: oczu nie masz, podlizujesz się, jesteś idiotą, w ogóle się nie znasz na kobietach. Ale jeśli jej powiesz, że ma rację, już jesteś trupem…

Dyszy, skończył kawał. Kto wie, ile razy przyszło mu go opowiadać. Jego głos już nie wypełnia każdego słowa – połyka niektóre sylaby. Publiczność zanosi się śmiechem. Wciąż mam nadzieję, że się przesłyszałem, że czegoś nie zrozumiałem, że był tam jakiś żart, który mi umknął. Ale kiedy patrzę na malutkie medium, na jej wykrzywioną z bólu twarz, już wiem.

– Na czym stanęliśmy? Jesteście niesamowitą publicznością! Szczerze mówiąc, najchętniej zabrałbym was wszystkich do domu. No dobra, a więc

dupa idzie przede mną, ona z przodu, ja za nią, nie mając pojęcia, czego ode mnie chce, skąd raptem wytrzasnęła jakiś pogrzeb, a tak w ogóle, to nigdy nie byłem na pogrzebie, nie było okazji, pochodzę z malutkiej rodziny, jak już wiecie, bośmy to omawiali: matka, ojciec i dziecko, nigdy nie było u nas pogrzebów, nie mieliśmy też żadnych krewnych, którzy mogliby nagle kopnąć w kalendarz, tylko on i ona pozostali ze swoich rodzin; zaraz, coś mi się przypomniało, chwileczkę, skoro jesteśmy w temacie krewnych, to w tym tygodniu pisali w gazecie, że naukowcy odkryli, iż najbliższym człowiekowi stworzeniem pod względem genetycznym jest jakiś ślepy robal, najprymitywniejszy, jakiego można sobie wyobrazić. Słowo honoru! My i on rodzeństwem! Zaczynam jednak podejrzewać, że jesteśmy zakałą rodziny, bo jak wytłumaczycie to, że państwo Robalowie nigdy nas nie zapraszają na swoje rodzinne imprezki? – I znów wyrzuca do przodu pięść, po czym robi unik przed wymyślonym przeciwnikiem. W sali nieoczekiwanie ciężka cisza, mam wrażenie, że to, co powiedział przedtem, zaczyna powoli docierać.

Okej, rozumiem, wszystko kumam, obmyślam trasę od nowa. Na czym stanęliśmy? Matka–ojciec–dziecko, żadnej dalszej rodziny, żadnych krewnych, już to mówiliśmy, cisza i spokój jak w Trójkącie Bermudzkim, no wiadomo, że działy się różne rzeczy, ale w tym wieku zbytnio nie zawracasz sobie nimi głowy, skądś niby wiedziałem, że ojciec nie był pierwszej młodości, że prawdę mówiąc, był najstarszy z wszystkich ojców w mojej klasie, wiedziałem też, że ma cukier we krwi, że serce, że nerki i że bierze tabletki, wiedziałem, no dobra, widziałem na własne oczy, wszyscy zresztą widzieli, że zawsze, ale to zawsze ciśnienie mu skacze jak tamtemu, no jak mu tam, Louisowi de Funès w citroenie 2CV, który nie chce odpalić. Mama też, mimo że była od niego dużo młodsza, targała stamtąd na grzbiecie różne bagaże, bo pomyślcie tylko: prawie sześć miesięcy siedziała zamknięta w jakiejś ciasnej kanciapie w pociągu, w graciarni na farby i smar, gdzie nie dało się ani stać, ani siedzieć, niezłe jaja, a poza tym miała na nadgarstku, na obu nadgarstkach – odwraca na naszych oczach chude przedramiona – takie delikatne szwy, kokieteryjne

hafty z żył, które jej zrobiły najwyższej klasy szwaczki w szpitalu Bikur Cholim. To bardzo ciekawe – rechocze – że oboje mieliśmy depresję poporodową po moim urodzeniu, tyle że u mnie ona trwa już pięćdziesiąt siedem lat. Ale poza tymi drobnymi sprawami, które na pewno zdarzają się w każdej normalnej rodzinie, wszyscy troje byliśmy mniej więcej w porządku, więc skąd nagle ten pogrzeb, no skąd?

Publiczność, która coraz bardziej cichła w ciągu ostatnich kilku minut, teraz siedzi zupełnie nieruchomo. Twarze pozbawione są jakiegokolwiek wyrazu, pilnują się, by nie zaciągać żadnych zobowiązań. Być może ze sceny ja też tak wyglądam.

– Na czym stanęliśmy? Nie, nie podpowiadajcie, ja sam! Wiecie, co w moim wieku jest przeciwieństwem zapominania?

Niepewne głosy z widowni:

– Pamiętanie?

– Nie: notowanie. A zatem żołnierka, sierżant, dupa, pociąg, haft. Idę za nią, powoli, noga za nogą, coraz wolniej, zastanawiając się, o co tu chodzi, to na pewno pomyłka, czemu akurat mnie wysyłają na pogrzeb? Czemu nie wezmą innego dzieciaka?

Mówi szybko, próbując ukryć wysiłek. Głowę ma pochyloną, ręce wciska coraz głębiej pod pachy. Wydaje mi się, że lekko drży.

– No więc wlokę się, przeżuwając własne myśli, coraz wolniej i wolniej, ale nic z tego nie rozumiem, dalej nie rozumiem, dalej nie, aż naraz podskakuję, staję do góry nogami i zaczynam iść na rękach. Idę, idę za nią, piasek nagrzany jak ogień parzy mnie w dłonie, nie szkodzi, parzenie jest wporzo, parzenie to nie myślenie, z kieszeni wysypują się jakieś drobiazgi: monety, żetony, gumy do żucia, które ojciec wcisnął mi na drogę, drobne niespodzianki, zawsze mi je podtykał, zwłaszcza po spuszczeniu lania, nieważne. Idę szybko, biegiem – unosi ręce nad głowę, porusza nimi w powietrzu, a ja zauważam, że naprawdę mu drżą. – Kto mnie znajdzie, kiedy jestem odwrócony, kto zdoła mnie złapać?

Na widowni śmiertelna cisza. Mam wrażenie, że w głębi duszy ludzie starają się zrozumieć, jak – za sprawą jakiej kuglarskiej sztuczki, triku albo

czarów – zostali przeniesieni z miejsca, w którym byli parę minut wcześniej, do tej nowej opowieści.

Ze mną jest tak samo. Jakby ziemia umykała spod moich stóp.

– A tamta dziewczyna, żołnierka, nagle coś wyczuła, może zobaczyła na ziemi mój cień do góry nogami, bo się odwróciła, ja z kolei zauważyłem jej obracający się cień. „Zwariowałeś?", krzyknęła, ale zdałem sobie sprawę, że okrzyk był słaby i cichy. „Rekrucie, natychmiast wróć do normalnej postawy! Rozum ci odjęło? Żeby wyczyniać głupstwa w taki dzień?!" A ja co? Nic, dalej biegnę obok niej, przed nią, za nią, ręce mi płoną, kłują mnie osty, kamienie, żwir, ale się nie odwracam, bo co ona mi zrobi? Nic mi nie można zrobić, kiedy jestem w takiej pozycji, na dodatek nie mam żadnych myśli, głowa jest pełna krwi, uszy zatkane, zero mózgu, nie ma komu myśleć, nie ma żadnego „co-to-ma-być-ona-nie-ma-prawa-na-mnie-krzyczeć" ani zastanawiania się, co znaczy „w taki dzień".

Sunie po scenie bardzo powoli, ręce wciąż trzyma w górze, krok za krokiem, koniuszek języka wystaje spomiędzy warg. Wielki miedziany dzban w tle odbija jego sylwetkę, wsysa w swoje krzywizny i dzieli na fale, aż na koniec on się uwalnia, umyka.

– Nawiasem mówiąc, swoich koleżków też widzę do góry nogami, siedzą tam, gdzie siedzieli, wrócili do zajęć, uczą się sztuki kamuflażu, przydatna umiejętność w życiu, nawet się nie odwracają, żeby zobaczyć, co ze mną, „metoda sznurówki", jak już ustaliliśmy. Widzę, że się ode mnie oddalają, chociaż wiem, że to ja się oddalam, tak czy owak, jesteśmy od siebie daleko.

*

Dziewczynę z mojej klasy, Liorę, z którą poprzedniej nocy trzymałem wartę na posterunku północnym, kochałem namiętnie od prawie dwóch lat, ale nigdy nie miałem śmiałości, żeby ją zagadnąć. Dowale wiedział, że jestem zakochany. Był jedynym człowiekiem na świecie, z którym o niej rozmawiałem. Jedynym, który umiał mnie o nią wypytać, a tak naprawdę

zmusić swoimi przenikliwymi, sokratesowskimi pytaniami do zrozumienia, że ją kocham. To uczucie skazuje mnie na męki w jej obecności i sprawia, że staję się jeszcze bardziej ponury i agresywny. Tamtej nocy na warcie, o trzeciej nad ranem, całowałem się z Liorą. Pierwszy raz dotknąłem ciała dziewczyny. Skończyły się lata samotności w klasie i w szkole, zacząłem, że tak powiem, nowe życie.

On był ze mną na posterunku. Mam na myśli to, że rozmawiałem z nią tak, jak rozmawiałem z nim. Dokładnie tak, jak mnie nauczył podczas naszych rozmów walkie-talkie. Byłem nader pojętnym uczniem: gdy tylko dotarliśmy do posterunku, zapytałem ją o rodziców i gdzie się poznali, potem o dwóch braci. Była zdumiona. Zbiłem ją z tropu. Nakłuwałem ją cierpliwie i z uporem, bardzo sprytnie, aż stopniowo opowiedziała mi o swoim starszym bracie, który był autystyczny i mieszkał w specjalnym ośrodku, a rodzice prawie nigdy o nim nie wspominali. Byłem wyszkolony i rzetelnie przygotowany na to spotkanie: umiałem pytać i umiałem słuchać. Liora mówiła i popłakiwała, znów mówiła i znów chlipała. Kiedy ją rozśmieszyłem, zaśmiała się przez łzy, a ja pogłaskałem ją i przytuliłem, całując jej mokre policzki. Była tam z mojej strony pewna sztuczka, do dziś trudno mi zrozumieć jej zawiłą naturę. Jakiś sprytny numer niczym włamanie wytrychem. Czułem, że zwracam się do dawnego, kochanego Dowale, którego kiedyś znałem; wskrzeszam go w swoim wnętrzu dla dobra tej chwili z Liorą i pozwalam, by jego słowa płynęły z mojego gardła. Z zimną krwią uświadomiłem sobie także, że niebawem znów go wymażę z głowy.

Tamtego ranka, kiedy siedziałem ze swoim oddziałem na piaszczystym placu i przyszła po niego żołnierka, byłem pijany. Pijany za sprawą miłości, poczucia wybawienia i nieprzespanej nocy. Widziałem, jak on wstaje i idzie za żołnierką, ale nawet nie zastanawiałem się dokąd. Potem chyba znowu zatonąłem w fantazjach o Liorze, niewiarygodnie miękkiej fakturze jej ust, piersi i włosków pod pachami, a kiedy wróciłem do przytomności, zobaczyłem, że on idzie na rękach. Nigdy przedtem nie widziałem, żeby tak chodził, i nie przyszło mi do głowy, że potrafi. Był szybki i lekki,

w strasznym upale, od którego drgało powietrze, jego postać zdawała się wytwarzać drobne fale. To był cudowny spektakl. Nagle wydał mi się swobodny i radosny, pląsający w powietrzu, jakby pokonywał prawo ciążenia i znowu stawał się sobą. Znów przepełniła mnie sympatia do niego i w jednej chwili uleciały tortury ostatnich paru dni, jakby ich nigdy nie było.

Na krótką chwilę.

Dłużej nie mogłem tego znieść, ani jego samego, ani jego metamorfoz. Odwróciłem wzrok, dobrze pamiętam ten gest, i zapadłem się w moje nowe oczarowanie.

*

– Biegniemy, ona tak, a ja tak, przed oczami śmigają mi osty, piasek, znaki, a na koniec dróżka z białymi kamieniami, prowadząca do baraku dowódcy. Z daleka słyszę dobiegające ze środka wrzaski: „Ni chuja tam nie jadę!". „Masz go dowieźć przed czwartą na pogrzeb, to rozkaz". „Już trzy razy zapieprzałem w tym tygodniu w te i z powrotem do Beer Szewy!". Potem słyszę jeszcze kogoś, od razu go rozpoznaję: to starszy sierżant z naszego obozu, wołaliśmy na niego „Eichmann" – popularna wtedy w naszej ojczyźnie ksywka dla ludzi pozbawionych empatii. On też krzyczy, a głos ma mocniejszy niż inni: „Ale gdzie jest ten dzieciak, do kurwy nędzy? Gdzie ten sierota?".

Uśmiecha się przepraszająco. Ramiona zwisają mu wzdłuż tułowia.

Wlepiam oczy w stolik. W swoje dłonie. Nie wiedziałem.

– Ręce stopniały mi jak masło. Przewracam się i leżę z głową przy ziemi. Leżę, leżę, nie wiem jak długo. A kiedy udaje mi się ciut unieść, widzę, że zostałem tam sam. Widzicie tę scenkę? Wasz szczerze oddany rozpaćkany na piachu pustyni, żołnierki dawno już nie ma, zwiała grubaska, słodka beczka dobrych uczynków, idę z wami o zakład, że ta dziewucha nie trzymała nad łóżkiem plakatu z Januszem Korczakiem.

Nie wiedziałem. Nie przyszło mi do głowy. Skąd mogłem wiedzieć.

– Netanjo kochanie, zostań teraz ze mną, musicie potrzymać mnie za rękę. Przede mną drewniane schodki wiodące do pakamery dowódcy, nade mną prażące słońce i sępy, po bokach siedem krwiożerczych krajów arabskich, a tamci w środku wrzeszczą na siebie jak opętani: „Tylko do Beer Szewy go podrzucę, niech go ktoś z dowództwa zabiera stamtąd do Jerozolimy!". „Dobra, w porządku, kutasie jeden. Słyszałem, kurwa, aż za dobrze, no to bierz dzieciaka i zasuwaj, bo nie ma czasu, mówię do ciebie, no jazda!".

Ludzie poprawiają się na krzesłach, znów zaczynają nieśmiało oddychać. Opowieść wybudza ich z odrętwienia wraz z przypływem energii opowiadającego, z jego żwawą gestykulacją, przedrzeźnianiem min i akcentów.

Dowale na scenie od razu wyczuwa nowy wiatr, rozsyła szerokie uśmiechy. Jeden uśmiech rodzi się z drugiego i pęka niczym mydlana bańka.

– No więc podnoszę się z piasku i czekam, drzwi do pokoju dowódcy otwierają się, po schodach idą czerwone buty nafaszerowane starszym sierżantem, który zwraca się do mnie: „No mały, wyrazy współczucia". I wyciąga rękę na powitanie. O mamusiu! Starszy sierżant podaje mi rękę! Na dodatek pociąga nosem, o jakoś tak, znaczy się, żeby okazać tłumiony smutek-łamane-przez-żal: „Ruchama już ci powiedziała, tak? Bardzo to przykre, chłopcze, na pewno nie jest łatwe, zwłaszcza że przydarza się w twoim wieku. Przynajmniej wiedz, że jesteś w dobrych rękach, dostarczymy cię tam z zegarkiem w ręku, ale teraz musisz pędzić i zabrać swoje rzeczy".

Tak gada do mnie starszy sierżant, a ja – Dowale wytrzeszcza oczy i rozdziawia usta niczym lalka z horrorów – jestem w totalnym szoku, nic do mnie nie dociera, widzę tylko, że nie zamierzają mnie za nic ukarać, i uświadamiam sobie, że to już nie jest ten sam Transformer starszy sierżant, co dawał nam wpierdol, teraz zgrywa dobrego tatusia: „Chodź ze mną, mały, pojazd na ciebie czeka, chłopcze". Jeszcze trochę, a zapewne

powiedziałby: „Dziękujemy, że nas wybrałeś, chłopcze, wiemy, że miałeś możliwość zostać sierotą w wielu innych bazach wojskowych…”.

Dobra, ruszamy, ja za nim, ciągnąc się jak wyżęta ścierka, a on – dwa metry wzrostu, góra tłuszczu – wiecie, jak chodzą starsi sierżanci, wypisz, wymaluj jak Transformery: głowa do góry, nogi rozkraczone na ile się da, żeby wszyscy myśleli, że bycze jądra tam chowają, ręce w piąchy, cycki kłapią – chlap, chlap – w prawo i w lewo przy każdym kroku.

Demonstruje chód: – Musicie wiedzieć, że starsi sierżanci nie chodzą, lecz wystukują każdą literkę chodzenia, mam rację? Jest tu ktoś, kto był starszym sierżantem w wojsku? Serio, bracie? W jakiej jednostce? W Brygadzie Golani? Chwileczkę, a jest tu któryś ze spadochroniarzy? Super, no to będzie się działo, naparzajcie się, chłopaki! – Publiczność się śmieje. Dwaj mężczyźni o siwych włosach, jeden z Golani, drugi z Brygady Spadochronowej, wznoszą kieliszki i trącają się nimi na odległość.

– Tak na marginesie, Golani, wiesz, jak golańczyk popełnia samobójstwo? – Mężczyzna się śmieje: – Zamiast fizyczną krzepą postanawia zabłysnąć swoim IQ? – Brawo, człowieku! – Wiwatuje Dowale. – Kradniesz mi moją robotę.

Krótko mówiąc, docieramy do namiotu, starszy sierżant staje z boku, że niby daje mi trochę prywatności. Ja wrzucam do plecaka wszystko, co mi ojciec zapakował. Tak w ogóle, na wypadek gdybyście się nie zorientowali, byłem syneczkiem mamusi, ale żołnierzem tatusia, a tatuś wyposażył mnie na medal, dostałem dosłownie wszystko, czego potrzebuje komandos ruszający na akcję do Entebbe. Mama też chciała pomóc, bo jak wiadomo, miała spore doświadczenie z obozów, tylko że kiedy usłyszała w radiu śpiewy: „Jeśli krzepy nabrać chcesz, to na obóz z nami jedź”, skojarzyła to raczej z Auschwitz-Birkenau. Żeby nie przeciągać, kiedy tych dwoje skończyło mnie pakować, miałem dość sprzętu na każdą ewentualność, w tym wybuch konfliktu na skalę międzynarodową czy regionalną, dostałem nawet opatrunek w razie poparzenia po zderzeniu z asteroidą.

Przystaje, uśmiecha się do jakiegoś wspomnienia w swojej głowie, być może obrazu ojca i matki, kiedy pakują mu plecak. Lekko klepie się po

udzie, śmieje się, on się śmieje! Zwyczajnym śmiechem, od serca, nie profesjonalnym. Nie jadowitym chichotem, nie serią szyderczych rechotów. Zwykłym ludzkim śmiechem, niektórzy ludzie na widowni natychmiast się do niego przyłączają, ja również, jakżeby nie, byleby wytarzać się razem z nim w tej jednej chwili czułości dla siebie samego.

– Jaka szkoda, żeście nie widzieli jej i mojego ojca w scenie pakowania. Niezłe jaja, stand-up z najwyższej półki. Każdy by zapytał: Kim są te dwa dziwolągi, co za skurwiel ich wymyślił i czemu do jasnej cholery autor tego dziwacznego spektaklu nie pracuje u mnie? A zaraz potem by pomyślał: Ożeż kurwa, przecież on, niestety, pracuje u mnie! Posłuchajcie, jak to wyglądało: ojciec wchodzi, wychodzi, biega, pędem wraca. Ależ miał napęd, znacie te małe muszki, co latają tylko po prostej? Bzzz! Bzzz! Za każdym razem gdy wraca z sypialni, przynosi kolejną rzecz, ustawia plecak, wkłada wszystko do środka, pach, pach, biegnie po coś jeszcze, ręcznik, latarkę, menażkę, bzzz, nadziewane ciasteczka, bzz! Kostki rosołowe, maść na odparzenia, kapelusze, inhalator, talk, skarpety… Wpycha na siłę, uklepuje w idealny sześcian, w ogóle mnie nie zauważa, teraz nie istnieję, teraz jest tylko on kontra plecak, totalna wojna światowa, pasta do zębów, środek na komary, kawałek plastiku na nos, żeby się nie spalił, bzzz, biegnie, wraca, jego oczy jeszcze bardziej się zbiegają…

Nikt, absolutnie nikt mu nie dorównał w takich sprawach: organizować, planować, pilnować mnie, od tego był specem, to był jego żywioł. Czy wy w ogóle zrozumiecie, jaki to stres w wieku trzech lat, gdy twój ojciec zmusza cię do chodzenia codziennie inną trasą do przedszkola, żeby zmylić potencjalnych bandytów?

Śmiech publiczności.

– Poważnie mówię, kiedy byłem w pierwszej klasie, facet stawał przy wejściu do szkoły i przepytywał cudze dzieci: „To twój tornister? Sam go pakowałeś? Czy ktoś dał ci coś do przewiezienia?”.

Publiczność śmieje się serdecznie.

– I nagle mama wychodzi z sypialni z wielkim wełnianym paltem, nie mam pojęcia czyim, cuchnącym naftaliną. „Po co ten płaszcz, mamo?”. Bo

słyszała, że na pustyni jest w nocy zimno. On wyjmuje palto z jej rąk, bardzo delikatnie: *Nu, Surale, ject iz zimer, di nor zic un kik*, mówi w jidysz, co znaczy, że teraz jest lato, po prostu usiądź i popatrz sobie. Akurat usiadła i popatrzyła! Już po chwili wróciła z kozakami w rękach. Czemu? Bo temu! Bo jak ktoś przeszedł pięćdziesiąt kilometrów boso po śniegu, to nie ruszy się bez nich z domu. – Dowale macha w naszą stronę tymi absurdalnymi buciorami. – Musicie zrozumieć, że ta kobieta nigdy w życiu nie widziała pustyni. Od chwili gdy przyjechała do Izraela, wychodziła z domu tylko do roboty i z powrotem, trasę miała jak kukułka w ściennym zegarze, pominąwszy epizod, w którym zagrała Złotowłosą i trzy niedźwiadki na posesji w Rechawii, ale tego nie będziemy tu wałkować. I zawsze chodziła z głową w dół, zasłaniając twarz chustką, żeby uchowaj Boże, jej nie zobaczyli, migiem, chyłkiem, czym prędzej wzdłuż murów i ogrodzeń, bo a nuż ktoś doniesie Panu Bogu o jej istnieniu.

Zatrzymuje się, żeby przepłukać gardło. Potem przeciera okulary skrajem podkoszulka, wykradając parę sekund odpoczynku. Moje tapas w końcu wjeżdżają na stolik. Okazuje się, że zamówiłem o wiele za dużo, porcja wystarczyłaby dla dwóch osób. Ignoruję spojrzenia. Wiem, że nie czas na taką ucztę, ale muszę ustabilizować poziom cukru we krwi, więc pochłaniam empanadas, barweny, ceviche i marynowane grzybki. Okazuje się, że znowu zamówiłem głównie te dania, które o n a lubiła, z pewnością dostanę po nich zgagi, ona zaś śmieje się ze mnie, mówiąc: Cóż, skoro to jedyny sposób, żeby się spotkać… Pożeram wszystko, żółć mnie zalewa. To mi nie wystarcza – mówię z pełnymi ustami. – Nie wystarcza mi ta udawana zabawa z tobą, samotna gra w ping-ponga, w dodatku muszę tu tkwić sam jak kołek z jego opowieścią. Ty i twój nowy facet… – mówię jej, omal się nie dławiąc, wasabi kłuje mnie w nos, napędzając do oczu łzy, a ona szybciutko zmienia szelmowski grymas na uśmiech wart milion dolarów, i odpowiada przymilnie, udając niewiniątko: Nie mów tak… Śmierć jeszcze nie jest tak naprawdę moim facetem, tylko przyjacielem, co najwyżej przygodnym partnerem.

– O czym mówiliśmy? – mamrocze. – Na czym stanęliśmy? Ach, tak, moja matka. Nic nie umiała robić, żadnej z domowych prac, żadnej z matczynych robótek – gdera, a mnie się zdaje, że w głębi duszy bierze nagły ostry zakręt i zjeżdża w boczną drogę. – Ani prania, ani prasowania, a już na pewno gotowania. Chyba nigdy w życiu nie usmażyła nawet jajecznicy. Za to ojciec robił rzeczy, których żaden mężczyzna nie tknie. Trzeba było widzieć, jak miał poukładane w bieliźniarce ręczniki, co do milimetra, zasłony w idealne fałdy, podłoga na glanc wypolerowana. – Dowale marszczy czoło, jego brwi niemal się ze sobą zderzają. – Nawet majtki i podkoszulki nam prasował, całej trójce, coś wam opowiem, to się pośmiejecie…

– Chcemy się pośmiać z kawałów! – wykrzykuje niski mężczyzna o szerokich barach, siedzący przy bocznym stoliku. Dołącza do niego parę innych głosów: – Kiedy będą kawały? O co tu chodzi? Co to za pierdoły?

– Jeszcze sekunda, bracie, zaraz będzie nowa dostawa, spodoba ci się, gwarantuję! Chciałem tylko… Co to ja chciałem… Pogubiłem się, wybiłeś mnie z rytmu. Posłuchaj, człowieku, nadstaw ucha, bo czegoś takiego jeszcze nigdy nie słyszałeś. Mój ojciec miał umowę ze sklepem obuwniczym na ulicy Jafo, znasz ulicę Jafo w Jerozolimie? Brawo, światowy z ciebie gość! Dawali mu stamtąd do cerowania pończochy kobiet z dzielnic Mea Szearim i Batej Ungarin, to był taki kolejny start-up Tatusia Pończosznika, jeden z wielu sposobów, żeby dorobić na boku parę groszy. Ten facet, słowo honoru, potrafił nawet rybom sprzedać buty! – Cichy śmiech na widowni. Mężczyzna o szerokich barach nie odpuszcza. Dowale wierzchem dłoni ociera pot z czoła. – Słuchaj uważnie, ojczulek co tydzień przynosił stamtąd pończochy do naprawy, całe sterty, czterdzieści, pięćdziesiąt par za każdym razem, i nauczył mamę cerować, nawet to umiał robić, kapujesz? Łapać oczka w nylonowych pończochach, wyobraź sobie…

Mówi teraz tylko do niskiego, barczystego mężczyzny, jedną ręką wykonując proszący, błagalny gest: Poczekaj chwilkę, bracie, zaraz

dostaniesz swój kawał, jeszcze gorący, prosto z pieca, lada chwila będzie gotowy…

– Ojciec kupił jej specjalną igłę z malutką drewnianą rączką, o kurde, wszystko do mnie wraca, teraz wszystko sobie przypominam, daj ci Boże zdrowie, bracie, jesteś moim bohaterem! Ona wciągała pończochę na rękę i podnosiła oczka, po całej drabince, dopóki drabinka nie zniknęła, godzinami ślęczała nad tą robotą, czasem całe noce, oczko za oczkiem…

Ostatnie zdania wypowiada niemal na bezdechu, walczy, żeby dobiec do mety, zanim wyczerpie się cierpliwość widzów, zwłaszcza właściciela barczystych ramion. W sali cisza. Tu i ówdzie uśmiecha się jakaś kobieta, być może na dalekie wspomnienie staromodnych nylonów. Ale nikt na widowni się nie śmieje.

– Widzicie, jak to wszystko wróciło – chichocze przepraszająco.

Pośród ciszy warczenie męskiego głosu: – Posłuchaj, stary, dostaniemy tu wreszcie coś do śmiechu dziś wieczorem czy nie?

To mężczyzna z ogoloną głową, w żółtej marynarce. Miałem przeczucie, że jeszcze tu wróci. Drugi mężczyzna, ten o nadzwyczajnej rozpiętości ramion, popiera go burczeniem. W sukurs przychodzą im kolejne głosy. Inne, nieliczne zresztą, głównie kobiece, starają się ich uciszyć, ale mężczyzna w żółtym odparowuje: – No co jest, przyszliśmy się pośmiać, a on nam serwuje Dzień Pamięci o Holokauście. I na dodatek żarty sobie stroi z Holokaustu.

– Racja, masz absolutną rację, bracie, sorka! Obiecuję poprawę, o czym to ja myślałem, no jasne, ten wam muszę opowiedzieć: Pewien facet przychodzi na grób swojej babki w rocznicę jej śmierci. Widzi, że parę rzędów dalej jakiś człowiek siedzi przy grobie, szlocha i krzyczy: – Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego musiałeś umrzeć? Czemu cię zabrali? Co warte jest życie, kiedy cię nie ma? O przeklęta śmierć! – Po kilku minutach wnuk nie może się powstrzymać, podchodzi do faceta: – Przepraszam, że przeszkadzam, ale jestem bardzo poruszony widokiem pańskiego smutku. Nigdy nie widziałem tak głębokiego żalu, czy wolno mi spytać, kogo pan

opłakuje? Swojego syna? A może brata? – Facet patrzy na niego i mówi: – Nie, skądże znowu? Pierwszego męża mojej żony!

Publiczność wybucha śmiechem – zdecydowanie przesadnym jak na taki dowcip. Gdzieniegdzie wymuszone oklaski. Aż się serce ściska na myśl, że ludzie tak skwapliwie usiłują pomóc mu uratować ten wieczór.

– Zaczekajcie, to nie wszystko! Mam cały zapas, starczy do północy! – woła radośnie, oczy biegają mu dookoła.

Pewien gość dzwoni do kogoś, z kim chodził do liceum trzydzieści lat temu, i mówi: – Mam bilety na finał rozgrywek o puchar kraju, na jutro, chcesz? Facet jest zaskoczony, ale darmowy bilet na mecz finałowy to nie w kij dmuchał. No dobra, zgadza się. Idą na mecz, siadają, świetne miejsca, atmosfera super, świetnie się bawią, wrzeszczą, przeklinają, robią falę, wspaniała rozrywka. Na przerwie ten znajomy z liceum mówi: – Słuchaj, stary, muszę o coś zapytać: nie miałeś nikogo bliższego niż ja, jakiegoś krewnego, żeby mu dać bilet? – Nie – powiada ten drugi gość. – A nie miałeś ochoty przyprowadzić, czy ja wiem, swojej żony na przykład? – Moja żona właśnie zmarła. – Och – mówi kumpel z liceum – tak mi przykro. W takim razie czemu nie wziąłeś któregoś z najbliższych przyjaciół? Albo kolegi z pracy? – Wierz mi, że próbowałem – mówi facet – ale wszyscy woleli iść na jej pogrzeb.

Wybucha śmiech. Okrzyki zachęty fruną w stronę sceny, ale barczysty przykłada dłonie do ust, jakby robił głośnik, i woła donośnym głosem: – Basta z tymi pogrzebami! Dawaj coś o życiu! – Jego okrzyk też wywołuje spory aplauz i entuzjazm, Dowale spogląda na publiczność, a ja odnoszę wrażenie, że w ciągu ostatnich minut, mimo swoich żartów i fajerwerków, był całkowicie nieobecny. Twarz coraz bardziej mu się zapada, on najwyraźniej traci tempo, to niedobrze, łatwo może stracić publiczność, cały wieczór przepadnie. I nie ma nikogo, żeby go chronić.

– Basta z tymi pogrzebami, powiedziałeś, brachu. Racja, masz świętą rację, już sobie notuję, bracie, nastąpi poprawa, uczę się na bieżąco. Słuchajcie, Netanjo, nie będziemy się bawić w ponuractwo, muszę jednak

opowiedzieć wam coś osobistego, wręcz intymnego, bo czuję, że trochę się zakumplowaliśmy. Joaw, podkręć klimę, bo zaraz się tu udusimy!

Publika klaszcze entuzjastycznie na zgodę.

– No dobra, jak to leciało? Ach tak, kręciłem się trochę po mieście przed występem, sprawdziłem wyjścia ewakuacyjne na wypadek, gdybyście postanowili wykopać mnie ze sceny. – Szczerzy zęby, ale jakiś ciężar wisi na krawędzi śmiechu i każdy z obecnych doskonale o tym wie. – Nagle widzę na ulicy starszego gościa, koło osiemdziesiątki, cały jest zasuszony jak rodzynek, siedzi na ławeczce i płacze. Szlochający staruszek – nie można przejść obojętnie, bo a nuż jest w odpowiednim nastroju, żeby zmienić ostatnią wolę? Podchodzę ostrożnie i pytam: – Proszę pana, czemu pan płacze? – Jak mam nie płakać? – odpowiada starzec. – Miesiąc temu poznałem trzydziestoletnią kobietę, piękną, obłędnie uroczą, seksowną, od razu się pokochaliśmy i zamieszkaliśmy razem. – To super! – mówię mu. – W takim razie co jest nie tak? – A staruszek nawija: – Niech pan posłucha, każdego ranka zaczynamy dzień od dwóch godzin dzikiego seksu, potem ona wyciska mi sok z granatów, na żelazo, i idę z wizytą do lekarza. Wracam, uprawiamy dziki seks, a ona piecze mi tartę ze szpinakiem, na przeciwutleniacze. Po południu idę pograć w karty z chłopakami w klubie, wracam do domu, znowu obłędny seks do późna w nocy, i tak dzień w dzień… – Brzmi fantastycznie! – ja na to. – Sam bym tak chciał. Ale czemu pan płacze? – Staruszek myśli przez chwilę i mówi: – Bo nie pamiętam, gdzie mieszkam.

Fala śmiechu unosi się znad widowni. On mierzy jej natężenie, tak jak wędrowiec, sprawdza stabilność głazu, po którym przeprawi się przez potok, i zanim zamierają ostatnie radosne piski, już szarżuje: – Na czym stanęliśmy? Sierżant… Transformer… – Znów naśladuje jego sztywny chód, błyska do publiczności przymilnym uśmieszkiem, od którego ściska mnie w żołądku. – No więc starszy sierżant cały czas siedzi mi na karku: – No dawaj, prędko, żebyś się, nie daj Boże, nie spóźnił, żebyś zdążył na czas. – A ja do niego: – Na co, panie dowódco? – Patrzy na mnie, jakbym był opóźniony w rozwoju. – Przecież nie będą tam na ciebie czekać cały dzień –

mówi. – Wiesz, jak to jest z pogrzebami, zwłaszcza w Jerozolimie, z tymi wszystkimi nakazami religijnymi. Ruchama ci nie powiedziała, że o czwartej masz być na Giwat Szaul? – Kto to jest Ruchama? – Siedzę na pryczy, gapiąc się na niego. Przysięgam wam, że nigdy nie widziałem starszego sierżanta z tak bliska, może z wyjątkiem magazynu „National Geographic". A on mówi: – Zadzwonili z twojej szkoły, żeby przekazać wiadomość, sam dyrektor zadzwonił, że masz być o czwartej na cmentarzu. – Nie rozumiem, co do mnie mówi. W ogóle wszystkie słowa, które tam do mnie wypowiadają, słyszę pierwszy raz w życiu. Poza tym czemu dyrektor mówił o mnie, skąd dyrektor może wiedzieć, kim jestem, i co właściwie powiedział? Jest jeszcze jedno pytanie, które muszę zadać starszemu sierżantowi, ale się wstydzę, bo nie wiem, jak należy o taką rzecz zapytać, i to w dodatku starszego sierżanta, faceta, którego przecież wcale nie znam. Więc zamiast tego wychodzi mi z ust pytanie, czemu muszę spakować plecak. On spogląda do góry, na sufit namiotu, jakby do reszty się załamał z mojego powodu. – Chłopcze – mówi do mnie – jeszcze nie rozumiesz? Już tu nie wrócisz. – Pytam, dlaczego. – Bo wasza *sziwa* – odpowiada – skończy się akurat wtedy, gdy twoi kumple skończą obóz.

No ładnie, teraz się okazuje, że w planie jest także siedmiodniowa żałoba. Naprawdę bogaty program, o wszystkim pomyśleli, tylko czemu mnie nikt nie uprzedził. Najbardziej chce mi się spać, umieram z niewyspania. Bez przerwy ziewam. Nawet na wprost gęby starszego sierżanta. Nie panuję nad tym. Moszczę sobie miejsce na pryczy, wyciągam się, zamykam oczy i odlatuję.

Dowale opuszcza powieki i chwilę stoi nieruchomo. Z zamkniętymi oczami jego twarz staje się bardziej przejrzysta, pełna wyrazu, jakoś bardziej uduchowiona. Jego ręka machinalnie dotyka skraju podkoszulka. Sercem jestem przy nim, dopóki nie otwiera ust:

– Znacie te wojskowe prycze, co w środku nocy składają się pod tobą i połykają jak mięsożerna roślina? Rano przychodzą twoi kumple, a Dowalego nie ma, nic z niego nie zostało, zaledwie okulary i sznurowadło od buta, tylko łóżko się oblizuje i po cichu beka?

Tu i tam chichoty. Publiczność nie jest pewna, czy w takiej chwili wypada się śmiać. Tylko młoda para w skórzanych kombinezonach pozwala sobie na głuchy, przeciągły śmiech, osobliwy gulgot, który rozwiewa niepokój przy pobliskich stolikach. Patrząc na nich, myślę o tym, jak przez dwadzieścia lat, dzień w dzień, chłonąłem promienność takich ludzi, aż nadszedł moment po Tamarze, bez Tamary, kiedy najwyraźniej przestałem chłonąć i zacząłem to z siebie wyrzucać.

– Wstawaj – mówi do mnie starszy sierżant. – Co tak się rozkładasz? – No to wstaję i czekam. Niechby tylko stąd poszedł, znów bym zasnął. Nie na długo, tylko do czasu gdy wszystko minie, zapomnimy o całej sprawie i wrócimy do stanu sprzed tych totalnych bzdur.

Widzę, że zaczyna się na mnie złościć, ale jakoś tak ostrożnie. – Przesuń się – mówi – stań sobie tutaj, spakuję ci rzeczy. – Nie rozumiem. Starszy sierżant będzie pakował za mnie? To tak, jakby… No nie wiem… Jakby Saddam Husajn podszedł do was w restauracji i powiedział: „Może mają państwo ochotę na suflet z karmelizowanymi leśnymi jagodami, własnoręcznie przyrządziłem".

Przerywa, czeka na śmiech, który jednak zwleka z nadejściem. Jego oczy momentalnie zasnuwa cień. Stwierdza, że publika wpadła w pułapkę: opowiadana przez niego historia unicestwiła wszelką możliwość śmiechu. Wyraźnie widzę tor jego myśli. Jestem pewien, że musi natychmiast wyznaczyć nowy teren do zabawy. I dać nam zielone światło: – Słyszeliście kawał o kobiecie cierpiącej na nieuleczalną chorobę, której nazwisko przemilczymy, aby nie robić jej ukrytej reklamy? – Otwiera ramiona do wielkiego uścisku i całym sobą emituje radość. – Krótko mówiąc, ta kobieta mówi do męża: – Śniło mi się, że jeśli będziemy uprawiać seks analny, to wyzdrowieję. – Nie znacie tego? Na jakim wy świecie żyjecie? No dobra, posłuchajcie. Mężowi wydaje się to trochę dziwne, ale czego nie zrobi, żeby żoneczka wyzdrowiała. No więc w nocy idą do łóżka, trzask-prask! zaliczają anal, po czym zasypiają. Rano mąż się budzi, wyciąga rękę w jej stronę, łóżko puste! Zrywa się na równe nogi, przekonany, że to koniec, ale naraz słyszy, że ona śpiewa w kuchni. Pędzi tam, żona stoi, szykuje sałatkę,

uśmiecha się do niego, wygląda rewelacyjnie. – Nie do wiary – mówi mu – jak cudownie spałam. Obudziłam się wcześnie, poczułam nagły przypływ energii, więc pojechałam do szpitala, zrobili mi badania, prześwietlenia i powiedzieli, że wyzdrowiałam! Że jestem cudem medycyny! – Mąż słucha, słucha, po czym zaczyna strasznie szlochać. – Czemu płaczesz? – pyta kobieta. – Nie cieszysz się, że wyzdrowiałam? – Jak to nie? Oczywiście, że jestem przeszczęśliwy – odpowiada przez łzy. – Ale pomyśleć tylko, że mamę też mogłem uratować!

Niektórzy marszczą nosy, ale większość śmieje się całą gębą. Ja też. Co począć, niezły kawał. Żebym tylko zdołał go zapamiętać. Dowale obserwuje nas, szybko skanując wzrokiem. – Dobra robota – mówi głośno do siebie. – Wciąż masz to coś, Dowusiu. – Klepie się po piersi rozcapierzoną dłonią, gestem, który niewiele różni się od ciosów.

– No więc stoję z boku, a starszy sierżant rzuca się na mój plecak, zgarnia porozrzucane na łóżku i pod łóżkiem bambetle, miota się, jakby wtargnął do palestyńskiego domu na Zachodnim Brzegu. Bam! Wojna! Wrzuca, upycha byle jak, bez ładu i składu, nie zastanawiając się, co powie ojciec, gdy zobaczy, w jakim stanie przywożę mu plecak do domu. Na samą myśl nogi się pode mną uginają i padam na sąsiednią pryczę.

Dowale wzrusza ramionami. Uśmiecha się słabo. Wydaje mi się, że teraz też ma kłopoty z oddychaniem.

– Dobra, jedźmy dalej, nie wolno drażnić widzów, jesteśmy ludźmi, którzy lubią natychmiast dostawać premię, tzzz! Drałuję z plecakiem za starszym sierżantem, kątem oka widzę swoich koleżków na placu, gapią się na mnie, jakby już coś wiedzieli, być może widzieli sępy odlatujące na północ. Chło-pa-ki! – naśladuje z rosyjskim akcentem nawoływania sępów. – W Jerozolimie czeka świeży trup!

*

Widziałem, jak biegnie za starszym sierżantem, malutka postać, zgięta pod ciężarem plecaka. Pamiętam, że odwróciliśmy się wszyscy i patrzyliśmy na niego, a mnie przyszło do głowy, że dokładnie tak – tylko bez plecaka – wyglądał, kiedy się żegnaliśmy na przystanku autobusowym, po czym on człapał niechętnie do swojej dzielnicy.

Któryś chłopak z klasy rzucił żarcik na jego temat, tym razem jednak nikt się nie roześmiał. Nie wiedzieliśmy, czemu zabrano go do dowódcy, i wątpię, czy do końca obozu którykolwiek z jego klasowych kolegów odkrył, co się wydarzyło i dokąd go wywieźli. Żaden z dowódców nic nam nie powiedział, a my nie pytaliśmy. Ja w każdym razie nie spytałem. Wiedziałem tylko tyle, że żołnierka przybiegła po niego, że wstał i poszedł za nią, a kilka minut później widziałem, jak pędzi za starszym sierżantem do podstawionego pick-upu. Takie były fakty. Następny raz, kiedy go zobaczyłem, zdarzył się dziś wieczorem, w chwili gdy wyszedł na scenę.

*

– Kierowca pick-upu już wciska gaz do dechy, choć stoi na jałowym biegu, chyba całe wkurzenie zebrało mu się w nodze, i gapi się na mnie, jakby chciał ukatrupić. Podchodzę do auta, wrzucam plecak na pakę, sam siadam z przodu, a starszy sierżant do niego: – Widzisz tego miłego chłopca? Nie spuścisz z niego oka, dopóki nie odstawisz go na dworzec autobusowy w Beer Szewie i dopóki ktoś z dowództwa nie odbierze go z twoich łap, żeby zawieźć do Jerozolimy, kapewu? – A tamten: – Przysięgam na Biblię, starszy sierżancie, że jak nikt się po niego nie zjawi, to oddam go do biura rzeczy znalezionych. – A starszy sierżant z całej siły szczypie go dwoma palcami w policzek i uśmiecha się tamtemu prosto w pysk: – Nie zapominaj, libijska mendo, co na ciebie mam. Fiuta se możesz oddać do biura, nie dzieciaka. Dopóki nie przylecą, żeby osobiście z ręki do ręki go pobrać, nie wypuścisz go ani na sekundę, no jazda!

W moich oczach, żebyśmy się dobrze zrozumieli, wszystko wyglądało tak, jakbym oglądał film o sobie: Siedzę w wojskowym pick-upie, i to na

dodatek z przodu! A obok dwie nieznajome osoby, żołnierze, paplają o mnie, ale w języku, którego tak naprawdę nie rozumiem, i nie ma żadnych napisów z tłumaczeniem na mowę Dowalego. Cały czas pamiętam, żeby starszego sierżanta o coś zapytać, pilnie muszę go o coś spytać, zanim odjadę, więc czekam, żeby na chwilę przestał gadać, ale kiedy wreszcie milknie, nie umiem tego zrobić, słowa nie wychodzą mi z ust, nie łączą się ze sobą, zresztą boję się ich jak diabli, tych dwóch małych słówek.

Wtedy on spogląda na mnie, znaczy starszy sierżant, a ja myślę: no dobra, teraz mi powie, zaraz to się stanie, i już się przygotowuję, całe ciało momentalnie sztywnieje. A starszy sierżant kładzie mi dłoń na głowie, niczym jarmułkę, i mówi: – Z nieba niechaj spłynie pociecha, niech Wszechmogący pocieszy was wśród żałobników opłakujących Syjon i Jerozolimę. – Po czym wali ręką w bok pick-upu, tak jak pogania się konia do galopu, kierowca dopowiada „amen", naciska pedał gazu i ruszamy.

*

Publiczność milczy. Jakaś kobieta niepewnie unosi palec niczym grzeczna uczennica i zaraz opuszcza rękę na kolana. Mężczyzna przy pobliskim stoliku spogląda zakłopotany na swoją partnerkę, a ona z niedowierzaniem wzrusza ramionami.

Facet w żółtej marynarce zaczyna kipieć. Rękawy mu puchną. Zbliża się do punktu wrzenia. Dowale też to zauważa, rzuca mu nerwowe spojrzenia. Wołam kelnerkę, żeby zabrała naczynia ze stołu, teraz, natychmiast. Nie mogę znieść widoku tych pustych talerzyków. Nie mogę uwierzyć, że aż tyle zjadłem.

*

– No dobra, jedziemy, kierowca nic nie mówi. Nawet nie wiem, jak się nazywa. Spoglądam na niego z ukosa. Szczupły, trochę przygarbiony,

z olbrzymim nosem i wielkimi uszami, gęba pełna pryszczy aż po szyję. Ma ich o wiele więcej niż ja. Nikt się nie odzywa. On jest na mnie wkurzony, bo mu wcisnęli ten wyjazd, a ja oczywiście, że nic nie gadam, bo niby o czym mam gadać? Na dworze jest chyba czterdzieści stopni, pot po mnie spływa. Kierowca włącza radio, ale nie ma zasięgu, szum i trzaski, łapie tylko stacje z kosmosu.

Teraz Dowale naśladuje źle odbierające radio, szybko zmieniane stacje, bełkotliwe fragmenty zdań i słów, strzępki piosenek: „Jerozolimo ze złota", „Johnny jest gojem dla mnie!", „Itbakh al-Yahud"1, „Podaj mi dłoń", „Nawet huk dział nie zagłuszy naszego umiłowania pokoju", „W Dżumali żyje stary Mesjasz", „Jeszcze dziś wypróbuj pończochy Merci", „Wzgórze Świątynne jest w naszych rękach! Powtarzam: Wzgórze Świątynne jest w naszych rękach!".

Publiczność śmieje się zachwycona. Dowale upija z termosu, przy okazji zerka na mnie pytająco i czeka, jakby się zastanawiał, co myślę o dotychczas opowiedzianej historii, a może i o całym występie; ja zaś, wiedziony głupim, tchórzliwym instynktem, natychmiast zamykam przed nim twarz, przybieram beznamiętną minę i unikam jego wzroku. Cofa się o krok, jakbym go uderzył.

*

Dlaczego to zrobiłem? Dlaczego w tym momencie odmówiłem mu życzliwości? Sam chciałbym wiedzieć. Tak słabo siebie rozumiem, w ostatnich latach coraz słabiej. Gdy nie ma z kim porozmawiać, gdy nie ma Tamary, żeby nalegać, dociekać i drążyć, zatykają się moje wewnętrzne kanały. Pamiętam jej straszny gniew, gdy przyszła kiedyś na salę sądową popatrzeć, jak przewodniczę rozprawie. Zajmowałem się sprawą ojca, który molestował córkę. – Nie miałeś żadnego wyrazu twarzy! – Wściekała się na mnie w domu. – Biedna dziewczynka otworzyła całą duszę, patrzyła na ciebie błagalnie, żebrząc o jakiś drobny znak, najmniejszy znak

życzliwości, zrozumienia, choćby jedno spojrzenie, które pokaże, że sercem jesteś z nią, a ty…

Wyjaśniłem, że właśnie taką twarz powinienem pokazywać w sądzie: choćbym w środku eksplodował, nie wolno mi uchylić nawet rąbka swoich uczuć, dopóki nie wyrobię sobie zdania. Tę samą kamienną twarz, jaką oglądała dziewczynka, pokazałem później jej ojcu, kiedy opowiadał swoją wersję zdarzeń. – Sprawiedliwość musi tak wyglądać – powiedziałem. – A cała moja empatia dla dziewczynki zostanie wyrażona, bądź tego pewna, w tekście wyroku. – Tylko że wtedy – odparła Tamara – będzie za późno na to, czego ona potrzebowała, mówiąc do ciebie w tamtej strasznej chwili. – I rzuciła mi dziwne spojrzenie, jakiego nigdy w jej oczach nie widziałem.

*

– No i tak to jest, Netanjo – mówi rozbawionym tonem, lecz nie mam wątpliwości, że usiłuje przełknąć obrazę, ja tymczasem dławię się ze złości na samego siebie. – Ach, Netanjo – wzdycha. – Wiecznie sielskie miasto, jak to cudownie móc się z wami dzielić różnymi rzeczami. Na czym stanęliśmy? Ach tak, kierowca, jasne, zaczynam wyczuwać, że trochę mu głupio z powodu swojego zachowania, więc próbuje zagaić rozmowę. A może zwyczajnie nudno mu i gorąco mu, i muchy mu. No, ale ja – niby o czym mam z nim gadać? Poza tym nie wiem, czy on wie. Czy powiedzieli mu o mnie. Czy poinformowali, kiedy siedział w kanciapie z dowódcą i starszym sierżantem. Przypuśćmy, że wie, przypuśćmy – przecież ja z kolei nie wiem, jak go zapytać, oprócz tego wcale nie jestem pewien, czy dam radę to znieść, gdy mi powiedzą, zwłaszcza że jestem sam, bez ojca czy matki…

W tym momencie następuje wybuch. Ogolony na łyso mężczyzna w żółtej marynarce uderza rozwartą dłonią w stolik, raz, drugi raz; powoli, świdrując wzrokiem Dowalego, twarz ma pozbawioną jakiegokolwiek wyrazu. Po kilku sekundach cała sala wokół niego drętwieje, porusza się jedynie jego ramię. Uderzenie. Pauza. Uderzenie.

Upływa wieczność.

Bardzo powoli z głębi sali dobiega nieśmiały szmer protestu, lecz on nie ustępuje: Łup. Pauza. Łup. Krępy facet o szerokich barach idzie w jego ślady, niemal rozwala stolik zaciśniętą pięścią, wolno odmierzanymi ciosami. Naraz wszystko zaczyna mnie parzyć, krew uderza do głowy. Masz ci los, co za typki.

Tamci dopingują się spojrzeniami. Niczego więcej im nie trzeba. Szmer przechodzi w gwar. Kilka innych stolików skwapliwie zaczyna ich naśladować, nieliczni protestują, większość powściąga się z wyrażeniem opinii. Nikły zapach potu wypełnia przestrzeń sali. Wyostrza się woń perfum. Menedżer klubu wstaje, jest bezradny.

Ze wszystkich stron podnoszą się międzystolikowe spory: – Przecież on bez przerwy sypie jakimiś dowcipami, bez przerwy! – Jakaś kobieta przekonuje: – Cały czas uważnie słucham, przecież ci mówię! – Tak w ogóle stand-up to nie tylko kawały – wspiera ją inna. – Czasami są też zabawne historie z życia. – Dobra, niech będą historie, ale gdzie puenta! – wykrzykuje niemłody już facet w moim wieku do pochylonej ku niemu, nienaturalnie opalonej partnerki.

Dowale odwraca się całym ciałem w moją stronę, patrzy na mnie.

W pierwszej chwili nie pojmuję, czego ode mnie chce. Z opuszczonymi rękami stoi na brzegu sceny, nie zwracając uwagi na burzę dookoła, i patrzy.

Na mnie, chociaż przed chwilą dosłownie zatrzasnąłem mu twarz przed nosem. Wciąż ma nadzieję, że coś dla niego zrobię. Co mogę zrobić? Co można zrobić przeciwko tym ludziom?

I natychmiast nachodzi mnie myśl o tym, co kiedyś mogłem, jaką mocą dysponowałem wobec takich ludzi. Władza absolutna zaklęta w jednym skinieniu ręki, w jednym zdaniu wydanego wyroku. Poczucie królewskości, do którego nie wolno było się przyznać, nawet przed samym sobą.

Coraz większy łoskot i rozgardiasz. Niemal każdy z obecnych bierze udział w tumulcie, w powietrzu wisi już radosne oczekiwanie awantury.

A on nadal stoi bez ruchu i patrzy na mnie. Potrzebuje mnie.

Minęło wiele czasu, odkąd ktoś mnie potrzebował. Trudno opisać ogrom mojego zaskoczenia. I paniki. Najpierw atakuje mnie dziki kaszel, potem napieram na stolik, odpycham go od siebie, wstaję, wciąż nie mając pojęcia, co zamierzam zrobić, może po prostu wyjść, oddalić się, bo co mnie obchodzi to miejsce i całe to łobuzerstwo, powinienem był stąd zwiać godzinę temu. Ale ci dwaj tłuką wściekle w stoliki, a tam – Dowale, i nagle słyszę swój krzyk: – Dajcie mu wreszcie opowiedzieć tę historię!

Ludzie na widowni milkną, spoglądają na mnie z mieszaniną szoku i przerażenia, uświadamiam sobie, że krzyczałem głośniej, niż zamierzałem. Chyba o wiele głośniej.

Stoję. Wrośnięty w ziemię. Czuję się jak aktor w melodramacie, który czeka, aż ktoś podpowie mu następną kwestię. Ale nikt mi nie podpowiada. Nie ma na sali strażników, żeby oddzielić mnie od gapiów, nie ma przycisku alarmowego pod stołem, w tym świecie nie mogę radośnie wtopić się w uliczny tłum jak zwyczajny człowiek, wiedząc, że za parę chwil stanę w miejscu, z którego będę decydować o losie i o życiu.

Wokół mnie wciąż cisza. Oddycham zbyt szybko, lecz nie potrafię nad tym zapanować. Świdrują mnie oczami. Wiem, że mój wygląd jest nieco mylący – czasem zmarszczone dumnie czoło osiąga cel równie dobrze jak donośny głos – ale nie jestem aż takim bohaterem, by zachować zimną krew, jeśli pojawią się prawdziwe kłopoty.

– Dajcie mu wreszcie opowiedzieć tę historię! – powtarzam, tym razem powoli, dobitnie, napompowując powietrzem każde słowo. Przekrzywiam dziwacznie szyję, jakbym miał strzelić gola główką, zdaję sobie sprawę, że wyglądam absurdalnie, lecz nie zmieniam pozy, przez moment przypominając sobie, jak to jest, kiedy poczucie bycia wypełnia mnie po brzegi.

Mężczyzna w żółtym odwraca się na krześle i mówi do mnie: – Nie ma problemu, panie sędzio, z całym szacunkiem, jestem za, ale niech on mi wytłumaczy, co mają ze sobą wspólnego te wszystkie pierdoły i dwieście czterdzieści szekli, które wyrzuciłem dziś wieczorem w błoto? Czy to aby

nie przestępstwo, wysoki sądzie? Nie cuchnie fałszywą reklamą? – A Dowale, z oczami wciąż błyszczącymi wdzięcznością dla starszego brata, który stanął w jego obronie, wskakuje mu w słowo: – Mają coś wspólnego, złotko, bardzo dużo mają! A teraz zaczną mieć jeszcze więcej, słowo honoru, do tej pory uprawialiśmy tylko grę wstępną, kapujesz? – Posyła mu uśmiech między-nami-facetami, nie udaje mu się to jednak najlepiej, bo mężczyzna w żółtym odwraca się, jakby zobaczył otwartą ranę. – Posłuchaj uważnie, bracie: no więc przytykam głowę do okna, najprawdziwszego wojskowego okna, co nawiasem mówiąc, oznacza, że się nie domyka, ale też nie daje do końca otworzyć, szyba po prostu utknęła w pół drogi i drży, ale mnie to akurat pasuje, bo nie tyle drży, co szału dostaje, drrr! Łomot jak jasna cholera, nawet młotowiertarka waląca w jebaną betonową ścianę tak nie napieprza, więc odruchowo przykładam głowę i po kilku sekundach zaczyna mi rozpirzać mózg, drrr! Wpadłem do środka sprężarki! Do blendera! Drrr! Drrr!

Pokazuje widzom, jak opierał się o szybę. Głowa zaczyna dygotać, najpierw leciutko, potem coraz szybciej i mocniej, potem trzęsie całym ciałem. Zdumiewający widok: rysy twarzy zdeformowane, miny krzyżują się w locie niczym tasowana zręcznie talia kart. Wszystkie kończyny trzepoczą i pląsają, gdy miota się po całej scenie, skacząc od jednego końca do drugiego, po czym pada na deski jak szmaciana lalka, leży i sapie, od czasu do czasu wyrzuca w górę wygiętą rękę czy nogę.

Publika zanosi się śmiechem. Nawet ci, co podżegali do buntu, rechoczą niemal wbrew swojej woli, także maleńkie medium uśmiecha się z niedowierzaniem, usta ma lekko otwarte, drobne ząbki na wierzchu.

– Prosto z nieba mi spadło to „drrr!" – oświadcza publiczności Dowale, wstając z podłogi. Otrzepuje ręce z kurzu, uśmiecha się z uległą serdecznością do mężczyzny w żółtym, a zaraz potem do barczystego. Oni jednak nadal stawiają opór, na twarzach znów mają wyraz powątpiewania i szyderstwa.

– Drrrr! O niczym nie jestem w stanie myśleć, nic nie czuję, każda myśl rozpada się na tysiąc kawałków, jestem okruchem myśli, d r r r r! – Naraz

wyciąga rękę w stronę malutkiej kobiety, ona wzdryga się i wybucha śmiechem, perłowe łzy ciurkiem płyną jej po policzkach, niektórzy widzowie zauważają i chyba są zadowoleni z tego drobnego pobocznego wątku. – Pisklaczku – mówi do niej. – Teraz mi się przypomniało. Mieszkaliście nad wdową od kotów.

Ona uśmiecha się promiennie:

– Mówiłam ci, że tam byłam.

– Ale kierowca nie był palcem robiony! – wykrzykuje, przytupując nogą i strzelając ręką w górę jak Elvis. – Sztuczkę z szybą znał od poprzednich pasażerów, wszyscy robili mu ten spektakl z oknem Parkinsona. Więc zaczyna gadać do mnie jakby nigdy nic, pokazuje niektóre samochody na drodze: – To jest dodge D-200, jedzie do Sziwty, a to reo z zaopatrzeniem do bazy szkoleniowej 1, a to studebaker lark z dowództwa Okręgu Południowego, Mosze Dajan miał takiego na wojnie, widziałeś, rozpoznaje mnie, bo miga światłami.

Ale co ja mógłbym odpowiedzieć? Nic. Milczę. Więc on próbuje podejść mnie z innej strony: – To co, tak po prostu przyszli i ci powiedzieli?

Ja nic. Drrr… Blender w głowie. W pół sekundy rozgniata jego pytanie na drobne kawałki, na miazgę, piure mojego mózgu. Nagle z blendera wyskakuje ojciec ze swoimi łokszn. Nie mam pojęcia, dlaczego akurat ten obraz powstał w mojej głowie, dajcie mi chwilkę na zastanowienie, okej? Jak by nie było, to dość zajebista sprawa, że raptem zjawia się ojciec z łokszn, bo po co przyszedł, jak myślicie? Może to dobry znak? A może nie? Skąd mam wiedzieć. Jeszcze szczelniej zaciskam powieki i jeszcze mocniej walę głową w okno, najlepsze, co mogę teraz zrobić, to nie myśleć, nie myśleć o niczym i o nikim. – Dowale chwyta się obiema rękami za głowę, głowa dygocze między dłońmi, on zaś wrzeszczy do nas na cały głos, jakby próbował przekrzyczeć warkot auta i łomotanie okna: – Zrozumiałem to od pierwszej chwili, Netanjo! Że muszę pstryknąć w mózgu wyłącznik! Że nie powinienem o nim myśleć. Ojciec też nie powinien, ani nikt inny, przebywać teraz w moim mózgu.

Na twarzy wyczarowuje szeroki, spokojny uśmiech i jak zwykle otwiera ramiona do uścisku. Publiczność, nie cała, śmieje się lekko zakłopotana. Uśmiecham się do niego wszystkimi mięśniami twarzy. Nie wiem, czy dostrzega mój uśmiech. Tym sposobem wyposażam go na drogę, w którą teraz rusza. Jakże ubogie są miny oferowane nam przez twarze.

– O co chodzi z tymi łokszn? Cieszę się, że pytacie! Jesteście niesamowitą publiką! Uważna i wrażliwa publiczność! Posłuchajcie zatem. Musicie tego posłuchać. Raz w tygodniu, kiedy ojciec kończy zabawę z księgowością, przygotowuje rosołowe kluski na cały tydzień, słowo daję, historia autentyczna. – Zanosi się ochrypłym śmiechem. – No więc w pick-upie naraz wyświetla mi się film, nie pytajcie dlaczego, mózg to mózg, nie doszukujcie się u niego logiki. O, właśnie: takie ruchy wykonuje rękami, kiedy wyrabia ciasto, a w taki sposób rozwałkowuje, cienko jak bibułę…

Prawie nie zmieniając rysów twarzy ani ułożenia ciała, Dowale wślizguje się w postać ojca. Nigdy nie widziałem jego ojca, nie licząc wrednego przedrzeźniania go tamtej nocy w namiocie w Beer Ora, ale po dreszczu biegnącym wzdłuż kręgosłupa poznaję, że to on, że taki właśnie jest.

– I pędzi z ciastem przewieszonym przez ręce, żeby rozłożyć je do wyschnięcia na łóżku w sypialni, zasuwa tam i z powrotem, tzzz, tzzz, biegiem po całym domu, komentując na bieżąco wszystkie czynności: Teraz trzeba wziąć ciasto, teraz układamy je na łoksznbret, teraz bierzemy walgereholc i wałkujemy, teraz zawijamy ciasto w roladę. – Chichot na widowni, śmieją się z akcentu, z mimiki, z języka jidysz, z gromkiego śmiechu Dowalego, ale większość znów patrzy na niego beznamiętnie i zaczynam rozumieć, że takie spojrzenia są najskuteczniejszą bronią publiki.

– Daję wam słowo honoru, że cały czas gdy jesteście z nim w domu, słyszycie, jak ten facet gada do siebie, daje sobie wskazówki, bez przerwy słychać jego brzęczenie. Szczerze mówiąc, całkiem zabawny gość, o ile przypadkiem nie jest waszym ojcem. A teraz wyobraźcie sobie, że ja, tak, ja. Widzicie mnie? Halo! Pobudka! Mówi wasz Dowale! Wasza gwiazda

wieczoru! Grzeczne miasto, Netanja. No więc ja dalej gram w jakimś szalonym filmie: siedzę w pick-upie na środku pustyni i nagle mam go przed oczami, mojego ojca, jakby rzeczywiście tam się zjawił ze wszystkimi swoimi gestami i gadaniną. Chwyta nóż i kroi zwinięte ciasto, poczynając od samego skraju, szybko i sprawnie jak maszyna, ciach, ciach, ciach, makaroniki wyfruwają spod ostrza i chociaż nóż cały czas trzyma o włos od palców, nigdy się nie skaleczy! Jemu to się nie zdarza! Mojej mamie, nawiasem mówiąc, niczego nie wolno było w domu kroić. – Wyczarowuje szeroki uśmiech, rozciąga go do granic możliwości, a potem jeszcze trochę. – Na przykład banany pozwalano jej obierać tylko w obecności chirurga i ekipy ratowniczej. Kaleczyła się, obijała i krwawiła od najmniejszej rzeczy. – Mruga do nas, powoli wodząc palcem po jednym i drugim przedramieniu, w miejscu, gdzie wcześniej pokazywał „hafty z żył". – Aż tu nagle, co widzę, Netanjo? – Twarz ma zaczerwienioną i spoconą. – Co widzę? – Czeka na odpowiedź, gestem obu rąk zachęca do odpowiadania, nikt się jednak nie kwapi. Lodowaty chłód na ustach widzów. – Widzę ją! Mamę! – Wydaje z siebie pokorne, służalcze parsknięcie wycelowane głównie w dwóch rozjuszonych mężczyzn. – Skumaliście, chłopaki? To tak, jakby mój mózg natychmiast podrzucał mi także jej zdjęcia…

Mężczyzna w żółtej marynarce wstaje. Trzaska banknotem o stół, zapłatą za wypite drinki, szarpie żonę za ramię, natychmiast podnosząc ją do pionu. O dziwo, czuję niemal ulgę: zeszliśmy na Ziemię, wróciliśmy do rzeczywistości, znów jesteśmy w Izraelu. Oboje kierują się do wyjścia, odprowadzani spojrzeniami widzów. Drugi mężczyzna, ten o szerokich barach, z pewnością pragnąłby do nich dołączyć. Dostrzegam walkę toczącą się pod koszulką polo, ale on najwyraźniej dochodzi do wniosku, że pójście w ich ślady byłoby poniżej jego godności. Ktoś usiłuje zatrzymać wychodzącą parę, namawia do pozostania. – Starczy tego dobrego – syczy mężczyzna. – Ile można znieść? Człowiek przychodzi się zabawić, oderwać myślami w weekend, a co dostaje? Dzień żałoby. – Jego żona z grubymi, krótkimi nogami, balansuje na cienkich szpilkach i uśmiecha się

bezradnie, ręką obciągając spódnicę. Wzrok tego w żółtym napotyka maleńkie medium. Po chwili wahania zostawia żonę przy drzwiach i sunie ku niemu, omijając kilka stolików. Pochylając się delikatnie, mówi: – Moim zdaniem pani też powinna stąd wyjść. Ten facet nie jest normalny, nabija się z nas wszystkich, z pani też sobie kpi. – Ona prostuje się na krześle, usta jej drżą. – To nieprawda – odpowiada żarliwym szeptem, który słychać w całej sali. – Ja go znam, robi to tak na niby.

Przez cały czas ze sceny Dowale obserwuje sytuację. Zatknąwszy kciuki pod czerwone szelki, kiwa do siebie głową, jakby z lubością rozpamiętywał słowa mężczyzny. W chwili gdy para wychodzi z sali, rzuca się do tablicy i kreśli jeszcze dwie czerwone linie, jedna jest bardzo długa i gruba, zwieńczona główką wielkości pinezki.

Potem, po odłożeniu kredy, robi coś dziwacznego: bardzo, bardzo powoli obraca się wokół własnej osi, powieki ma opuszczone, ramiona szeroko rozrzucone na bok. Raz, drugi, trzeci, precyzyjnie, na samym środku sceny, jakby odprawiał mały prywatny rytuał oczyszczenia.

Znienacka otwiera oczy, zapala je jednym pstryknięciem niczym reflektory na stadionie: – Ale uparciuch z tego kierowcy! Za nic nie odpuszcza! Szuka mnie, czuję to, szuka moich oczu, moich uszu. A ja nic, betonowy bunkier. Nie odwracam się, nie podaję końca nitki, która go do mnie przywiedzie. Zęby cały czas stukają do taktu, razem z szybą, po-grzeb, po-grzeb, ja-dę-na-po-grzeb. Żebyście teraz dobrze zrozumieli, kochani: mówiłem już, że wcześniej nigdy w życiu nie byłem na żadnym pogrzebie, więc to też mną szarpie dość mocno, bo skąd mam wiedzieć, co tam się będzie działo?

Przerywa na moment. Z dziwną przekorą, wyzywająco obserwuje twarze ludzi. Przez chwilę wydaje mi się, że celowo ich drażni, prowokuje do tego, by powstali z miejsc i wyszli, żeby porzucili jego i jego opowieść.

– Nieboszczyka – dodaje po cichu – też nigdy nie widziałem. Ani nieboszczki.

Ale posłuchajcie, *amigos* – ciągnie, a ja odnoszę wrażenie, że jest zaskoczony tym, że nikt inny nie wstał i nie wyszedł – nie będziemy się

zamartwiać pierdółkami z branży pogrzebowej, okej? Nie damy się zdołować. Jak to leciało? „Śmierć nie przejmie władzy". Zgadza się? Macie świętą rację! Tylko szkoda, że ona zawsze wchodzi w koalicje. Tak przy okazji, czy zauważyliście, że wielu krewnych spotyka się jedynie na ślubach i pogrzebach, i dlatego każdy z nich jest przekonany, że wszyscy pozostali to typy maniakalno-depresyjne?

Publiczność śmieje się powściągliwie.

– No poważnie, zamierzałem nawet rzucić propozycję, skoro prasa publikuje recenzje programów telewizyjnych i knajp, żeby zamieszczać też opinie o stypach. Czemu nie? Trzeba wysłać człowieka, niech codziennie odwiedza jakiś dom w żałobie, a nazajutrz napisze, jak było: jaka panowała atmosfera, czy były pikantne opowieści o nieboszczyku, w jaki sposób zachowywała się rodzina i czy już pokłócili się o spadek, jak wygląda w rankingu poczęstunek i co opinia publiczna sądzi o tygodniowej żałobie…

Gromki śmiech toczy się po sali…

– A skoro jesteśmy w temacie, słyszeliście kawał o kobiecie, która przychodzi do kostnicy i chce zobaczyć męża, zanim złożą go do grobu? No więc grabarz pokazuje jej męża, ona widzi, że ubrali go w czarny garnitur. Nawiasem mówiąc, to nie jest nasz dowcip – wyjaśnia, unosząc palec – został przetłumaczony z chrześcijańskiego na nasze. Kobieta zaczyna lamentować: – Mój biedny James tak bardzo pragnął być pochowany w niebieskim garniturze! – Grabarz powiada: – Proszę pani, zawsze ich grzebiemy w czarnych, ale proszę przyjść jutro, zobaczymy, co da się zrobić. – Kobieta wraca następnego dnia, a on jej pokazuje Jamesa w obłędnym niebieskim kolorze. Ona dziękuje tysiąckrotnie i pyta, jak udało mu się zdobyć ten garnitur. Grabarz na to: – Nie do uwierzenia, ale wczoraj, dziesięć minut po tym, jak pani sobie poszła, przywieźli kolejnego nieboszczyka, mniej więcej postury pani męża, w niebieskim garniturze, i jego żona powiedziała, że zawsze marzył, żeby go pochować w czarnym. – Okej –wdowa po Jamesie ze wzruszeniem i łzami w oczach jeszcze raz

dziękuje grabarzowi. Daje mu suty napiwek. – No więc – mówi grabarz – jedyne, co musiałem zrobić, to pozamieniać im głowy.

Publiczność wybucha śmiechem. Publiczność wraca do życia. Publiczność natrząsa się z ogolonego faceta, który zbyt pochopnie porzucił taki udany spektakl. – Przecież wiadomo – mówi do swojego partnera kobieta przy sąsiednim stoliku – że on się rozkręca powoli.

– Co do mnie, to cała ta podróż zaczyna doprowadzać mnie do szału. Głowa w ogniu od domysłów, miele, miażdży, totalny bałagan, nie panuję już nad swoim mózgiem. Znacie ten stan, kiedy wasze myśli fruwają w jednej wielkiej rozpierdusze, bez ładu i składu, gdy kładziecie się spać? Tuż przed samiutkim zaśnięciem? Wyłączyłem gaz czy nie? Basta, nie ma wyjścia, trzeba zaplombować górny trzonowiec. Ta laska, co podciągała sobie stanik w autobusie, wprawiła mnie w dobry humor na cały dzień. Ten megaskurwiel Joaw powiedział, że termin płatności wynosi ponad dziewięćdziesiąt dni. Skąd pewność, czy za dziewięćdziesiąt dni w ogóle jeszcze będę żył? Czy głuchy kot może upolować niemego ptaka? Może to i dobrze, że żadne z moich dzieci nie jest do mnie podobne. Jakim prawem ścina się drzewa bez znieczulenia? Czy kierowcy z bractwa pogrzebowego wypada umieścić na karawanie naklejkę „W drodze do kolejnego usatysfakcjonowanego klienta”? I po jaką cholerę trener zdjął Benajuna z boiska dziesięć minut przed końcem meczu? Czy na plakacie można napisać: „Dowale i Życie są już kwita”? Naprawdę nie powinienem był jeść tyle tego musu…

Publika się śmieje. Jest zagubiona i zmieszana, ale się śmieje. Umęczony, rozklekotany wentylator nagle wsysa do sali zapach świeżo skoszonej trawy. Kto wie, z jakiej dalekiej planety tu doleciał. Wdycham go głęboko do odurzenia. Zalewa mnie wspomnienie małego domku z dzieciństwa w Gederze.

– Kierowca umilkł. Milczy minutę, dwie, jak długo zdoła wytrzymać? Po czym znowu zwraca się do mnie, jakbyśmy od dawna toczyli ze sobą rozmowę. Znacie takie typy, co nie mają z kim pogadać, samotne, wyalienowane? Takie, co odkurzaczem wyssą z ciebie gadanie, bo dla nich

jesteś ostatnią szansą, po tobie zostanie im tylko sygnał dźwiękowy dla niewidomych na przejściu dla pieszych. Powiedzmy, że siedzisz w przychodni o siódmej rano i czekasz na pielęgniarkę, która ma ci pobrać krew? – Publiczność potwierdza, że zna to z własnego doświadczenia. – W ogóle się jeszcze nie obudziłeś, nie zdążyłeś wypić porannej kawy, a ty masz tak, że dopiero trzecia kawa otwiera ci szczelinkę pod lewą powieką. Jedyne, o czym marzysz, to żeby dali ci spokojnie umrzeć. I raptem siada koło ciebie stary zgred z rozpiętym rozporkiem, cały magazyn otwarty na oścież, rupiecie wystawione na wierzch, w łapie czarna próbka moczu… Nawiasem mówiąc, zauważyliście kiedyś, jak ludziska łażą po przychodni ze swoimi próbkami?

Publiczność wymienia się uwagami, publiczność jest już obłaskawiona, teraz pragnie zupełnego ozdrowienia. Medium też chichocze, ukradkiem rzuca na boki pełne konsternacji spojrzenia, a on zerka na nią, na ustach miga mu światełko.

– No serio, bądźcie przez chwilę poważni… Weźcie na przykład takich, co lezą ze słoikiem, o, w ten sposób, prawda? Facet przechodzi koło was korytarzem, zasuwa prosto do wózka z próbkami. Wy siedzicie na krzesłach pod ścianą, on nawet nie raczy spojrzeć. Bez reszty zatopiony w podniosłych myślach. Zauważycie tylko, że rękę z próbką zawsze trzyma z drugiej strony tułowia, w dodatku tak nisko, jak tylko się da, mam rację?

Widownia z piskiem zachwytu przytakuje.

– Jakby faktycznie uwierzył, że dzięki temu nie będzie widać, że na końcu ręki jak raz dynda plastikowy słoik, a w słoiku jak raz niesie kupę. To teraz zróbcie zbliżenie na jego twarz, dobra? Wygląda tak, jakby w ogóle nie brał udziału w całej akcji, prawda? Jest tylko posłańcem. W gruncie rzeczy kurierem Mosadu, którego wielce sekretną misją jest transport materiałów biologicznych na potrzeby B & R. Słowo honoru, że nad takimi najbardziej lubię się pastwić, zwłaszcza jeśli trafi się ktoś z branży, aktor albo reżyser, albo dramatopisarz, jeden z tych gównojadów, z którymi dawniej, niech spoczywam w pokoju, przychodziło mi nieraz pracować. Z miejsca zrywam się i lecę do niego, otwierając ramiona do uścisku:

„Witam, ach witam, panie Piernik!”. Tamten oczywiście udaje, że mnie nie pamięta, nie ma zielonego pojęcia, skąd się wziąłem. Ale co mnie to obchodzi? Od dawna jestem na takim etapie, że już nie pamiętam, czy straciłem godność, czy poczucie wstydu. Zwiększam więc głośność na maksa: „Dzień dobry panu! Cóż to sprowadza szanownego pana do naszej skromnej przychodni? Och, nawiasem mówiąc, czytaliśmy w gazecie, że szykuje pan nowe arcydzieło. Wspaniała wiadomość! Niezmiernie wszyscyśmy ciekawi, co pan z siebie wyprodukował! Tak, tak, wiadomo, że u pana wszystko bierze się z samego wnętrza, prawda? Z głębi trzewi…”.

Ludzie gulgoczą ze śmiechu, ocierają łzy, klepią rękami po udach. Nawet menedżer dostaje czkawki z uciechy. Jedynie malutka kobieta się nie śmieje.

– No dobra, o co tym razem chodzi? – zaczepia ją, gdy tylko przygasają radosne piski.

– Zawstydzasz go – odpowiada. On spogląda na nią bezradnie, jakby pytał: no i co z taką począć? A ja raptem dostaję olśnienia: Eurykleja.

Usiłowałem sobie przypomnieć to imię od chwili, gdy się okazało, że malutka kobieta znała go w dzieciństwie i że to ona odwraca kierunek całego spektaklu. Eurykleja. Stara piastunka Odyseusza, która obmyła mu nogi, kiedy w przebraniu żebraka wrócił z wyprawy do domu. To ona odkryła bliznę, którą miał od dziecka, i tym sposobem go rozpoznała.

Notuję imię drukowanymi literami na serwetce. Drobny przebłysk pamięci z jakiegoś powodu sprawia mi radość. Natychmiast zadaję sobie pytanie, co mogę mu tutaj dać. Czym mogę dla niego być?

Zamawiam jeszcze jedną porcję tequili, od lat tak dużo nie piłem, i nieoczekiwanie nachodzi mnie ochota na nadziewane warzywa. I oliwki. Parę minut temu sądziłem, że nie dam rady nic więcej wziąć do ust, okazuje się jednak, że byłem w błędzie. Krew nagle zaczyna krążyć w żyłach. To dobrze, że przyszedłem, słowo daję, to bardzo dobrze, a jeszcze lepiej, że tu zostałem, aby go zobaczyć.

– A potem, po kilku kilometrach… Jedziecie ze mną? – Nagle wystawia do nas twarz, jakby wyglądał z okna pędzącego samochodu, a my, to

znaczy publika, śmiejemy się i potwierdzamy, że tak, że jedziemy z nim, choć kilka osób wygląda na bardzo zaskoczonych.

Nagle kierowca rzuca do mnie: – Hej, dzieciaku, nie wiem, czy masz teraz głowę do takich rzeczy, ale w przyszłym miesiącu jadę na ogólnowojskowy konkurs, będę reprezentować nasz okręg.

Nic nie odpowiadam. Co niby mam powiedzieć? Mogę najwyżej zrobić „hmmm" pod wąsem, którego nie mam. Ale parę sekund później czuję, że trochę mi go żal, nie wiedzieć czemu, może dlatego, że wygląda na potrzebującego uwagi, więc pytam, czy chodzi o konkurs jazdy.

– Jazdy? – pyta zdziwiony i wybucha śmiechem, dosłownie skręca się ze śmiechu, szczerząc wystające przednie zęby. – Ja na konkurs jazdy? Gdzie tam, na koncie mam siedemdziesiąt trzy wykroczenia drogowe, za karę dołożyli mi sześć miesięcy w kamaszach, nie, nie, jaka znowu jazda. Mówię o konkursie kawałów.

A ja na to: – Że jak?! – Bo słowo honoru, myślałem, że się przesłyszałem. A on: – Kawałów, opowiadania dowcipów, robią taki konkurs co roku, dla całego Cahalu.

Szczerze mówiąc, doznałem lekkiego szoku, skąd u diabła taki pomysł wytrzasnął? Przecież cały czas siedzę jak kołek, szykując się na to, że lada chwila mi powie. Rozumiecie? Że zda sobie sprawę, co się ze mną dzieje, i wreszcie mi to powie, a on wyskakuje z dowcipami?

Jedziemy, nic nie mówimy. Może się nadąsał, bo nie wyraziłem większego zainteresowania, ale naprawdę nie mam na to siły. Teraz zaczynam dostrzegać, jak kiepsko prowadzi, jak auto skacze po całej drodze, ucieka na pobocze, wpada do każdej dziury. Raptem pojawia się myśl, że gdyby mama tu była, na pewno kazałaby mi życzyć mu powodzenia w konkursie. Od tej myśli niemal tracę dech. Słyszę jej głos, melodię słów, czuję jej oddech w uchu i mówię mu: – No to powodzenia.

– Na przesłuchanie zleciało się chyba ze dwudziestu chętnych – ciągnie – ze wszystkich baz okręgu, z całego Dowództwa Południowego, do finału przeszło nas trzech, a na koniec wybrali mnie, żebym reprezentował okręg.

A jak was przesłuchiwali? – pytam. Tylko dla niej pytam, bo co mnie u diabła obchodzi, jak ich testowali, ale wiem, że ona by się nad nim ulitowała ze względu na zęby, pryszcze i całą resztę.

– No przesłuchiwali – mówi – czy ja wiem, tak po prostu, weszliśmy do jakiegoś pokoju z biurkiem na środku i opowiadaliśmy im kawały. Na zadany temat.

Widzę, że kierowca niby ze mną rozmawia, ale myślami jest całkiem gdzie indziej, czoło ma zmarszczone, w zębach już niesie łańcuszek nieśmiertelnika, więc natychmiast nastawiam się na to, że być może historyjką o konkursie próbuje odwrócić moją uwagę, może teraz, kiedy straciłem czujność, nagle mnie tym dziabnie. Wlezie to we mnie jak dźgnięcie nożem.

– Jeden członek jury był z wojskowej gazety „Ba-Machane", był też komik z grupy Ha-Gaszasz ha-Chiwer, ten wielki, co zawsze się śmieje, i jeszcze jakichś dwóch, nieznanych. Rzucali nam jakiś temat, a my opowiadaliśmy kawał.

Tak – odpowiadam mu – jasne. – Po głosie poznaję, że kłamie, i czekam, aż skończy ze swoimi bzdurami i wreszcie mi powie.

– Rzucają ci na przykład: blondynki! I masz trzydzieści sekund, żeby coś wymyślić.

Blondynki?

Dowale znowu wbija wzrok w przestrzeń, to jego niezawodna sztuczka. Powieki ma do połowy przymknięte, twarz zastyga w zdumieniu nad kłamliwą ludzką naturą człowieka. Im dłużej przetrzymuje tę minę, tym głośniej chichocze publiczność, choć śmiech jest znów niezdecydowany, rozplątuje się powoli niczym kłębek nici. Mam wrażenie, że w sali faluje lekka rozpacz, ludzie zaczynają sobie zdawać sprawę, że człowiek na scenie będzie się mimo wszystko upierać przy opowiedzeniu swojej historii.

– Auto tymczasem tańczy jak zbzikowane po całej drodze, a ja już wiem, co to znaczy: mój Kawalarz myśli tak intensywnie, że zapomina o kierownicy. Na szczęście droga jest pusta, co najwyżej jeden samochód

raz na kwadrans nadjeżdża z naprzeciwka. Prawą ręką szukam klamki, żeby w razie czego otworzyć drzwiczki, wymacuję ją i odpuszczam.

– Wiesz co, dzieciaku – zagaduje kierowca – pewnie nie masz teraz głowy do żartów, ale jakby ci się jednak zachciało… To akurat mogłoby, czy ja wiem, dobrze ci zrobić.

Jak to – dobrze zrobić? Myślę sobie i głowa omal mi nie eksploduje.

– Rzuć jakiś temat – mówi, kładąc wyprostowane ręce na kierownicy, i widzę, że wcale się ze mnie nie nabija, naraz cała twarz mu się zmienia, uszy czerwienieją jak w ogniu. – Rzuć, co tylko chcesz, nie musi być o tym, co już powiedzieliśmy, może być cokolwiek: teściowa, polityka, marokańscy Żydzi, adwokaci, pedały, zwierzęta.

Żebyśmy się teraz dobrze zrozumieli, kochani, popatrzcie na mnie, skupcie się przez chwilę: właśnie utknąłem na parę godzin z szajbniętym kierowcą, który wiezie mnie na pogrzeb i zamierza opowiadać mi kawały. Nie wiem, czy kiedykolwiek byliście w takiej sytuacji… – mówi, a kobiecy głos gdzieś po lewej szepcze: – Od półtorej godziny jesteśmy w takiej sytuacji. – Na szczęście Dowale nie słyszy ani tych słów, ani tłumionych, zdesperowanych chichotów, jakie wzbudziły.

– Po raz pierwszy – mówi bardzo cicho, jakby do siebie. – Po raz pierwszy zaczynam czuć, co znaczy być półsierotą, o którego nikt się nie troszczy.

No więc jedziemy i jedziemy. W aucie jak w piekarniku. Pot zalewa oczy. Bądź dla niego miły, szepcze mi mama do ucha, pamiętaj, że każdy człowiek żyje bardzo krótko i trzeba postępować tak, żeby to krótko było dla niego przyjemne. Słucham i mózg zaczyna mi świrować od obrazów, które mam w pamięci, ale także od prawdziwych jej wizerunków na zdjęciach, zdjęciach jej i jego, chociaż tak naprawdę bardziej jego niż jej, bo ona prawie nigdy nie pozwala się fotografować i krzyczy, gdy tylko skieruje na nią aparat. Mój mózg zalewają zdjęcia, o których nawet nie pamiętałem, że je pamiętam, zdjęcia z czasu, gdy byłem mały, z pierwszych sześciu miesięcy życia, kiedy zostałem tylko z ojcem. Wszędzie mnie ze sobą zabierał, uszył nawet mały worek z tkaniny i zawieszał go na szyi – jest

takie zdjęcie, na którym widać, jak goli jakiegoś klienta, a ja zwisam mu w tym worku na szyi, wyglądając jednym otwartym okiem spod jego twarzy. Jej wtedy z nami nie było, mówiłem wam, przebywała to tu, to tam, w sanatorium, jak głosiła oficjalna wersja wydarzeń podawana przez rodzinę. – Dowale naciąga jednym palcem skórę pod okiem: – Tu i tam, lot nad kukułczym gniazdem. Tu i tam, u krawca łatającego żyły. Na czym stanęliśmy, Netanjo, na czym stanęliśmy…

Wszystko jedno, nie wysilajcie się. Nagle robi mi się zimno w samochodzie. Mimo że jesteśmy w środku chamsinu, czuję autentyczne zimno w całym ciele. Zaczynam dygotać i szczękać zębami, kierowca zerka na mnie z boku i jestem na tysiąc procent przekonany, że myśli sobie: już mu powiedzieć? Czy nie mówić? Powiedzieć teraz czy jeszcze trochę się z nim pobawić? I naraz dopada mnie strach, bo co będzie, jeśli rzeczywiście powie? Co będzie, jak mi powie ot tak, w aucie, podczas jazdy, gdy jestem z nim sam na sam? Więc prędko staram się pomyśleć o innych rzeczach, byleby tylko nie słuchać, ale do głowy przychodzą mi różne myśli, których nigdy wcześniej nie miałem, jakby nawet mózg zaczął spiskować przeciwko mnie, podrzucając pomysły i pytania: czy można przeciąć żyły drugi raz dokładnie w tym samym miejscu, jak to się w ogóle zdarzyło i czym zostało zrobione, i czy była w domu sama, kiedy to się stało? Inne myśli też napływają, istna powódź, na przykład: czy kiedy przebywałem na obozie, on wracał z pracy ciut wcześniej, a jeśli nie, to kto ją odbierał z autobusu, kto mógłby ją odebrać tak jak ja? Jak to się stało, że zapomniałem go o to zapytać przed wyjazdem do Beer Ora, jak oni w ogóle dawali sobie radę sami, gdy mnie nie było?

Zwierzęta – mówię szybko do kierowcy i wychodzi mi z tego istny krzyk. A kierowca powtarza: „zwierzęta, zwierzęta", i już samo słowo przyprawia mnie o skurcz serca. Może to zły znak, że je wypowiedziałem. Nagle wszystko wydaje się znaczące. Może nawet oddychanie jest znakiem.

– Dobra – on na to. Porusza wargami, widzę, że główka pracuje. – Okej, mam. Mały koala stoi na gałęzi, otwiera szeroko łapki, skacze, wali o glebę. Wstaje, wspina się z powrotem na drzewo, na gałąź, wyciąga ramionka,

skacze i łup o ziemię. Podnosi się, włazi na drzewo, znów bęc. I tak w kółko. Przez cały ten czas dwa ptaki siedzą na gałęzi obok i patrzą. Wreszcie jeden mówi do drugiego: – Wiesz co, powinniśmy mu w końcu powiedzieć, że jest adoptowany.

Publiczność wybucha śmiechem.

– Więc jednak się śmiejecie! Super, Netanjo, co prawda nie do rozpuku, ale śmiech na sto procent odnotowałem. Jaka szkoda, że was nie było w aucie zamiast mnie, uszczęśliwilibyście kierowcę, bo ja tkwiłem tam bez sensu, żadnego śmiechu ani nic, tylko dygotałem jak pies w kącie pick-upu, i zaraz sobie pomyślałem: czemu on opowiada akurat ten dowcip o rodzicach i niewydarzonym dziecku? Kierowca, ledwo skończył mówić, już zaśmiewa się do łez z własnego dowcipu. Co tam zaśmiewa, ryczy jak osioł. Szczerze mówiąc, jego śmiech był o wiele zabawniejszy niż sam dowcip. Być może właśnie dlatego wzięli go do konkursu. Ja się nie śmiałem i widziałem, że jest rozczarowany, ale bynajmniej nie zamierzał się poddawać. Nie mogłem się nadziwić, że nie daje za wygraną, jak można być takim debilem, myślałem. – No dobra, jest taki kawał, co zawsze mnie ścina z nóg – mówi do mnie Kawalarz. – Za każdym razem, jak go opowiadam, muszę się hamować, żeby nie zarechotać, bo za to cię dyskwalifikują. Wchodzi koń do baru i prosi barmana o goldstara z beczki. Barman mu nalewa, koń wypija do dna i prosi o szklaneczkę whisky. Wypija, zamawia kieliszek araku. Wypija. Zamawia wódkę i jeszcze jedno piwo… – Ten facet, kierowca, opowiada mi bajdy z tysiąca i jednej nocy, a ja tylko kombinuję, jak przed nim uciec, stukam głową o szybę w rytm podskakującego auta i w środku tego potrząsania nagle słyszę głos z oddali, z pustyni, trudno dokładnie się zorientować, co to jest, ale brzmi trochę jak piosenka, którą mama śpiewała, kiedy byłem mały, jakieś trzy, może cztery lata miałem. Skąd przychodzi? Słowo honoru, że nie ze mnie, od lat nie pamiętałem tej piosenki, śpiewała ją, gdy nie mogłem zasnąć albo jak byłem chory, brała mnie wtedy na ręce, kołysała się razem ze mną: *Ajli, luli lu, szlof majn tajere szepsele, mach cu di klajne ejgelech…*

Na widowni cisza. Lekka melodyjka ulatuje niczym smużka dymu.

– Teraz myśleć o nim… – otrząsa się i ostro ponagla sam siebie, marszcząc czoło. – Dobre rzeczy, dobre rzeczy, myśleć o nim dobre rzeczy, gdzie, co, mam: piłkarze, przejrzeć w głowie piłkarzy z różnych drużyn, najpierw izraelskich, potem z Europy i Ameryki Południowej. Byłem w tym mistrzem tylko dzięki niemu, trzeba mu oddać sprawiedliwość. W wieku pięciu lat, kiedy poszedłem do zerówki, zaczął mi mówić o piłce nożnej. Wkładał w to całą duszę. Dosyć, wystarczy, teraz jej kolej. Ona nie przychodzi, znowu on skacze mi przed oczami, za każdym razem gdy coś o niej pomyślę, natychmiast zjawia się on. Co teraz? Teraz on stoi przy kuchence i smaży omlet, może to dobry znak, myślę sobie, bo znaczy, że jest w domu i wszystko z nim w porządku, i zaraz łapię się za słowo: co za dobry znak, kretynie, jaki znowu dobry znak łazi ci po głowie? W tym momencie on unosi wzrok znad patelni, spogląda prosto na mnie i uśmiecha się tak, jak ludzie uśmiechają się do kamery, po czym pokazuje mi tę swoją sztuczkę, że przewraca omlet w powietrzu, unosząc drugą rękę wysoko jak dyrygent orkiestry. Nagle mam wrażenie, że chyba trochę się podlizuje, ale po co miałby się do mnie łasić? Czego może potrzebować? Przecież nic ode mnie nie zależy, lecz on wciąż patrzy tak, jakby zależało, więc błagam go w duchu, żeby sobie poszedł, niech mnie nie straszy, po co się mnie czepia? A przynajmniej niech nie przychodzi sam, niech żadne z nich teraz nie przychodzi samo. Ale nieeee, nie dość, że nie odchodzi, to jeszcze mocniej tam tkwi. Teraz pokazuje mi się w pokoju z dżinsami, opowiadałem wam, ma tam taką kwadratową siatkę i długą piłę przymocowaną pionowo do stołu…

Zaczyna chrypieć, pociąga łyk z termosu.

– Do czego mu ta piła? Która z was pytała? Ach witam stolik dwanaście! Jesteś nauczycielką, prawda? Poznaję po wymowie. Pytasz więc: do czego ta piła? A cała reszta brzmi dla ciebie racjonalnie, pani nauczycielko? Trzysta par zamszowych spodni z Marsylii, cuchnących rybami, które, jak się okazało, mają suwaki wszyte z tyłu, to normalne? A dzieciak zaledwie czternastoletni, którego wysyła się ot tak, bez…

W jednej chwili oczy mu czerwienieją. Powoli wypuszcza powietrze z wydętych policzków i kręci głową z boku na bok. Mnie też zaczyna nagle palić w gardle. Dowale znowu pije, wielkimi, pospiesznymi łykami. Muszę sobie przypomnieć, co w ciągu tamtych godzin robiłem w Beer Ora, kiedy on był w drodze na pogrzeb. Ale jak można po tylu latach pamiętać takie szczegóły?

Mimo to odrywam się myślami od tego miejsca. Muszę nieco uporządkować bałagan w głowie. Przesłuchuję sam siebie, bez żadnej taryfy ulgowej. Ze wszystkich sił próbuję wskrzesić w sobie chłopca, którym wtedy byłem, lecz on raz po raz rozpada się w świadomości na drobne okruchy, jakby nie chciał być schwytany, nie chciał zaistnieć, jakby odmawiał stawienia się na przesłuchanie. Nie poddaję się. Kieruję cały zasób sił na tamte chwile. Niełatwo mi o nich myśleć. Dowale nadal nic nie mówi. Może wymacał swoimi cienkimi, wyostrzonymi czułkami, że teraz go nie słucham. Zmuszam się jednak, by przynajmniej zadać adekwatne pytania: Czy myślałem o nim co parę godzin, kiedy odjechał wojskowym autem? Nie pamiętam. Albo przynajmniej raz dziennie? Nie pamiętam. Kiedy zdałem sobie sprawę, że nie wróci na obóz? Nie pamiętam. Czemu nie przyszło mi do głowy, żeby się dowiedzieć, dokąd go zabrali? Czy poczułem ulgę, że zniknął z pola widzenia, a może wręcz cieszyłem się, że go nie ma? Nie pamiętam, nie pamiętam!

Wiem tylko, że były to pierwsze dni mojej miłości do Liory, które zagłuszyły wszystkie inne uczucia i wszelkie inne myśli. Wiem też, że po obozie nie wróciłem na prywatne lekcje matematyki. Powiedziałem rodzicom, że pod żadnym pozorem nie zamierzam tam wracać. Rozmawiałem z nimi tak zażarcie i arogancko, że się przerazili. W końcu ustąpili, poddali się, uznając, że wszystkiemu winien jest zły wpływ, jaki ma na mnie Liora.

Tymczasem Dowale, stojąc na scenie, z całej siły wyciąga na boki ramiona i równocześnie rozciąga na twarzy uśmiech.

– Akurat piła miała konkretny cel, zdziwisz się, pani nauczycielko, jak ci powiem, że mój Tatulo Potentat działał także w branży tekstylnej, tak, tak,

własnymi rękami wyrobił sobie markę w dziedzinie recyklingu tkanin, stare-graty-kropka-com. Skupował i sprzedawał szmaty, szlachetne zajęcie na czas wolny, w trakcie przerwy obiadowej w zakładzie fryzjerskim, kolejne prestiżowe przedsięwzięcie…

Od dłuższej chwili na widowni słychać szmer. Trudno mi stwierdzić, skąd dobiega. Prawie każdy, na kogo zerkam, wydaje się zafascynowany tym, co dzieje się na scenie, opowieścią i narratorem. Być może niektórzy zaciekawili się wbrew swojej woli, ale słuchają, choć z wyrazem niechęci i zgrozy na twarzy… A jednak wyraźnie słyszę szmer niczym brzęczenie unoszące się z dalekiego ula.

– Objeżdżał dzielnice Jerozolimy na motorowerze marki Sachs i skupywał od ludzi szmaty, stare ciuchy, koszule, spodnie… – Teraz on chyba też słyszy to brzęczenie. Podnosi głos, naśladując wołanie handlarza starzyzną. Bezwstydnie uwodzi publiczność, gorączkowo i desperacko: – Stare koooce, poszeeewki, ręczniiiki, prześcieraaadła, pieluuuchy… Po wypraniu sortował je według rodzaju tkaniny i rozmiarów…

Brzęczenie przeradza się w burczenie dobiegające ze wszystkich kątów sali, rozchodzące się na wszystkie strony. – I wtedy on, słuchajcie uważnie, kochani, zaraz będzie puenta, nigdzie nie odchodźcie, on siadał na podłodze w pokoju z dżinsami, sortował szmaty tak, jak rozdaje się karty, błyskawicznie, rach-ciach, to tu, a to tam, tzzz, tzzz, kupa takich i kupa śmakich, wspaniałe przedsięwzięcie, nie powinniście go nie doceniać, po czym przeciągał te koszule, te spodnie i te płaszcze od góry do dołu po ostrzu piły, odcinając precz zbędne guziki, suwaki, zapięcia, klamry, zatrzaski, wszystko wpadało do siatki, ale nie musicie się martwić, to też sprzedawał u pewnego krawca w Mea Szearim, nic się w jego wszechświecie nie marnowało, a potem pakował szmaty w pęczki po sto sztuk, pomagałem mu przy tym, podobała mi się ta robota, i na koniec razem liczyliśmy: *acht un najncik, najn un najncik, hundert*! Razem obwiązywaliśmy pęczki szmat mocnym szpagatem, a później on szedł sprzedawać je do warsztatów samochodowych, drukarni, szpitali…

Burczenie nagle zamiera. Milkną też odgłosy kuchni. Nastaje głęboka cisza niczym chwila nicości przed potężnym wybuchem. Dowale jest tak zanurzony w opowieści, że najwyraźniej nie zauważa, co w ludziach fermentuje, a ja się obawiam, że ktoś go rzeczywiście zrani, rąbnie szklanką albo butelką, czy nawet krzesłem. Teraz wszystko może się zdarzyć. Stoi tuż przy krawędzi sceny, zbyt blisko publiczności, ramionami obejmuje chudą pierś, daleki, przeźroczysty uśmiech pieści mu twarz.

– No więc dzień w dzień, każdego wieczoru siadywałem w kuchni obok mamy, która trzymała w rękach igłę i pończochy, i odrabiałem lekcje, patrząc, jak on obsługuje piłę, jak gestykuluje, jak jego oczy robią się coraz bardziej okrągłe i czarne, ale kiedy podnosił wzrok i spoglądał na mamę, w jednej chwili, gdziekolwiek był, znów stawał się człowiekiem. A oto i mama, witaj, mamo, spójrzcie, Netanjo…

W tym momencie widownia wybucha. Ludzie zrywają się z miejsc. Odsuwają krzesła, na podłogę z brzękiem spada popielniczka. Mamrotanie, utyskiwania, westchnienia ulgi i zaraz potem do sali wpadają odgłosy z zewnątrz, dźwięki nienależące do tego miejsca: dziki śmiech, łomot zatrzaskiwanych drzwi samochodów, ryk silników i pisk opon. Dowale przyskakuje do tablicy, kreda w ręku fruwa jak batuta rozentuzjazmowanego dyrygenta. Pięć, osiem. Dziesięć. Następny i jeszcze następny, co najmniej dwadzieścia stolików opustoszało. Nie był to skoordynowany ruch. Coś dojrzało naraz, jednocześnie u różnych osób. Wciąż wychodzą, umykają w pośpiechu jak uchodźcy, tłoczą się w drzwiach. Barczysty mężczyzna, który przedtem walił w stolik, mija mnie, gderając do swojej partnerki: – Widziałaś, jak nas wyrolował ze swoim zajobem? – A ona odpowiada: – No i te jego łokszn, i te głupoty o nylonowych pończochach. Urządził nam tu festiwal starych pierdół.

Trzy minuty później większości widzów już nie ma, wydaje się, że mała salka z niskimi ścianami i sufitem sapie ze zdumienia. Ci z nas, którzy zostali, spoglądają na ostatnich wychodzących z jakimś mrocznym znużeniem, niektórzy z przyganą, inni z zazdrością.

Ale są też tacy, niewielu, którzy prostują się na krzesłach i znów wyczekująco patrzą na Dowalego, z nowym zapałem. On sam, tyłem do wychodzących, kończy rysowanie ostatnich czerwonych linii na tablicy, która już wygląda jak bazgranina szaleńca. Wypuszcza z ręki kredę, odwraca się do przetrzebionej widowni i ku mojemu zdziwieniu na twarzy widać ulgę.

– Pamiętacie kierowcę? – pyta, jakby w ciągu ostatnich minut nic się nie wydarzyło, i odpowiada za nas: – Pamiętamy, pamiętamy. No więc kierowca przez cały czas sypie dowcipami jak z rękawa, jeszcze jeden mu się przypomniał i jeszcze jeden, ale ja w ogóle nie słucham, nawet nie śmieję się z uprzejmości, nie jestem w stanie. A on jak ta skała, performer z piekła rodem, nic go nie złamie, choćby tysiąc osób wysiadło mu z auta w trakcie jazdy, nadal będzie opowiadał kawały. Zerkam na niego z ukosa i widzę zmiany na jego gębie, teraz twardej, śmiertelnie poważnej, lecz nie odwraca do mnie głowy, nie szuka wzrokiem, tylko kawał za kawałem. Co jest, kurwa, myślę sobie, co to ma być?

Co tu gadać, cała ta sytuacja – jazda, kierowca, starszy sierżant, który faktycznie powiedział „gdzie ten sierota?" – jeszcze w ogóle nie przeniknęła do mojego mózgu, nie dotarła! Za każdym razem umyka przede mną, jak wyskakujący bezpiecznik. Sierota to chyba ktoś, kto nagle się zestarzał albo jakiś kaleka, no nie? Sierotą jest Eli Sztiglic z dziewiątej C, którego ojciec pracował w Zakładach Morza Martwego i spadł z dźwigu, i od tamtej pory Eli się jąka. Więc może ja też zacznę się teraz jąkać? Ciekawe, jaki dźwięk wydaje sierota? I czy jest różnica między sierotą bez ojca i sierotą bez matki?

Dłonie ma ściśnięte w pięści, na wysokości ust. Ludzie wychylają się ku niemu, żeby lepiej słyszeć. Jest nas tak niewielu. Rozrzuconych po całym pomieszczeniu.

– Możecie mi wierzyć, Netanjo, że nie chciałem, żeby cokolwiek się w moim życiu zmieniło, do tamtej pory było mi dobrze, najlepiej na świecie. Nasze mieszkanie naraz wydało mi się ogrodem edenu, chociaż było małe, ciemne i można było się udusić od smrodu szmat, zamszu

i gotowania. Nawet smród raptem zaczął mi się podobać. No rzeczywiście, była to zafajdana nora i dom wariatów i faktem jest, że tłukli mnie tam szczodrze, wielkie rzeczy, wszyscy dostawali lanie, co w tym nadzwyczajnego, kto w tamtych czasach nie obrywał? Tak wtedy było! Nie potrafili inaczej. I co, krzywda nam się przez to stała? Nie wyrośliśmy jak trzeba? Nie wyszliśmy na ludzi?

Jego oczy unoszą się i wypełniają soczewki okularów, jakby to wszystko działo się właśnie w tej chwili.

– Tak to już jest w rodzinie, raz cię przytulają, raz leją pasem, a wszystko z miłości. Kto kija żałuje, ten dziecko psuje, uwierz mi, Dowciu, że czasem jeden klaps wart jest tysiąca słów, oto jedyna w swoim rodzaju skarbnica żartów i bystrości umysłu mojego ojczulka. – Wierzchem dłoni ociera pot z czoła, próbując się uśmiechnąć. – Na czym stanęliśmy, dzieciarnio najmilsza? No co jest? Naprawdę wyglądacie jak maltretowane dzieci. Aż mnie ochota bierze, żeby was podrapać w plecy, pogłaskać, dopieścić i zaśpiewać „luli, luli". A słyszeliście o ślimaku, który poszedł na policję? Nie słyszeliście? Tego też nie znacie? No więc przychodzi ślimak na komisariat i mówi do dyżurnego, że został napadnięty przez dwa żółwie. Dyżurny wyciąga formularz: – Proszę dokładnie opisać, jak to się stało. – Ślimak na to: – Tak dokładnie to nie pamiętam, wszystko działo się tak szyyybkooo…

Publiczność śmieje się powściągliwie. Ja też. Nie tylko z kawału. Teraz śmiech jest głównie pretekstem, żeby złapać oddech.

– Ja tymczasem, słuchajcie, cały czas trzymam rękę na klamce, a kierowca, nie patrząc na mnie, rzuca…

Malutka kobieta nagle ćwierka radosnym śmiechem. Patrzy na nią zaskoczony: – Co się stało, naszemu medium? Czyżbym zaczął cię bawić?

– Tak – ona na to. – Dowcip ze ślimakiem jest śmieszny.

– Naprawdę? – Jego oczy rozszerzają się z radości.

– Tak! Jak on powiedział, że wszystko działo się tak szybko…

Zerka na nią sponad oprawki okularów. Małe fale marszczą mu czoło. Wiem, że puszcza tam w ruch kolce, żeby ją ukłuć: Ktoś ci już mówił, że

jesteś jak sejf w banku? Oboje macie mechanizm opóźniający… o dziesięć minut.

Ale on tylko posyła jej uśmiech, unosząc ręce, jakby się poddawał: – Jesteś niesamowita, pisklaczku.

Ona prostuje się, króciutka szyja wydłuża się na moich oczach: – Tak mi powiedziałeś.

– Tak ci powiedziałem?

– Kiedyś, jak płakałam, a ty szedłeś ulicą…

– Czemu płakałaś?

– Bo mnie zbili, a ty powiedziałeś…

– Czemu cię zbili?

– Bo nie rosłam, a ty wyszedłeś zza domu koło butli z gazem…

– Na rękach?

– Jasne. I powiedziałeś, że jestem niesamowita i że jeśli płaczę przez nich, ty widzisz to całkiem odwrotnie: jakbym się śmiała przez siebie.

– Ciągle to pamiętasz?

– Mam dobrą pamięć w zamian za… – wyjaśnia, trzykrotnie kiwając głową.

– A teraz coś z zupełnie innej beczki! – oświadcza Dowale, tym razem jednak jego okrzyk brzmi ostrożnie, być może uważa, żeby jej nie wystraszyć. – Raptem kierowca stuka się w czoło i mówi: – Nie wierzę, że jestem takim idiotą! Może tobie wcale nie pasuje ta cała gadka, te moje kawały? W sumie chciałem cię tylko zabawić, żebyś na chwilę zapomniał, bez sensu się zachowałem, przepraszam, sorka, co nie? Nie gniewasz się? Zgoda? Nie jesteś zły? – W porządku – mówię – nic się nie stało.

– Teraz powinieneś się zdrzemnąć. Koniec gadania, aż do Beer Szewy słowa ode mnie nie usłyszysz. Ciii! Gęba na kłódkę!

I znowu odgrywa na naszych oczach scenkę z podróży: ciało podryguje w rytm auta, w górę i w dół, podskakuje na wybojach, odchyla się w prawo i w lewo na zakrętach. Oczy pasażera powoli się zamykają, głowa opada na pierś, kiwając się na dziurawej drodze. Nagle otrząsa się spanikowany. – Wcale nie spałem! – krzyczy i znów powoli odpływa w sen. Jest

wyrafinowany i precyzyjny, mistrz w swoim fachu. Nieliczna publiczność uśmiecha się od ucha do ucha: właśnie otrzymała drobny prezent.

– A potem, sekundę przed zaśnięciem, słyszę, jak kierowca mówi: – Hej, dzieciaku, można ci zadać jedno, ostatnie pytanie? – Nie odpowiadam. Nici ze spania. – Powiedz mi tylko, czy… no, naumyślnie się tak hamujesz?

– Z czym?

– Czy ja wiem… No z tym. Z płaczem.

Z miejsca mocno zaciskam usta. Dosłownie zagryzam. Nie odzywam się. Z dwojga złego wolę, żeby opowiedział kolejny kiepski dowcip, niż żeby się wtrącał. Jedziemy. Tyle że on, jak już skumaliście, nie jest z tych, co łatwo odpuszczają. Minutę później znów mnie pyta, czy trzymam to w sobie na siłę, czy zwyczajnie nie chce mi się płakać.

Szczerze mówiąc, sam już siebie nie rozumiem. To prawda, co powiedział kierowca. Że powinienem płakać, tak właśnie robią sieroty, no nie? Ale ja nie mam łez, nie mam nic, moje ciało jest jak cień, żadnych uczuć. Poza tym, jak by to ująć, dopóki nie wiesz, nic nie może się w tobie tak naprawdę zacząć, prawda?

Zatrzymuje się, jakby czekał na naszą odpowiedź, niedobitków swojej publiczności.

– Tylko oczy – kontynuuje po cichu – zaraz mi wybuchną od tej jazdy, ale nie od łez. Żadnych łez. Od bólu, po prostu zabójczy ból zgniata mi oczy.

Kostkami zgiętych palców naciska oczy pod okularami. Długo pociera, z całej siły, jakby próbował wydłubać je z oczodołów.

– U nas w rodzinie, niech spoczywa w pokoju, umarł brat – mówi kierowca. – Dzieciak miał pięć lat, utopił się w morzu. Na pocieszenie zrobili sobie później mnie. Chociaż go nie znałem, zawsze nad nim płaczę. – I rzeczywiście, ledwie o nim wspomniał, zaczął płakać. Łzy popłynęły mu ciurkiem po twarzy. – Nie rozumiem, jak możesz wytrzymać – mówi kierowca, i nie jest w stanie nic więcej wykrztusić, łka z otwartymi ustami, z zębami na wierzchu, szlocha jak małe dziecko. Ja patrzę na strużkę łez, której on nie ociera, strużka zwilża mu policzek, kapie na wojskową koszulę i spływa za kołnierz, a on nadal nie wyciera ani ręką, ani niczym.

Łzy płyną mu bez zahamowań, w dowolnej ilości. Tylko u mnie nie. Jakby coś stanęło w mózgu, utknęło, mam tam blokadę i jeśli tylko to coś drgnie, można będzie zacząć płakać. A jednocześnie, nie zapominajcie, myślę sobie też, że być może on coś wie, znaczy kierowca, może usłyszał jakieś słowo w pakamerze dowódcy, więc czemu mi nie mówi. Właściwie czemu go wprost nie zapytać i mieć to z głowy, to tylko dwa słowa, do kurwy nędzy, zacisnąć mocno powieki, wyrzucić małe zapytanko i potem niech się pali i wali.

Hej, kochani ziomale! – Znienacka podnosi głos, wymachuje rękami, a ludzie na widowni, my wszyscy, wzdrygamy się spanikowani, jakby wyrwano nas ze snu, po czym śmiejemy się z zażenowaniem. On wyjmuje z kieszeni czerwoną chustkę, ociera pot, następnie udaje, że ją z całej siły wykręca, pogwizdując mimochodem pod nosem. – Co sobie myślałem – bąka. – No patrzcie, że też ludzki mózg nigdy ani na chwilę nie przestaje działać, zasuwa na pełny etat, łącznie z weekendami, ze świętami, nawet w Jom Kipur, co za pojebany kontrakt o pracę sobie wynegocjował, że też nie wziął tego pod uwagę! Ale co to ja chciałem… Ach, tak. Wyobraźcie sobie, że jest na świecie kraj, w którym wymiar sprawiedliwości działa tak, że siedzi sobie sędzia i wali młotkiem, oświadczając: – Niech oskarżony wstanie! – Prostuje się i stoi sztywno, prześlizgując się po mnie spojrzeniem. – Sąd stwierdza, że jesteś winien rozboju z użyciem broni, i niniejszym skazuje cię na raka tarczycy! – Albo, powiedzmy, sąd w trzyosobowym składzie uznaje, że jesteś winien gwałtu, i zostajesz ukarany chorobą Creutzfeldta-Jakoba! Albo z kolei tak: – Sądowi wiadomo, że prokurator zawarł ugodę z obrońcą, w związku z tym zamiast tego niemieckiego kolesia alzheimera, oskarżony dostanie tylko udaru. Ale za manipulowanie dowodami otrzyma zespół jelita drażliwego.

Zredukowana publiczność śmieje się na pół gwizdka, on rzuca nam z ukosa szczwane spojrzenie: – Wiecie, jak to jest, kiedy łapiecie jakieś choróbsko, zwłaszcza jeśli jest konkretne, z doskonałym potencjałem rozwoju, to znaczy degeneracji? Wtedy każda napotkana osoba od razu zaczyna wam udowadniać, że w gruncie rzeczy wcale nie jest tak źle, wręcz

przeciwnie! Każdy raptem zna kogoś, kto słyszał o takim jednym, co żyje ze stwardnieniem rozsianym albo rakiem wątroby od dwudziestu lat, i to jak żyje! Wprost fantastycznie, nigdy nie było mu lepiej! Wszyscy tak usilnie cię przekonują, jakie to niesamowite i fajne, i w ogóle super, że zaczynasz myśleć, czemu byłeś idiotą i nie zafundowałeś sobie stwardnienia dawno temu! Przecież mogliście przeżyć razem obłędne chwile! Bylibyście cudowną parą!

Przy tych słowach zaczyna stepować, odstawia krótki, zdumiewający taniec i kończy go swoim „ta-taaam!", rozkładając szeroko ramiona, przyklęknąwszy na jednej nodze. Pot obficie spływa mu po twarzy, lecz nikt na widowni nie kwapi się, żeby zaklaskać. Ludzie z trudem przełykają ślinę, patrzą oszołomieni.

– No dobra, jedziemy. Jesteśmy w drodze, kierowca Kawalarz i wasz wierny niewierny sługa, niech to szlag trafi, jak bardzo niewierny. – Próbuje wstać z kolan, udaje mu się za trzecim razem. – Gorąco nam, sucho, muchy włażą do oczu, do ust. Szczerze mówiąc, nieprawdą jest to, co powiedziałem wcześniej. Bardzo rzadko wspominam tamtą jazdę, znaczy na jawie mało pamiętam, tylko niekiedy miewam drobne przebłyski, na przykład jak obijam się głową o szybę. Albo jak zauważyłem, że kierowca ciągle zakrywa zęby wargami. Albo że w tapicerce mojego fotela była dziurka i przez całą drogę wtykałem w nią palec. To była miękka pianka gumowa, a ja, możecie się śmiać, nie znałem takiego materiału, w domu mieliśmy sienniki wypchane słomą. Podobało mi się dotykanie pianki, przez całą podróż myślałem, że to cudowna substancja z innego świata, szlachetny materiał, który mnie chroni, i że w chwili gdy wyciągnę palec z dziury, wszystko natychmiast na mnie runie. Tego rodzaju pierdoły z tamtej podróży wbiły mi się do głowy aż po dziś dzień, najczęściej wracają do mnie w nocy, w snach, a wtedy jest to pełnometrażowy film i, co najśmieszniejsze, zdarza się to prawie każdej nocy, wyobraźcie sobie, jaka nuda: hej, panie operatorze, czemu ciągle puszczacie ten sam film? I nagle kierowca, nie patrząc na mnie, mówi: – Ale nie powiedziałeś mi jeszcze, kto…

Dowale wbija w nas bezmyślnie wzrok. Rozciąga przesadnie kąciki ust, usiłując zmusić do uśmiechania się razem z nim. Nikt z siedzących na widowni się nie uśmiecha. On wytrzeszcza oczy jeszcze szerzej i szybko mruga. Ma teraz twarz rasowego błazna. Kiwa głową, kilkakrotnie w górę i w dół, pytając samym ruchem ust, bezgłośnie: To nie jest śmieszne? Naprawdę? Nie jest? Koniec ze mną. Przestałem być zabawny? Definitywnie straciłem to coś? Głowa opada mu na pierś, prowadzi ze sobą cichą rozmowę bez słów, za pomocą gestów i przesadnej mimiki.

Potem milknie, nieruchomieje.

Malutka kobieta jakimś cudem odgaduje, co teraz nastąpi, zanim reszta z nas się połapie. Kurczy się więc i zakrywa rękami twarz. Pięść frunie tak szybko, że prawie nie widzę jego ręki. Słyszę zgrzyt stukających zębów, cała twarz zdaje się na moment odrywać od szyi. Okulary spadają na podłogę.

On nie zmienia grymasu. Tylko ciężko sapie z bólu. Dwoma palcami unosi kąciki ust: – Teraz też nie jest śmiesznie? Naprawdę nie jest?

Ludzie na widowni kamienieją. Zerkam na dwójkę motocyklistów w czarnych kombinezonach, skóra na twarzach napięta, uszy sterczą do góry, i nachodzi mnie myśl, że oni wiedzieli, że taka chwila nastąpi, dlatego tu przyszli.

On zaczyna krzyczeć, wrzeszczeć: – N i e? N i c a n i c? N i e, n i e i n i e? – Rozcapierzonymi dłońmi, sztywnymi palcami okłada się po twarzy, po żebrach, po brzuchu. Cały ten pokaz wygląda jak walka co najmniej dwóch mężczyzn. W wirze kończyn i grymasów rozpoznaję rysy, które nie raz i nie dwa pojawiały się na jego twarzy dzisiejszego wieczoru: jednoczy się ze swoim oprawcą, bije się nie swoimi rękami.

Ta ludzka nawałnica trwa jakieś dwadzieścia sekund. I znienacka ustaje. Jego znieruchomiałe ciało zdaje się wycofywać, z obrzydzeniem oddalając się od siebie. Potem Dowale wzrusza ramionami i odwraca się, żeby zejść ze sceny – tymi samymi drzwiami, przez które wszedł na początku wieczoru. Sunie krokiem papierowego ludzika, wysoko unosząc kolana, tnąc łokciami powietrze. Przy trzecim kroku rozdeptuje okulary.

Nie zatrzymuje się, tylko na moment unosi ramiona, by znów je opuścić. Odwrócony jest do nas plecami, ale umiem sobie wyobrazić jego szyderczy uśmiech po zmiażdżeniu okularów i jadowity szept: c o z a d u r e ń.

Zdaję sobie sprawę, że zamierza odejść i porzucić nas z niedokończoną historią. Jedna noga i pół tułowia już znikają za drzwiami. Przystaje. Druga połowa jest wciąż tutaj. Nieznacznie odwraca ku nam twarz, trzepocze powiekami wyczekująco, z uśmiechem, błagalnie. Natychmiast się prostuję i wybucham głośnym śmiechem. Doskonale słyszę, jak to brzmi, lecz mimo to dalej rechoczę. Dołącza do mnie kilka innych roześmianych głosów, słabych i zlęknionych, ale to wystarcza, by go sprowadzić z powrotem.

Biegnie do nas w radosnych podskokach niczym dziewczynka po kwietnej łące, po drodze schyla się i zgarnia roztrzaskane, wykrzywione okulary, wsuwa je na nos. Wyglądają teraz jak symbol procent. Dwie smużki krwi sączą się z nozdrzy do ust, Zabarwiają mu podkoszulek. – Teraz serio już was nie widzę, nawet na pół metra – rozpromienia się. – Dla mnie jesteście tylko czarnymi kropkami, możecie stąd swobodnie wyjść, nawet nie będę wiedział.

Tak jak zgadłem i jak on sam wiedział, może wręcz miał nadzieję, grupka czterech osób wstaje i wychodzi, na twarzach widać szok, i zaraz w ślad za nimi podnoszą się jeszcze trzy pary. Opuszczają miejsca pospiesznie, nie oglądając się za siebie. Dowale robi krok w kierunku tablicy i kredy, ale rezygnuje machnięciem ręki.

– Droga ucieka spod kół! – krzyczy, jakby atakował wrzaskiem tyły dezerterów. – Kierowca w nerwach, cała jego twarz i tułów to tysiące tików, rękami uderza w kierownicę: – Możesz mi przynajmniej powiedzieć kto: tata czy mama?

Ja milczę, nie odzywam się ani słowem. Jedziemy. Na drodze mnóstwo dziur. Nawet nie wiem, gdzie jesteśmy i jak daleko jeszcze. Okno łupie mnie w ucho, słońce pali w twarz. Trudno utrzymać oczy otwarte. Zamykam na zmianę raz lewe, raz prawe. Za każdym razem świat wygląda

inaczej. A potem jest chwila, kiedy zbieram wszystkie siły, których wcale nie mam, i pytam: – Nie wiesz?

– J a? – woła nieszczęsny Kawalarz, omal nie tracąc kontroli nad autem. – Niby skąd mam wiedzieć?

– Byłeś z nimi w pakamerze.

– Ale nie wtedy, kiedy była o tym mowa… No a potem zaczęli się ze mną wykłócać…

Jedziemy. Zaczynam oddychać. Kierowca nie wie. Przynajmniej nic przede mną nie ukrywał. Spoglądam na niego z boku i nagle wydaje mi się, że to całkiem porządny gość, ciut stuknięty, ale w porządku, bardzo się starał, żeby mnie rozśmieszyć, chyba też jest zestresowany przez tę jazdę, a już na pewno przeze mnie, przecież nie ma pojęcia, jaki numer mogę mu raptem wyciąć, ja sam nie mam pojęcia.

Zaczynam myśleć, że teraz rzeczywiście trzeba będzie poczekać aż do Beer Szewy. Ten, kto tam po mnie przyjedzie, na pewno będzie wiedział. Musieli mu powiedzieć. Zastanawiam się, czy warto spytać kierowcę, ile do Beer Szewy. Poza tym czuję głód. Od rana nic nie jadłem. Odchylam głowę do tyłu, zamykam oczy. A więc mogę trochę odpocząć, bo nagle okazuje się, że mam jeszcze czas: zanim tamci w Beer Szewie mi powiedzą, mogę udawać, że nic się nie stało i wszystko jest tak, jak było, gdy wyjeżdżałem z domu, a teraz po prostu jadę sobie wojskowym autem do Beer Szewy z kierowcą, który opowiada mi kawały, a czemu? A temu, że tak mi się podoba. Bo akurat dzisiaj jest konkurs na najlepszy dowcip w okręgu i strasznie bym chciał tam być.

Gdzieś na zewnątrz klubu, w strefie przemysłowej, włącza się słaby alarm. Jedna z kelnerek siada przy opuszczonym stoliku i patrzy na Dowalego. On posyła jej zmęczony uśmiech: – No co jest, ślicznotko! Co się z wami dzieje? Joaw mi grosza nie zapłaci, jeśli stąd wyjdziecie z takimi minami. Można by pomyśleć, że coś się stało. Umarł ktoś czy jak? To tylko standupowy występ, wprawdzie ciut alternatywny, z paroma przestarzałymi anegdotami z wojska. Poza tym to było dawno i nieprawda, minęły czterdzieści trzy lata, no kochani! Upłynął okres przedawnienia,

tamtego dzieciaka dawno już nie ma wśród nas, niech go Bóg ma w swojej opiece, całkowicie się z niego wyleczyłem! No dalej, uśmiechnijcie się trochę, pomyślcie trochę o mnie. O moim honorarium. Alimentach, które mam do zapłacenia. Gdzie są ci kolesie, co studiują prawo? – Osłania dłonią jak tropikiem namiotu swoje krzywe okulary, ale tamta grupka poszła sobie dawno temu. – Dobra – gdera – nie szkodzi, może polecieli na jakiś sąd polowy. Przy okazji, wiecie, co znaczy po łacinie słowo „alimenty"? W dosłownym tłumaczeniu to metoda wyrywania facetowi jąder przez wyciąganie kasy z portfela. Niezłe, co? Tak, tak, śmiejcie się… A ja płaczę… Są kobiety, których ciąża się nie ima, a mnie się małżeństwo nie ima. Chciałbym, ale nie wychodzi… Za każdym razem ta sama historia… Obiecuję, składam przysięgę, a potem robię głupstwa i od nowa ten sam jebany bałagan: przesłuchania, podział majątku, prawo do odwiedzin… Znacie ten kawał o króliku i wężu, co wpadli razem do ciemnej dziury? Tego też nie znacie? Na jakim wy świecie żyjecie, co? No więc wąż obmacuje królika i mówi: – Masz miękkie futro, długie uszy i wielkie przednie zęby, jesteś królikiem! – Z kolei królik obmacuje węża i mówi: – Masz długi rozdwojony język, pełzasz, masz obślizgłą skórę, jesteś prawnikiem!

Ucina nasz wątły śmiech, podnosząc rękę z wystawionym palcem: – Oto pytanie do was, zen à la Dowale: Jeśli mężczyzna jest w lesie sam, wokół nie ma żadnej innej osoby ani żywego ducha, to czy nadal on jest wszystkiemu winien?

Kobiety się śmieją, mężczyźni szyderczo parskają.

– Kierowca zaczyna walić ręką w kierownicę. – Co to u diabła ma znaczyć? – krzyczy. – Jak to: nie powiedzieli ci? Jak mogli nie powiedzieć? – Milczę. – Kurwa ich mać – rzuca i zapala papierosa, ręce mu drżą, zerka na mnie z ukosa, z boku: – Chcesz jednego? – Wyciągam śmiało z paczki jakby nigdy nic. Podpala mi zapalniczką. Mój pierwszy prawdziwy papieros, marki Time. Na obozie koledzy mnie nie częstowali. „Za mały jesteś", mówili. Przerzucali sobie paczkę nad moją głową. Nawet dziewczyny tak częstowali. A tu kierowca podsuwa mi zapalniczkę z taką gołą babą, co

zdejmuje i wkłada ubranie. Zaciągam się, kaszlę, pali mnie w gardle, no i dobrze, niech się wszystko pali. Cały świat niech się spali.

Jedziemy. Palimy. W milczeniu, jak mężczyźni. Gdyby ojciec mnie teraz zobaczył, z miejsca dostałbym lanie. Więc teraz jej kolej, szybko, wszystko jedno co. Wygląd jej twarzy, kiedy wieczorem wysiada z autobusu Taas, jakby cały dzień przepracowała u Anioła Śmierci, codziennie tak jest, nigdy nie przywykła, i dopiero gdy brała prysznic i zdejmowała z siebie odór nabojów, znów stawała się człowiekiem. Potem siadała w swoim fotelu, a ja robiłem przedstawienie, „codzienny teatrzyk", tak to nazywaliśmy, spektakl, który przygotowywałem w drodze do szkoły, na lekcjach i po szkole. Program ułożony specjalnie dla niej, z postaciami, kostiumami, kapeluszami, szalikami, ubraniami, które podkradałem sąsiadom z worków oddawanych do pralni, albo z rzeczami znajdowanymi na ulicy, w końcu jestem nieodrodnym synem swojego ojca.

Dookoła jest już ciemno, ale nie potrzebujemy światła, wystarcza nam małe czerwone światełko bojlera. Co do niej, to najlepiej czuje się w ciemności, tak twierdzi, i rzeczywiście, jej oczy stają się wtedy jeszcze większe, to niesamowite. Jak dwie niebieskie ryby w świetle bojlera. Kiedy się ją widzi na ulicy, w chuście, w kaloszach, z głową spuszczoną do ziemi, nikt nie wie, jaka jest piękna, ale w domu jest najpiękniejszą kobietą na świecie. Odgrywałem dla niej skecze zespołu Ha-Gaszasz, Uriego Zohara i Szajke Ofira, przedrzeźniałem Theater Club Quartet. Z miotłą zamiast mikrofonu śpiewałem *To znak, żeś młody wciąż* i *Moja ukochana o białej szyi*, i *Nie znał jej imienia*, pełny spektakl każdego wieczoru, przez lata, dzień w dzień, a on o tym nie wiedział, nigdy nas nie przyłapał. Czasami wracał do domu sekundę po tym, jak skończyliśmy, coś węszył w powietrzu, nie wiedząc co, stał więc, kręcąc głową jak stary belfer, i tyle, nic więcej, nawet nie był w stanie sobie wyobrazić, jaka ona jest, kiedy mnie ogląda.

Wyciąga się do przodu i schyla do podłogi, jakby zwijał się w kłębek wokół swojej opowieści.

– Zaczynam czuć, że to chyba nie w porządku, że myślę o niej tak długo, nieprzerwanie, ale mimo to nie chcę przerwać w samym środku, boję się ją

osłabić. I tak jest teraz bardzo słaba. Zaraz przyjdzie jego kolej. Musi być sprawiedliwie. Tyle samo czasu, równiutko co do milimetra. Ona siedziała z nogami na stołku, w białej podomce, z białym ręcznikiem okręconym wokół głowy. Wyglądała wtedy jak księżniczka, jak Grace Kelly z Monaco. Spójrzcie – zwraca się do nas i nagle jego głos brzmi inaczej: czysty głos człowieka, który zwyczajnie z nami rozmawia. – To trwało chyba tylko godzinę dziennie, ten czas, który spędzałem z nią sam na sam, zanim on wrócił do domu; może nawet mniej niż godzinę, być może kwadrans, nie wiem, kiedy jesteś dzieckiem, czas płynie inaczej. Ale to były nasze najlepsze wspólne chwile, więc może je trochę rozdmuchałem… – Chichocze: – Odgrywałem dla niej *Doktora Ticho i popsute oko Cijony*, *Zarekwirowany samochód*, *Wejdź do środka, laleczko, żeby cię muchy nie zjadły* i inne klasyczne skecze, a ona siedziała sobie z papierosem, o tak, z tym swoim uśmiechem na wpół do ciebie, na wpół ponad twoją głową, nie miałem pojęcia, ile była w stanie zrozumieć z mojego hebrajskiego, z rozmaitych akcentów i ze slangu, zapewne większości nie rozumiała, ale każdego, każdziutkiego wieczoru, przez trzy czy cztery lata, może pięć, siadywała i oglądała mnie z uśmiechem na twarzy, nikt inny prócz mnie nie widział jej uśmiechniętej, gwarantuję wam, aż raptem w jednej chwili miała dość, w pół słowa, wszystko jedno, w jakim byłem momencie, choćby w samym środku puenty, a ja widziałem, że ta chwila nadchodzi, stałem się ekspertem: oczy jej się zapadały, wargi zaczynały drżeć, usta uciekały na bok, więc musiałem przyspieszać, czym prędzej dopaść do zakrętu, dostawałem gwałtownego kopa, bo widziałem, że jej twarz zamyka się na moich oczach i już, to był koniec. Nicość. Tkwię tam z chustami na głowie, z miotłą w ręku, czując się jak totalny idiota, błazen, a ona już zrzuca ręcznik z głowy, gasi papierosa. – Co z ciebie wyrośnie! – krzyczy. – Idź lekcje odrabiać, wyjdź się pobawić z dziećmi…

Potrzebuje trzech okrążeń na scenie, żeby znowu złapać oddech, tymczasem ja podczas tych chwil niespodziewanie zaczynam tarzać się w bólu pochodzącym z zupełnie innego źródła: gdybym przynajmniej miał z nią dziecko, myślę po raz tysięczny. Ale tym razem czuję dźgnięcie gdzie

indziej, w jakimś wewnętrznym organie, o którym nie miałem wcześniej pojęcia. Dziecko, które przypominałoby ją choćby w niewielkim stopniu, krzywizną policzka, jednym grymasem ust. Nic więcej. Przysięgam, że nie trzeba by mi nic więcej.

– Tak czy siak, na czym stanęliśmy? – woła ochrypłym głosem. – Na czym stanąłem? Bierz się do roboty, Dowale: Beer Ora, kierowca, papieros, ojciec, mama… Jedziemy szybko, licznik pokazuje sto dwadzieścia, sto trzydzieści na godzinę, podwozie zaczyna wibrować, Kawalarz wciąż wali nerwowo pięścią w kierownicę i kręci głową na „nie", pierwszy raz widzę, żeby taka maskotka prowadziła, zamiast siedzieć na podszybiu. Co pół minuty spogląda na mnie z ukosa, jakbym ja, jakbym miał, czy ja wiem… jakąś chorobę…

A ja nic, palę sobie. Zaciągam się mocno, wypalam doszczętnie mózg, wszystkie swoje myśli, i kiedy tak sobie palę, mogę myśleć o nich, naprawdę nie myśląc, bo ona też pali papierosy, on też, ona wieczorem, on rano. Na samą myśl natychmiast mieszają mi się dymki ich obojga, głowę wypełniają kopcące kłęby, jakbym miał tam pożar, więc wywalam papierosa za okno, brakuje mi powietrza, nie mogę oddychać.

Przechadza się w roztargnieniu po całej scenie, wydmuchując powietrze na twarz. Chwilami mam wrażenie, że czerpie siłę z tej opowieści. I zaraz potem czuję, że to opowieść wysysa z niego całą żywotność. Nie jestem pewien, czy to ma coś do rzeczy, ale być może ze względu na dynamikę opowieści budzi się we mnie pomysł: opiszę mu króciutko, w punktach, przebieg tego wieczoru. Po prostu usiądę w domu ze swoimi zabazgranymi serwetkami i spróbuję napisać w uporządkowany sposób, co tu się działo.

Niech ma. Na pamiątkę.

– I nagle Kawalarz zatrzymuje auto. Ale nie myślcie, że łagodnie wyhamowuje, o nie! Z piskiem opon, jak gangster. – Demonstruje nam, rzucając się do przodu i odchylając w tył z rozdziawionymi ustami. – Chicago! Steve McQueen w filmie *Bullitt*, bam! Zjeżdża na pobocze, jakie znowu pobocze, kto wtedy widział pobocze, opowiadam wam o tym, co

było czterdzieści trzy lata temu, dopiero co wynaleziono drogi, ludzie jeszcze przybiegali bić brawa na widok wypadków samochodowych i prosili o bis! Bum! Pick-up podskakuje, równocześnie lecimy do góry, sufit jest z brezentu na metalowych prętach, dostajemy obaj po łbach, wrzeszczymy, zęby stukają jak kastaniety, w ustach pełno piachu i na koniec, gdy samochód wreszcie staje, kierowca wali głową w klakson, dociska czołem, co wam będę gadał, chyba ze trzydzieści sekund tak siedzi i ryczy klaksonem na całą pustynię, a potem unosi głowę i z całej siły łupie pięścią w kierownicę, aż się boję, że zaraz ją roztrzaska na kawałki, i mówi: – Może jednak zawrócimy, co ty na to?

– Co znaczy: zawrócimy? – odpowiadam. – Przecież muszę się dostać do Jerozolimy.

– Ale to nie w porządku, że ty nie… – zaczyna się jąkać. – To jest przeciwko… Czy ja wiem, przeciwko Bogu, a nawet Torze, to nie jest w porządku, nie mogę tak jechać, niedobrze mi się robi, słowo daję, rzygać mi się chce…

– Jedź dalej – mówię, jakby mój głos już się zmutował. – Powiedzą nam w Beer Szewie.

– Takiego chuja powiedzą! – Spluwa przez okno. – Znam tych zafajdańców, to wszystko tchórzliwe króliki, jeden na drugiego będzie zwalał, żeby ci powiedział.

Kierowca wysiada, żeby się wysikać. Ja siedzę w samochodzie. Nagle zostaję sam. To pierwsza chwila, kiedy jestem sam ze sobą, odkąd tamta oficer zostawiła mnie przed barakiem dowódcy. I od razu widzę, że to bycie samemu nie jest dla mnie dobre. Męczy mnie. Otwieram drzwiczki i zeskakuję, żeby wysikać się po drugiej stronie pick-upu. Stoję tam, oddając mocz, a po sekundzie on wskakuje mi do głowy, mój ojciec, wciska się, rozpycha bardziej niż ona, co to ma znaczyć i czemu ją teraz widać słabiej? Sprowadzam ją na siłę, a on zjawia się z nią, sunie tuż za nią, nie pozwala nam zostać razem ani na sekundę. Co to ma być, do cholery. Myślę o niej bardzo mocno, chcę ją zobaczyć we właściwy sposób, a zamiast tego co dostaję? Widzę, jak blednie, kiedy w radiu mówią, że nasi

żołnierze zabili terrorystę albo że doszło do strzelaniny i od naszego ognia zginęła cała banda. Natychmiast wychodzi do łazienki. Nawet jeśli wcześniej się myła, znów wychodzi, siedzi tam chyba godzinę, zdziera sobie całą skórę z rąk, zużywa nam cały pojemnik na ciepłą wodę, ojciec się denerwuje, drepcze po korytarzu, pieni się ze złości: „Pszszsz! Pszszsz!". Z powodu marnowanej wody i dlatego, że ona nie popiera naszego wojska. Ale kiedy wychodzi z łazienki, nic jej nie mówi, ani słowa. No proszę, znowu o nim pomyślałem, nie daje mi przez sekundę pobyć z nią sam na sam.

Dowale wędruje, błądzi po scenie. Wydaje mi się, że nieco kuleje. Miedziany dzban w tle pochłania i wypluwa jego odbicie, raz po raz, z zawrotną szybkością, gorączkowo.

– Mój umysł pracuje jak szalony. Co to będzie, co się stanie, co będzie ze mną, kto się mną zaopiekuje. Weźmy choćby taki przykład: kiedy miałem pięć lat, zaczął mnie uczyć piłki nożnej, opowiadałem wam. Nie, nie grać w nogę, chyba żartujecie, granie go nie interesowało, uczył mnie samych faktów, zasad, wyników mistrzostw świata, Pucharu Izraela i meczów ligowych, nazwisk zawodników kadry narodowej, a potem reprezentacji Anglii, Brazylii, Argentyny i Węgier, to jasne, i wreszcie drużyn całego świata, z wyjątkiem Niemiec, oczywiście, i Hiszpanii, z powodu wypędzenia Żydów, którego jeszcze im do końca nie wybaczył. Czasami, kiedy odrabiałem lekcje, a on piłował swoje szmaty, nagle rzucał: – Francja! Mistrzostwa świata 1958. – A ja od razu: Fontaine! Jonquet! Roger Marche! – On na to: – Szwecja! – A ja: – W którym roku? – Też w 1958! – Więc mówię: – Liedholm! Simonsson! – To były fajne chwile, żebyście dobrze zrozumieli: ten facet nigdy w życiu nie poszedł na mecz, dla niego to była strata czasu: – Po co grać przez dziewięćdziesiąt minut, dwadzieścia nie wystarczy? Nie lepiej byłoby kończyć zaraz po pierwszym golu? – Natomiast wbił sobie do głowy, że jestem mały i wątły, więc jeśli będę się znał na piłce nożnej, to chłopcy zaczną mnie szanować, chronić i nie będą mnie za bardzo bić. W takim trybie pracował jego umysł: zawsze jakiś ukryty interesik w tle, jakaś cwana sztuczka w zanadrzu, nigdy dokładnie nie wiedziałeś, na czym

stoisz. Czy jest z tobą? Czy przeciwko tobie? I w ten sposób, jak sądzę, wychowywał też mnie, wpajając mi, że w ostatecznym rozrachunku każdy troszczy się o własny interes, to była jego mantra życiowa, esencja dziedzictwa, którą ojczulek przekazywał swojemu małemu synkowi.

O czym mówiliśmy, Netanjo? Co jeszcze pamiętam? Och, oczywiście pamiętam, pamiętam, dopiero teraz zdaję sobie sprawę, jak dużo pamiętam, aż za dużo. Na przykład, kiedy skończyłem sikać, zrobiłem tak, jak on mnie uczył: „potrząśnij raz, potrząśnij drugi", i dotarło do mnie, że całkiem sporo mnie nauczył jakby od niechcenia, bez wielkiego halo, wiedziałem, jak naprawić żaluzję, jak wywiercić otwór w ścianie, jak wyczyścić piecyk naftowy, jak przetkać rurę i naszykować druciki do naprawy bezpieczników. Myślałem też o tym, że czasami miałem wrażenie, że aż się palił do tego, żeby ze mną pogadać o różnych rzeczach, nie tylko o piłce nożnej, która tak naprawdę guzik go obchodziła; mam na myśli inne rzeczy, takie między ojcem i synem, powiedzmy wspomnienia z dzieciństwa, tego rodzaju sprawy, albo przemyślenia, albo żeby tak po prostu przyjść i mnie przytulić, lecz nie wiedział, jak to zrobić, a może się wstydził, a może czuł, że skoro zostawił mnie na głowie mamy, teraz trudno to będzie zmienić, no i znów wychodzi na to, że myślę o nim zamiast o niej, i od całego tego bałaganu zaczyna mi wirować w głowie, z trudem wdrapuję się z powrotem do pick-upu.

Dobry wieczór, Netanjo! – ryczy, jakby dopiero co pierwszy raz wpadł na scenę, ale głos ma zmęczony i ochrypły. – Wciąż jesteście ze mną? Może przypadkiem pamiętacie, kto jest na tyle stary, żeby pamiętać, że jak byliśmy mali, mieliśmy zabawkę, „ręczne kino"? Taki mały przyrząd z przeźroczami, naciskało się, klik, i przesuwało obrazki. To było za czasów kina niemo-jąkanego – śmieje się. – *Pinokia* się na tym oglądało i *Śpiącą Królewnę*, i *Kota w butach*...

Spośród wszystkich widzów tylko dwoje się uśmiecha – wysoka, siwowłosa kobieta i ja. Nasze spojrzenia spotykają się na chwilę. Ma delikatną twarz i okulary w cieniutkich oprawkach, włosy bardzo krótko przycięte.

– No więc w taki właśnie sposób mnie teraz oglądacie. Ja i kierowca w pick-upie, klik. Dookoła pustynia, klik. Raz na pół godziny jedzie z naprzeciwka pojazd wojskowy i słychać warkot, kiedy się mijamy, klik…

Pięcioro młodych mężczyzn i kobiet siedzących tuż koło sceny rzuca do siebie porozumiewawcze spojrzenia, wstają i wychodzą. Nie wypowiadając ani słowa. Nie wiem, dlaczego zostali tak długo ani co sprawiło, że wychodzą akurat w tym momencie. Dowale podąża do tablicy, staje przed nią. Mam wrażenie, że to odejście zabolało go bardziej niż inne. Ściągnąwszy łopatki, wystukuje kredą: kreska, kreska, kreska, kreska, kreska.

I oto dosłownie już w drzwiach wyjściowych jedna z kobiet, ta bez pary, zatrzymuje się i mimo nagabywań przyjaciół odłącza się, zawraca i siada z powrotem przy opuszczonym stoliku. Menedżer daje kelnerce znaki, żeby do niej podeszła. Kobieta zamawia szklankę wody. Dowale pędzi z powrotem do tablicy wielbłądzimi krokami – miga nam w oczach Groucho Marx – i z wielkim przejęciem ściera jedną linię, równocześnie wykręcając szyję do tyłu i szczerząc zęby w szerokim uśmiechu.

– I nagle, bez namysłu, mówię do kierowcy: Opowiedz jakiś kawał. – A on, całym tułowiem zgina się wpół, jakbym go pięścią uderzył. – Odbiło ci?! – krzyczy. – Jak to kawał? Teraz? – Co ci zależy – mówię. – Tylko jeden dowcip. – Nie, nie, teraz nie mogę – odpowiada. – To czemu przedtem mogłeś? – Przedtem nie wiedziałem, a teraz wiem. – Nawet nie odwraca do mnie głowy. Boi się na mnie spojrzeć. Jakby w obawie, że się ode mnie zarazi. – Daj mi spokój – mówi. – I tak łeb mi pęka od tego, co mi wcześniej powiedziałeś. – Zrób mi przysługę – mówię mu. – Chociaż jeden dowcip o blondynce, przecież to nic takiego, jesteśmy sami w aucie, nikt nie będzie wiedział. – Nie – on mi na to. – Nie dam rady, na litość boską.

Cóż, skoro nie da rady, to nie da rady. Zostawiam go w spokoju. Przykładam głowę do szyby, próbując wyczyścić mózg do dna, drrr, nie myśleć, nie być, niczego nie ma, ani jej, ani jego, ani żadnej sieroty. Tak, w porządku. Gdy tylko zamykam oczy, wyskakuje do mnie on, mój ojciec, raptem staje się komandosem, nie waha się ani sekundy. W piątki, gdy

mama pracuje na ranną zmianę, on budzi mnie wcześnie i wychodzimy do ogródka. Opowiadałem wam? Nie opowiadałem? Mieliśmy własny ogródek, tylko dla nas, na tyłach bloku, metr na metr. Wszystkie warzywa stamtąd braliśmy. Siedzimy tam owinięci kocem, on z kawą i papierosem, i swoim czarnym zarostem, ja w półśnie, niemal opierając się o niego, jakbym wcale nie zdawał sobie z tego sprawy, on macza herbatniki w kawie i wkłada mi do buzi, a dookoła kompletna cisza. Cały budynek nad nami śpi, w mieszkaniach żadnego ruchu, my dwaj prawie nic nie mówimy.

Unosi palec w powietrze, abyśmy mogli usłyszeć tę ciszę.

– On o tej porze dnia nie ma jeszcze w swoim ciele tego tzzz, więc przyglądamy się pierwszym ptakom o świcie, motylom i chrząszczom. Karmimy ptaki okruchami herbatników. On potrafi też gwizdać jak ptak, w życiu byś nie uwierzył, że to ludzki głos.

I nagle słyszę, że kierowca mówi: – Jest sobie statek, który tonie na morzu, tylko jednemu facetowi udaje się na czas wyskoczyć i płynie przed siebie. Macha rękami, woda go zalewa, ale płynie. Wreszcie resztką sił dopływa do jakiejś wyspy i widzi, że oprócz niego uratowały się pies i koza.

Otwieram oko do połowy. Kierowca mówi, nie poruszając wargami, ledwie da się go zrozumieć. – Mija tydzień, mijają dwa tygodnie, wyspa jest pusta, nie ma ludzi, nie ma zwierząt, tylko facet, koza i pies. – Zdaje się, że opowiada kawał, ale nie jest to żartobliwy ton, Kawalarz gada tak, jakby całe usta były jednym skurczem mięśni.

– Po miesiącu facet na wyspie jest podniecony jak jasna cholera. Patrzy w prawo, patrzy w lewo, żadnej baby w zasięgu wzroku, tylko koza. Mija kolejny tydzień, on już nie może wytrzymać, przycisnęło go nie na żarty, zaraz eksploduje.

A ja mówię sobie: uważaj na tego kierowcę, właśnie opowiada ci jakiś wulgarny kawałek. Co to ma znaczyć, do cholery? Otwieram następne pół oka. Kawalarz całym tułowiem pochylony jest nad kierownicą, twarz przyklejona do przedniej szyby, śmiertelnie poważna. Zamykam oczy. Jest tu coś, co trzeba zrozumieć, ale kto ma siły na rozumienie, więc tylko klikam sobie w myślach zdjęcie wyspy z facetem, kozą i psem, niedaleko

nich sadzę piękną palmę, dorzucam im kokosy i hamak. Leżak. Piłkę plażową.

– Kolejny tydzień mija i facet już nie wytrzymuje, podchodzi do kozy, wyciąga kapucyna, ale raptem pies zrywa się i warczy, grrrrr! Jakby mówił: uważaj, ani się waż dotknąć kozy! Trudno, facet spietrał, zwija interes i kombinuje: w nocy kundel zaśnie, wtedy zadziałam. Przychodzi noc, pies chrapie, a ten po cichu czołga się do kozy. Jeszcze się do niej nie dobrał, a pies rzuca się jak pantera, szczeka, ślepia nabiegłe krwią, kły jak noże, no więc co ma biedny gościu robić, kładzie się z powrotem spać z sinymi do bólu jajami.

Dowale mówi, a ja rozglądam się po twarzach ludzi. Po twarzach kobiet. Zerkam na tę wysoką. Krótko przystrzyżone włosy wyglądają jak aureola wokół pięknej, rzeźbionej głowy. Trzy lata. Od czasu, gdy Tamara zachorowała. Całkowita apatia. Zastanawiam się, czy kobiety potrafią jakimś sposobem wyczuć, co się ze mną dzieje, i czy to dlatego od dawna prawie wcale nie odbieram od nich sygnałów.

Zrozumcie, nigdy w życiu nie widziałem, żeby ktoś opowiadał w ten sposób kawał. Wyciskał z siebie każde słowo, jakby, nie daj Boże, pominięcie jednego słowa czy choćby sylaby miało zdyskwalifikować jego dowcip i w ogóle do końca życia odebrano by mu licencję na opowiadanie kawałów.

Dowale małpuje kierowcę w najdrobniejszych szczegółach, jak całym tułowiem niemal leży na kierownicy, tak że jego postać dosłownie unosi się tu, przed naszymi oczami: – I tak im leci czas na wyspie, następnego dnia to samo, mija jeszcze jeden dzień, tydzień, miesiąc. Za każdym razem, jak tylko facet zbliża się do kozy, pies od razu: grrr!

Gdzieniegdzie uśmiechy. Malutka kobieta chichocze i zakrywa ręką usta.

– G r r r! – Dowale warczy jeszcze raz do niej, specjalnie dla niej, taka wariacja na temat wcześniejszego d r r r! Jej się to nadzwyczaj podoba. Radosny śmiech turla się tak, jakby ją łaskotał. On patrzy na nią czułym wzrokiem.

– Pewnego dnia facet siedzi załamany na brzegu morza, nagle w oddali widzi dym, następny statek tonie! A ze statku wyskakuje blondynka, w pełni wyposażona: wszystko ma na swoim miejscu, jest za co chwycić. Facet ani przez moment się nie waha, wskakuje do wody, płynie, płynie, dociera do blondynki. Ona już prawie utonęła, on ją łapie, holuje na wyspę, kładzie na piasku, ona otwiera oczy, śliczna jak marzenie, jak modelka, i mówi: – Mój bohaterze! *My hero*, cała jestem twoja, możesz ze mną zrobić, co tylko zechcesz! – A wtedy on rozgląda się ostrożnie na boki i mówi jej cichutko na ucho: – Mogłabyś mi na chwilę przytrzymać tego psa?

A ja, posłuchajcie tylko, netanjaki kochane – nie pozwala nam się porządnie uśmiać, czego tak bardzo potrzebujemy – nagle wybuchnąłem takim głośnym śmiechem, dosłownie rozpadłem się na kawałki w tym pick-upie, z nadmiaru nie wiem czego, chyba tego, że mózg mi ocipiał od tej całej sytuacji, albo dlatego że przez całe dwie minuty i piętnaście sekund nie myślałem o tym, co już wkrótce mnie czeka. A może również dlatego, że ktoś starszy ode mnie opowiedział mi kawał dla dorosłych, najwidoczniej uznał, że już się do tego nadaję. Ale od razu zaczął się mętlik w głowie: co to ma znaczyć, że kierowca myśli, że jestem już dorosły? A może ja wcale nie chcę tak szybko być dorosły?

Najważniejsze jest jednak to, że śmiałem się tam, aż mi łzy ciekły z oczu, słowo daję, w końcu popłynęły i miałem nadzieję, że takie też się liczą. W całym tym pieprzonym zamęcie poczułem, że rzeczywiście dobrze mi robi, kiedy skupiam się na blondynce, która omal nie utonęła, na psie i kozie, i że widzę teraz przed oczami ich hamak i kokosy, a nie kogoś, kogo znam.

Widziałem, że kierowca jest trochę zestresowany tym, że śmieję się jak wariat, może się obawiał, że mu zbzikowałem, ale mimo to był zadowolony, że spodobał mi się kawał, co miał nie być, więc zaraz wyprostował się na siedzeniu, szybko oblizał sobie zęby, miał taki tik, w ogóle miał różne nawyki, do dziś czasem o nim myślę, jak co minuta poprawiał sobie słoneczne okulary na czole albo dwoma palcami szczypał się w nos, żeby go zmniejszyć… – Ben Gurion, Naser i Chruszczow lecą

razem samolotem – zaczął szybko, żebym nie stracił entuzjazmu. – Nagle pilot zawiadamia przez głośniki, że skończyło się paliwo i jest tylko jeden spadochron…

Zapewniam was, że ten kierowca był chodzącą encyklopedią kawałów. Właśnie to umiał robić doskonale, na pewno o wiele lepiej niż prowadzić auto. Jeśli o mnie chodzi, to co mi zależy, niechby tak zostało dalej, aż do Beer Szewy, a tam już z pewnością mi powiedzą, niemożliwe, żeby było inaczej, tam naprawdę zacznie się moje sieroctwo. Ale zanim dojedziemy, będę miał przerwę, jakbym dostał ułaskawienie, tak to odczuwałem, jakby odroczono mi na jakiś czas egzekucję.

Dowale unosi głowę i długo patrzy na mnie, potakując. A ja przypominam sobie, jak się wzdrygnął czy wręcz przeraził, gdy zapytałem go przez telefon, czy prosi, żebym wydał w jego sprawie wyrok.

– A jemu, znaczy kierowcy, też pasowało, żeby dalej opowiadać kawały, częściowo ze względu na stres, jaki miał przeze mnie, ale chyba też dlatego, że zwyczajnie chciał mi zrobić dobrze, no tak czy inaczej, od tamtej chwili nie przerywał, odpalał jeden dowcip od drugiego, po prostu faszerował mnie na ful, i choć szczerze mówiąc, większości nie pamiętam, niektóre utkwiły mi w głowie na amen… Aaa, witam gości siedzących przy barze… czołem, chłopaki! Jesteście z Rosz ha-Ajin, zgadza się? O przepraszam, oczywiście z Petach Tikwa! Szacun! Te chłopaki są ze mną co najmniej od piętnastu lat, na zdrowie, *muchachos*! I wiedzą, że zawsze mam dwa czy trzy kawały, które wtrącam do każdego występu, obojętnie czy trzeba, czy nie. No więc teraz już wiecie, skąd się one biorą, jak na przykład ten o facecie, który miał papugę, co ciągle przeklinała? Posłuchajcie, spodoba wam się: od samego rana, jak tylko otworzyła ślepia, papuga klęła szpetnie jak…

Co jest? – Przygryza wargę. – Coś sknociłem? Chwila, moment, nie mówcie mi, że dzisiaj wieczorem już wam to opowiadałem?

Ludzie siedzą nieruchomo, oczy mają szkliste.

– Już nam opowiadałeś o tej papudze – mówi medium, nie patrząc na niego.

– Nie, to zupełnie inna papuga… – mamrocze. – No kurde, żartowałem! Czasami po prostu sprawdzam, czy publiczność nie śpi. Zdaliście na piątkę tym razem! Jesteście wybitną publiką! – oświadcza z namiastką śmiechu i zgnębioną, przerażoną miną. – Na czym stanąłem?

– Na Kawalarzu – podpowiada malutka kobieta.

– To przez te leki – mówi, ssąc łapczywie z termosu.

– Skutki uboczne – podsuwa ona, wciąż na niego nie patrząc. – Też je mam.

– Słuchaj, pisklaczku – on na to. – Posłuchajcie, zaraz skończę, jeszcze tylko chwilę pobądźcie ze mną, okej? No więc kierowca klepie dowcipy i pęka ze śmiechu, a u mnie w głowie jedna wielka rozpierducha: ksiądz, rabin i prostytutka, do tego cap, który śpiewa w brzuchu rzezaka, co przypadkiem pomylił swój plecak z plecakiem drwala, i papuga, to znaczy, i n n a p a p u g a, a wszystko to wymieszane z obłędem całego tamtego dnia. I zdaje się, że w pewnym momencie usnąłem.

A gdy się obudziłem, co widzę? Że stoimy w jakimś miejscu, które z pewnością nie jest dworcem autobusowym w Beer Szewie. Podwórze, biegające swobodnie kury, czochrające się psy i gołębie w klatce, a obok pick-upu stoi szczupła kobieta z kupą czarnych loków na głowie i trzyma chudziutkie niemowlę w pieluszce. Stoi koło mojego okna, spoglądając na mnie jak na dwugłowego potwora. Pierwsze, o czym wtedy pomyślałem, to: Co ta laska ma na twarzy? Co ma namalowane? I naraz zdałem sobie sprawę, że to łzy, które u niej też spływały ciurkiem, nieprzerwaną strużką, a kierowca stoi obok z kanapką w gębie i mówi: – Dzień dobry, śpiochu, poznaj moją starszą siostrę, pojedzie z nami, bo wyobraź sobie, że jeszcze nigdy nie była pod Ścianą Płaczu, ale najpierw odstawimy ciebie gdzie trzeba, nic się nie martw.

Gdzie ja do cholery jestem, co jest grane, skąd raptem Ściana Płaczu, gdzie jest Beer Szewa? Jak się tu dostaliśmy? Kierowca się śmieje: – Pół drogi przekimałeś, nieźle cię uśpiłem tymi kawałami! – A kobieta mówi: – No nie, nie wierzę własnym uszom, jego też dręczyłeś swoimi

beznadziejnymi dowcipami, ty kretynie? Jak ci nie wstyd, opowiadać kawały w jego sytuacji?

Pomimo łez głos ma twardy, podenerwowany. A kierowca do niej: – Opowiadałem, nawet jak spał, ani na chwilę nie zostawiłem go bez kawału, zapewniłem mu osobistą ochronę, no wsiadaj. – I rzeczywiście, kobieta siada na tylnym fotelu, z dzieckiem i wielką torbą. – Beer Szewę już dawno minęliśmy – mówi do mnie kierowca. – Nie pozwolę, żebyś jechał sam, przypadłeś mi do serca, dzieciaku, podrzucę cię aż do domu, pod same drzwi. – Ale teraz zrób nam przysługę: żadnych kawałów – mówi jego siostra. – I nie patrzcie do tyłu, bo muszę dać mu cycka, odwróć to lusterko, zboczeńcu! – Daje mu małego pstryczka od tyłu, a ja siedzę tam jak idiota i myślę: Co to ma być, do cholery, czemu nie pozwalają, żeby moje sieroctwo w końcu się zaczęło, ciągle je ode mnie odsuwają, może to znak, że powinienem coś zrobić? Ale co?

Powoli zbliża się do czerwonego fotela i przysiada na brzegu. Widać, że jego oczy za rozbitymi szkłami zwrócone są do wewnątrz. Wobec tego ja w jego imieniu ogarniam wzrokiem widownię. Zostało nas może piętnaście osób. Kilka kobiet przypatruje mu się mętnym, a zarazem przenikliwym wzrokiem, jakby spoglądały przez niego na jakiś inny czas. Trudno takie spojrzenie pomylić: niewątpliwie dobrze go znają, a przynajmniej kiedyś doskonale znały. Zastanawiam się, skąd wiedziały, że dziś mają tu przyjść. Czy zadzwonił do każdej z osobna i zaprosił? Czy też zawsze przychodzą na jego występ, kiedy pojawi się w okolicy?

Zdaję sobie sprawę, że czegoś mi na tym obrazku brakuje: stolik dwojga młodych motocyklistów jest pusty. Nie zauważyłem, kiedy wyszli. Domyślam się, że po gradzie ciosów uznali, że nic ciekawego już się nie zdarzy.

– No więc siedzę tam, gapiąc się przez przednią szybę. Umieram ze strachu, żeby oko, broń Boże, nie powędrowało mi na tył auta. Dobrze, że przynajmniej usiadła na tylnym siedzeniu, nie to co dzisiaj, że każda kobieta karmi piersią swobodnie na twoich oczach, gdzie tylko się ruszysz, łup! No pomyślcie, to wcale nie jest śmieszne: stoisz sobie z dziewczyną,

uważasz, że wygląda zupełnie normalnie, m o d e l o w o, jak to się mówi, ona trzyma dziecko na biodrze, nieważne, że dla ciebie wygląda, jakby miało osiem lat i już mu zarost kiełkuje…

Jego głos brzmi pusto, niemal bezbarwnie.

– Więc gawędzicie sobie oboje ot tak, o codziennych sprawach, powiedzmy o kwantowej teorii względności czy coś w tym stylu, gdy nagle, bez mrugnięcia okiem, ona wyciąga z rękawa pierś! Prawdziwą pierś! Z certyfikatem producenta! Wtyka dziecku do ust i dalej gada z tobą o elektromagnetycznym akceleratorze cząstek w Szwajcarii, nawiasem mówiąc, jak się przyłoży do niego ucho, to serio można usłyszeć, jak akcelerator wrzeszczy na te cząstki: no dawajcie, kolesie, nie ma czasu, zamykać otwory, obiboki!…

To jego pożegnanie. Czuję to w kościach. Wie, że ostatni raz opowiada te kawały. Kobieta, która zamierzała wyjść, ale zawróciła, opiera głowę na ręku, oczy ma zamglone. Jaka jest jej historia? Czy pewnej nocy poszła z nim do domu po którymś występie? A może jest córką, jednym z pięciorga dzieci, i po raz pierwszy słyszy jego historię?

A dwóch czarnych motocyklistów, nawiedza mnie zaskakująca myśl: czy i oni są w jakiś sposób z nim powiązani?

Przypominam sobie, co opowiedział nam wcześniej o tym, jak grał w szachy z chodzącymi po ulicach ludźmi. Każdy z nich miał wyznaczoną rolę, choć o tym nie wiedział. Kto wie, jaką skomplikowaną grę w szachy prowadzi tu dzisiaj wieczorem?

– Ta kobieta, jego siostra, nadal karmi dziecko i równocześnie słyszę, że jedną ręką szpera w torbie, mówiąc do mnie: – Na pewno cały dzień nic nie jadłeś, dzieciaku, wyciągnij rękę. – Wykręcam rękę do tyłu, ona podaje mi zapakowaną kanapkę, potem obrane jajko na twardo i zwitek gazety ze szczyptą soli do jajka. Wygląda na twardą babę, ale jej dłoń jest mięciutka od środka. – Jedz – mówi do mnie. – Jak mogli cię wyprawić w drogę o pustym żołądku?

Rzucam się na kanapkę z grubo krojoną smaczną kiełbasą i ostrym sosem pomidorowym, aż pali w ustach, super, od razu daje mi kopa

i stawia na nogi. Posypuję jajko solą i pożeram dwoma kęsami. Ona bez słowa podaje mi słone ciasteczka i wyjmuje z torby butelkę, wielką jak dla całej rodziny, taka z niej była Mary Poppins, słowo daję, i wręcza mi kubek oranżady. Jak jej się udaje robić to wszystko jedną ręką, nie jestem w stanie pojąć, jakim cudem potrafi równocześnie karmić swoje dziecko i mnie, tym bardziej nie rozumiem. – Ciasteczka są dość suche – mówi. – Zamocz je w oranżadzie. – Robię wszystko, jak każe.

Jego głos. Głos Dowalego – co się z nim dzieje? W ciągu ostatnich kilku minut trudno było odróżnić niewyraźnie wypowiadane słowa, a teraz sam głos stał się cienki i słabowity jak u dziecka.

– Kierowca, jej brat, też sięga ręką do tyłu, ona podaje mu ciastko. On znowu wyciąga rękę i znów to samo. Czuję, że robi to specjalnie, żeby ją rozśmieszyć, bo nie pozwoliła mu opowiadać kawałów. Jedziemy. Nie rozmawiamy. – Starczy tych ciastek – ona do niego, panując nad wszystkim. – Musisz trochę zostawić dla chłopca. – Ale on nie cofa ręki i na dodatek puszcza do mnie oko, z pełnymi ustami, ona znowu przytyka go w kark, on wrzeszczy „au!" i śmieje się. Ojciec stuka mnie w ten sposób w kark na koniec strzyżenia, zawsze na to czekam i jednocześnie się boję. Małe piekące klepnięcie po przetarciu watką ze spirytusem. Robi to czubkami palców, a potem szepcze mi do ucha, żeby klienci nie usłyszeli: – Piękne cięcie, *majn lebn*, moje życie. – A teraz j e j kolej. Dobre rzeczy o niej. O czym najlepiej teraz pomyśleć? Co najbardziej pomoże? I raptem boję się o niej myśleć. Nie wiem, wydaje mi się jakby bezbarwna. Co robię nie tak? Na siłę ją przywołuję. Ona nie chce przyjść. Szarpię mocno, przyciągam do siebie obiema rękami, ją też muszę mieć w głowie. Nie tylko jego. Nie ustępuj! Krzyczę na nią. Nie poddawaj się! Już niemal szlocham, kulę się całym ciałem do drzwi samochodu, żeby kierowca i jego siostra nie widzieli, i oto przychodzi, dzięki Bogu, już siedzi w kuchni ze stertą nylonów do cerowania. A ja siedzę obok i odrabiam lekcje, i wszystko jest jak zwykle, ona podnosi igłą oczko za oczkiem, co kilka oczek robi przerwę, zapomina o bożym świecie, spogląda w przestrzeń, nie widząc ani jego, ani mnie. O czym myśli, kiedy jest w takim stanie? Nigdy jej nie spytałem.

Tysiąc razy byłem z nią sam na sam i nigdy nie zapytałem. Co ja w ogóle wiem? Prawie nic. Jej rodzice byli bogaci, wiem to od ojca. Była wybitną uczennicą, grała na fortepianie, już zaczęto mówić o koncertach, ale to by było na tyle, Holokaust się skończył, kiedy miała dwadzieścia lat, przy czym sześć miesięcy wojny spędziła w pewnym pociągu, już wam opowiadałem. Pół roku ukrywało ją trzech polskich kolejarzy w małej pakamerze w pociągu, który jeździł na tej samej trasie w te i z powrotem. „Troszczyli się o mnie po kolei", powiedziała mi z gorzkim śmiechem, jakiego nigdy wcześniej nie słyszałem. Miałem chyba dwanaście lat, byliśmy sami w domu, wystawiałem dla niej spektakl, a ona nagle mi przerwała i opowiedziała to jednym tchem, usta przekręciły jej się na bok tak, że przez parę sekund nie mogła ich wyprostować. Po sześciu miesiącach zdecydowali, że mają jej dość, nie wiem dlaczego, co się stało pewnego pięknego dnia, kiedy dojechali na końcową stację, że te cholery wyrzuciły ją bez zahamowań prosto na rampę.

Mam mówić dalej? – pyta napiętym głosem. Gdzieniegdzie potakiwania.

– Nie pamiętam dokładnie kolejności, mnóstwo rzeczy miesza mi się w głowie, ale na przykład zawsze słyszę, w jaki sposób jego siostra na tylnym siedzeniu mówi do siebie po cichu: *„Allah yustur,* Boże uchowaj", i pamiętam, że on, znaczy kierowca, też wcześniej wypowiedział te słowa, a ja nie rozumiałem, o co chodzi, co oni mówią o mnie w swoim języku i co może oznaczać to, że oboje tak mówią. Zaczynam wyczuwać, że ona cały czas pracuje główką. Kombinuje. Przelatują jej jakieś myśli na mój temat, lecz nie wiem, co może sobie myśleć. Wcześniej, kiedy stała koło samochodu i patrzyła, widziałem na jej czole dwie ciemne, głębokie bruzdy. Wciskam się jeszcze głębiej w fotel, żeby zniknąć jej z oczu. Cały czas słyszę, jak dziecko ssie i raz po raz wzdycha jak stary człowiek, co dodatkowo mnie stresuje. Pilnują go, dbają o nie, troszczą się, więc czemu wzdycha? I ni stąd, ni zowąd siostra kierowcy mówi: – A co robi twój tata?

– Ma zakład fryzjerski – odpowiadam bez zastanowienia. – Razem ze wspólnikiem. – Nie wiem, po jakiego diabła wyskoczyłem z tym wspólnikiem. Głupi jestem. Jeszcze chwila, a powiedziałbym, że ojciec

naśmiewa się ze wspólnika, który podkochuje się w mamie, i machając mu nożyczkami tuż przed nosem, pokazuje, co zrobi, jeśli ich razem przyłapie.

– A mama? – pyta.

– Co mama? – mówię, ale jestem już ostrożniejszy.

– Ona też pracuje w zakładzie?

– Jasne, że nie – mówię. – Pracuje w Taas, przy sortowaniu amunicji. – Nagle wyczuwam, że ona gra ze mną w szachy, każde z nas wykonuje jeden ruch i czeka, żeby zobaczyć, co zrobi to drugie.

– Nie wiedziałam, że w Taas są kobiety – mówi.

– Są – mówię.

Ona nic nie mówi. Więc ja też. Potem pyta, czy chcę jeszcze jedno ciastko. Zaczynam myśleć, że może to ciastko też jest ruchem na szachownicy i lepiej, żebym nie brał, a jednak biorę i natychmiast czuję, że to błąd. Nie wiem dlaczego, ale błąd.

– Jedz, jedz – mówi, bardzo z siebie zadowolona.

Wkładam ciastko do ust, nadgryzam i zbiera mi się na wymioty.

– A masz jakieś rodzeństwo? – pyta.

Za oknem, nawiasem mówiąc, już od dłuższego czasu nie ma pustyni. Są zielone pola i zwyczajne samochody, cywilne, a nie wojskowe. Usiłuję odgadnąć po znakach drogowych, ile jeszcze czasu zostało do Jerozolimy, ale wszystkie drogi poza miastem to coś, czego w ogóle nie znam, więc nie jestem w stanie stwierdzić, czy mam jeszcze godzinę, czy pół, czy może trzy, a nie chcę pytać. Kanapka i jajko odbijają mi się cały czas razem z ciastkami.

Pozwólcie, że opowiem wam kawał – prosi Dowale znużonym głosem, jakby chciał powiedzieć: pilnie potrzebuję kawału, jakiegoś dowcipu dla osłody. Ale dwie kobiety przy dwóch różnych stolikach krzyczą niemal jednogłośnie: – Opowiadaj dalej! – I natychmiast spoglądają na siebie zażenowane, a jedna z nich zerka z ukosa na swojego partnera. Dowale wzdycha, przeciąga się, pstryka palcami, bierze głęboki oddech.

– A potem ona, siostra kierowcy, rzuca do mnie ot tak, jakby nigdy nic: – A jak ci jest z tatą? Dogadujecie się jakoś?

Pamiętam, że żołądek od razu wywrócił mi się do góry nogami. I że momentalnie wyciąłem się z tego obrazka. Nie ma mnie tam. Nigdzie mnie nie ma. Nie wolno mi być w żadnym miejscu. Zrozumcie dobrze, otwórzcie na chwilę nawias, znam tysiąc sztuczek, żeby nie być, jestem mistrzem świata w niebyciu, aż tu nagle żadnej ze sztuczek nie potrafię sobie przypomnieć. Wcale nie żartuję: kiedy on spuszczał mi lanie, ćwiczyłem sobie zatrzymanie pulsu, schodzenie do dwudziestu albo trzydziestu uderzeń na minutę, jakbym był w stanie hibernacji, do tego dążyłem, to było moje marzenie, oprócz tego trenowałem też, możecie się ze mnie śmiać, rozprowadzanie bólu z miejsca uderzenia do innych części ciała, żeby go równo na wszystkie podzielić, dokonać sprawiedliwej dystrybucji zasobów. W środku lania wyobrażałem sobie kolumnę mrówek zbierających ból z mojej twarzy albo brzucha, a po kilku sekundach mrówki kruszyły go na drobno i przenosiły okruszki do mniej wrażliwych miejsc.

Kołysze się lekko w przód i w tył, zapada się w siebie. Światło padające z góry owija go gęstniejącą zasłoną. Ale potem Dowale otwiera oczy i rzuca długie spojrzenie malutkiej kobiecie, po czym – o właśnie, znów to robi – przenosi wzrok na mnie, takim samym wyważonym gestem, jakim zapala płomyk jednej świeczki od drugiej. Nadal nie rozumiem, co chce przez to powiedzieć czy też o co prosi, co powinienem wziąć dla siebie od tej kobiety, ale wyczuwam, że on potrzebuje mojej aprobaty, więc potwierdzam oczami, że on, ona i ja zawiązujemy tutaj potrójne przymierze, którego sens być może kiedyś zrozumiem.

– Ale jego siostra jest taka jak on. Nie poddaje się. – Nie dosłyszałam – mówi, kładąc dłoń na moim ramieniu. – Co powiedziałeś? – Mocno chwytam za klamkę u drzwi. Po co do cholery kładzie na mnie rękę? Na co te wszystkie pytania? Może kierowca jednak coś wie i jej powiedział? Mój mózg zaczyna pracować na najwyższych obrotach: Jak długo spałem w samochodzie na podwórku, zanim mnie obudzili? W tym czasie ona zrobiła kanapki i jajka na twardo, i napoje, a on być może stał koło niej w kuchni i wszystko jej opowiedział? Nawet rzeczy, o których nie wiem? Znowu chwytają mnie mdłości. Jeśli otworzę teraz drzwi, to mogę poturlać

się po drodze, trochę się poobijam, ale wstanę i ucieknę w pole, nie znajdą mnie przed końcem pogrzebu, a wtedy będzie już po wszystkim, a zresztą, kto powiedział, że mam cokolwiek robić i skąd w ogóle pomysł, że niby wszystko zależy ode mnie? – Tak, w porządku – mówię do niej. – Jakoś się dogadujemy, ale z mamą lepiej…

Choćbyście mnie mieli zabić, nie wiem, czemu te słowa mi się wymsknęły. Nigdy nikomu na świecie nie opowiadałem, co dzieje się u nas w domu, przenigdy, nawet dzieciaki w klasie, nawet moi najlepsi kumple nie usłyszeli ode mnie ani słowa, więc czemu do cholery wylewam z siebie wszystko przed obcym człowiekiem? Przed kobietą, której nie znam nawet z imienia. A tak w ogóle, co ją obchodzi, z kim ja się dogaduję, a z kim nie za bardzo? Czuję się okropnie. Robi mi się ciemno przed oczami. Zaczynam myśleć, tylko się nie śmiejcie, że może w tych jej ciastkach jest jakaś substancja, która sprawia, że zaczynasz zeznawać jak na policyjnym przesłuchaniu, aż w końcu wszystko wyśpiewasz.

Na jego twarzy maluje się lunatyczna groza: on jest tam. Całym sobą.

– Kierowca mówi do niej cichym głosem: – Zostaw go w spokoju, może nie ma ochoty teraz o tym rozmawiać. – Jasne, że ma – ona na to. – A co byś chciał, że niby o czym ma w takiej chwili rozmawiać? O Murzynach z Afryki? O twoich kretyńskich kawałach? Prawda, chłopcze, że chcesz o tym porozmawiać? – I znowu pochyla się ku mnie, i znów kładzie dłoń na moim ramieniu, a ja wyczuwam zapach, który… Nie pamiętam, skąd go znam, jakiś słodki zapach dochodzi do mnie z jej strony, może to od niemowlęcia, więc wdycham go głęboko i odpowiadam, że tak.

– A nie mówiłam – zwraca się do kierowcy i szarpie go mocno za ucho. On krzyczy „aj!” i łapie się za to nieszczęsne ucho. Pamiętam, jak wtedy pomyślałem, że chociaż tak się ze sobą droczą, od razu widać, że są bratem i siostrą, i do dupy jest niepodobne, że ja nie mam rodzeństwa. Druga rzecz, jaka cały czas chodzi mi po głowie, to myśl, że ona znała tamtego brata, który zginął, a kierowca nigdy go nie poznał. Ciekawe, jak jej się udaje znaleźć w mózgu miejsce dla nich obu?

Zatrzymuje się i patrzy na malutką kobietę. Ona nieustannie ziewa, podpierając głowę obiema rękami, lecz oczy ma szeroko otwarte ku niemu, z chęcią i zaangażowaniem. On podchodzi i siada na skraju sceny, bujając nogami. Krew, która pociekła mu z nosa, zakrzepła na ustach i na podbródku, malując dwie smugi na podkoszulku.

– Nagle wszystko mi się przypomniało. To jest najbardziej niesamowite w całym dzisiejszym wieczorze. Chcę, żebyście wiedzieli. Zrobiliście dziś dla mnie wielką rzecz przez to, że zostaliście. Wszystko raptem pamiętam, nie jak we śnie, ale jakby się działo teraz, w tej chwili. Pamiętam, na przykład, że siedząc w samochodzie, myślałem, że aż do przyjazdu na miejsce muszę zachowywać się jak zwierzę, które nic nie rozumie z życia człowieka. Być małpą albo strusiem, albo muchą, byleby niczego nie rozumieć z rozmów ludzi ani ich poczynań. I nie myśleć. Najważniejsze teraz to nie myśleć o nikim i niczego ani nikogo nie chcieć. A może mimo wszystko wolno mi pomyśleć o jakichś dobrych rzeczach? Ale co teraz uznać za dobre rzeczy? Dobre dla niego? Dobre dla niej? Śmiertelny strach mnie ogarnia, że mógłbym popełnić choćby najmniejszy błąd.

Z wielkim trudem udaje mu się wykrzesać krzywy uśmiech. Jego górna warga jest mocno opuchnięta, a mowa staje się coraz bardziej bełkotliwa i chwilami mam wrażenie, że mówi do wewnątrz, do środka siebie.

– Na czym stanąłem… – mruczy. – Na czym to ja stanąłem.

Nikt mu nie odpowiada. Wzdycha więc i kontynuuje:

– Na przykład, raptem wpadam na pomysł, żeby myśleć o jajku na miękko. Nie patrzcie tak na mnie. Gdy byłem mały, nie znosiłem jajek na miękko, brzydziła mnie ta rozlazła maź, a oni oboje się gniewali, nalegali, że muszę zjeść, że wszystkie witaminy są w tej miękkiej mazi, i podnosiły się wrzaski, sypały szturchańce. W sprawach jedzenia, nawiasem mówiąc, ona też potrafiła nieźle przyłożyć. Na koniec, kiedy nic nie pomagało, mówili, że jeśli natychmiast nie zjem, to wyjdą z domu i już nigdy nie wrócą. Ja jednak nadal nie trącałem jajka nawet nosem. Więc wkładali płaszcze i trzymając w rękach klucze, mówili mi w drzwiach do widzenia. A ja, choćbym nie wiem jak bardzo się bał, wciąż nie jadłem. Nie mam

pojęcia, skąd brałem tyle odwagi, żeby im się sprzeciwić, na dodatek wykłócałem się z nimi, grałem na zwłokę, a w rzeczywistości chciałem, żeby tak zostało na zawsze, żeby stali obok siebie i mówili do mnie to samo…

Dowale uśmiecha się do siebie. Odnoszę wrażenie, że kurczy się i zanika, tylko nogi dyndają w powietrzu.

– No więc myślę sobie o jajku na miękko: że chyba właśnie jajko powinienem sobie wyobrażać, nieustannie, ciągle, bez przerwy, dopóki nie dojedziemy na miejsce, jak film z happy endem. Przypadkiem zerkam w tylne lusterko nad głową kierowcy i widzę, że oczy jego siostry znowu są pełne łez. Siedzi i cichutko płacze. I wtedy naprawdę wszystko we mnie wzbiera za jednym zamachem, kiełbasa i ciasteczka. Krzyczę więc do kierowcy, żeby się zatrzymał, teraz! Wyskakuję z auta i rzygam jak kot na przednie koło. Wypluwam wszystko, czym mnie nakarmiła, jeszcze i jeszcze trochę. Mama zawsze podtrzymuje mi głowę, kiedy wymiotuję. Pierwszy raz w życiu rzygam sam.

Dotyka lekko czoła. Niektórzy widzowie też bezwiednie unoszą ręce, żeby dotknąć swoich czół. Ja również. Następuje chwila osobliwej ciszy. Ludzie zatapiają się we własnych myślach. Moje palce delikatnie przesuwają się po czole. Nie jest dla mnie łatwy ten dotyk. W ostatnich latach zacząłem szybko tracić włosy, pojawiły się zmarszczki. Głębokie bruzdy. Jakby ktoś tatuował mi czoło od wewnątrz, jakby rył dłutem linie proste, romby i kwadraty. „Czoło bodącego wołu”, powiedziałaby Tamara, gdyby to zobaczyła.

– Chodźcie, chodźcie ze mną – mówi, wybudzając nas łagodnie z chwili zamyślenia. – Chodźcie, wsiadam z powrotem do samochodu. Ona wręcza mi czystą pieluchę, każe mi wytrzeć twarz. Pielucha jest świeżo wyprana. Przyjemnie pachnie. Przykładam ją do twarzy niczym opatrunek. – Kładzie sobie dłonie na twarz. – Teraz jej kolej. Zbyt długo zostawiłem ją samą. Dobre rzeczy, dobre rzeczy o niej. Jak wciera sobie w dłonie krem „Anuga” i cały dom napełnia się zapachem, jej długie palce, i to, jak dotyka swojego policzka, kiedy się zamyśla albo czyta. Jak zawsze trzyma ręce złożone

jedna w drugiej, żeby nie było widać szwów, które jej założyli. Nawet przy mnie uważała, dlatego nigdy nie byłem w stanie policzyć, czy ma sześć blizn, czy siedem. Raz wychodziło mi sześć, a raz siedem. Teraz jego kolej. Nie, jeszcze raz jej. To jest pilniejsze. Co chwila mi zanika. Nie ma ani krztyny koloru w całym ciele. Teraz jest całkiem biała, jakby nie miała w sobie kropli krwi. Jakby już się poddała, może straciła we mnie wiarę, bo nie myślałem o niej dość mocno. Czemu nie myślę mocniej. Dlaczego jest mi tak trudno przywołać jej wizerunek? Chcę, jasne, że chcę, przyjdź…

Milknie. Głowę trzyma prosto, wzrok ma udręczony. Ciemna postać wypływa z jego wnętrza na twarz i otwiera szeroko usta, nabiera powietrza, a potem znów nurkuje do środka. Dosłownie w tym momencie dojrzewa we mnie myśl, pragnienie, żeby przeczytał to, co zamierzam napisać o dzisiejszym wieczorze. Żeby zdążył przeczytać. Żeby to poszło z nim t a m. Żeby na jakiejś drodze, której nie pojmuję i nawet w nią nie wierzę, słowa, które napiszę, w jakiś sposób istniały, także tam.

– A ile było z nią zawsze wstydu, ile kłopotów – mamrocze. – Krzyki w nocy, płacz przy oknie, aż cała dzielnica się budziła. Tego wam w ogóle nie opowiedziałem, ale to też należy wziąć pod uwagę, to także trzeba rozważyć, zanim wydamy jakiś werdykt. Zacząłem rozumieć w dość młodym wieku, że ona jest dla mnie najlepsza, kiedy przebywa w domu, gdy jest zamknięta ze mną w środku, tylko ja i ona, nasze rozmowy, nasze przedstawienia, książki, które tłumaczyła mi z polskiego i streszczała. Czytała mi Kafkę dla dzieci, Odyseusza i Raskolnikowa… – Śmieje się bezgłośnie. – Przed snem opowiadała mi o Hansie Castorpie, Michaelu Kohlhaasie i Aloszy, o wszystkich tych skarbach, dopasowywała je do mojego wieku albo wręcz przeciwnie, wcale ich nie dostosowywała, ale najtrudniej było wtedy, gdy wychodziła z domu. Gdy tylko zbliżała się do drzwi albo do okna, natychmiast budziła się we mnie czujność, dosłownie dostawałem palpitacji serca i niewiarygodnego ucisku tutaj, w brzuchu…

Kładzie rękę na brzuchu. W tym drobnym geście jest tęsknota.

– Co tu dużo gadać, głowa mi od nich pękała, od nich obojga razem wziętych. Ona też, bo nagle, wreszcie się we mnie obudziła, chyba

zrozumiała, że czas się kończy, że niedługo dojadę na miejsce i to ostatnia szansa, żeby na mnie jakoś wpłynąć, więc szybko, szybko, zaczęła krzyczeć, błagać, przypominać mi różne rzeczy, już nie pamiętam, co to było, a wtedy on przypomniał mi ich jeszcze więcej. Przy każdej rzeczy, którą ona wypowiadała, on wyskakiwał z dwiema, więc ona ciągnęła mnie w tę stronę, a on w tamtą i z każdą chwilą, w miarę jak zbliżaliśmy się do Jerozolimy, oboje byli coraz bardziej obłąkani.

Zatkać, zamknąć – mruczy gorączkowo. – Zamknąć wszystkie otwory w ciele. Kiedy zamykam oczy, oni wchodzą mi przez uszy, kiedy zamykam usta, włażą przez nos, pchają się, krzyczą, doprowadzają do szaleństwa, zachowują się jak małe dzieci, wrzeszczą do mnie, płaczą: ja, ja, wybierz mnie!

Prawie nie sposób dosłyszeć, co mówi. Wstaję z krzesła i przenoszę się do stolika bliżej sceny. To dziwne widzieć go z tak bliska. Przez chwilę, kiedy unosi głowę i patrzy na reflektor w górze, powstaje optyczne złudzenie. Pięćdziesięciosiedmioletni chłopiec odbija się w czternastoletnim starcu.

– I nagle, przysięgam, że to nie żaden omam, słyszę, jak niemowlę mówi coś koło mojego ucha. Tyle że nie gada jak dziecko, lecz jak ktoś w moim wieku, nawet starszy ode mnie, i mówi mi z wielką rozwagą: – Teraz naprawdę musisz się zdecydować, chłopcze, bo niedługo dojedziemy. – A ja myślę: niemożliwe, że coś takiego usłyszałem, i nie daj Boże, żeby kierowca i jego siostra usłyszeli, nie wolno czegoś takiego nawet pomyśleć, Bóg może za coś takiego zabić. Zaczynam krzyczeć: – Może zatkacie mu buzię! Zatkajcie mu wreszcie gębę! – I stało się cicho, kierowca i jego siostra milczą, jakby się mnie bali albo coś, a wtedy dziecko wydaje z siebie krzyk, ale jest to krzyk normalnego dziecka.

Bierze jeszcze jeden łyk i odwraca termos do góry dnem. Krople kapią na podłogę. Daje menedżerowi znak, a ten z kwaśną miną podchodzi do skraju sceny i dolewa mu z butelki gato negro. Dowale nalega, by nalał więcej. Niewielka grupka siedzących przy barze, ludzi z Petach Tikwa, jego wiernych fanów, korzysta z chwili nieuwagi, żeby pospiesznie się

wymknąć. Wydaje mi się, że on tego nie widział. Z kuchni wychodzi śniady chłopak w podkoszulku, opiera się o pusty bar i patrzy na niego, paląc papierosa.

Podczas tej ciszy kobieta o srebrnych włosach, z okularami w cieniutkich oprawkach, napotyka mój wzrok. Nasze spojrzenia przeplatają się na długą i dość zaskakującą chwilę.

– Przyjaciele i przyjaciółki, może wiecie, dlaczego opowiadam wam dzisiaj tę historię? Jak to się w ogóle stało, że do tego doszło? – Oddycha ciężko, jego twarz płonie nienaturalnym rumieńcem. – Niedługo będzie po wszystkim, nie martwcie się, już widać światełko w tunelu.

Zdejmuje okulary i patrzy na mnie z oddali, jakby przypominał mi swoje życzenie: takie coś, co wychodzi z człowieka niekontrolowanie – chciałbym, żebyś właśnie to mi opowiedział. Nie sposób tego wyrazić słowami, zdaję sobie sprawę, na tym polega cały problem. I pyta oczami: Ale czy mimo wszystko sądzisz, że wszyscy to widzą? Kiwam głową: Tak. On na to: A czy sam człowiek wie, czym jest to jego niepowtarzalne, jedyne w swoim rodzaju coś? A ja myślę: Tak. Tak, w głębi serca wie.

– Kierowca zawiózł mnie do domu, do Romemy, ale gdy wysiadłem z pick-upu, sąsiadka krzyknęła z okna: – Dowale, co ty tu robisz? Jedź prędko na cmentarz na Giwat Szaul, może jeszcze zdążysz!

Pognaliśmy z Romemy na Giwat Szaul, to niedaleko, może piętnaście minut. Szalona jazda, bez hamulców, bez stawania na światłach. Pamiętam, że w aucie było cicho. Nikt nie wypowiedział ani słowa. A ja…

Milknie. Bierze głęboki oddech.

– …w swoim sercu, w swoim czarnym sercu zacząłem robić kalkulacje. Tak to było. Nastał czas obrachunku. Mojego małego śmierdzącego obrachunku.

Znowu cichnie, coraz głębiej zapada się w siebie.

Kiedy wypływa stamtąd na wierzch, jest twardy i zaciśnięty jak pięść.

– Skurwysyn ze mnie, zapamiętajcie sobie. Zanotuj to, wysoki sądzie, i weź pod uwagę przy wydawaniu wyroku. Tak… Teraz patrzycie na mnie i widzicie miłego faceta, wesołego i zabawnego, beczkę śmiechu. Ale ja od

tamtego czasu po dziś dzień zawsze byłem tylko czternastoletnim skurwysynkiem, z gównianą duszą, który siedzi w tamtym aucie i robi swój śmierdzący obrachunek, a jest to najbardziej pojebana i najbardziej pokrętna kalkulacja, jaką człowiek mógłby zrobić w życiu. Nie uwierzycie, co tam włączyłem. Najdrobniejsze, najbardziej obrzydliwe rzeczy włączyłem podczas tych kilku minut, kiedy jechaliśmy z domu na cmentarz. Małostkowy rachuneczek wystawiłem tam jej, jemu, mojemu życiu i ich życiu, wszystkiemu do kupy.

Twarz ma wykrzywioną, jakby ktoś go wyżymał żelazną ręką.

– Prawda jest taka, że do tamtej pory nawet nie wiedziałem, jaki ze mnie megaskurwysyn, nie zdawałem sobie sprawy, jaki syf miałem w środku, dopóki nie stałem się totalnym syfem, od góry do dołu, i nie dowiedziałem się, czym jest człowiek i ile jest wart. W kilka minut wszystko pojąłem, dotarło do mnie, obrachowałem, mój mózg w pół sekundy przeprowadził obliczenia, tu plus, a tam minus i kolejny minus, i jeszcze jeden, i koniec kropka, zaklepane na całe życie, nie schodzi jak plama i nigdy nie zejdzie.

Jego ręce chwytają jedna za drugą, wykręcają się nawzajem. W ciszy, jaka zapada, zmuszam się, żeby sobie przypomnieć, a przynajmniej wydedukować, gdzie byłem w tamtym czasie, o czwartej po południu, kiedy wojskowe auto dojeżdżało do cmentarza. Może wracałem z oddziałem ze strzelnicy? Może mieliśmy akurat musztrę na placu apelowym? Muszę koniecznie zrozumieć, jak to się stało rankiem tamtego dnia, gdy zobaczyłem, że on wychodzi z namiotu, dźwigając plecak, i sunie za starszym sierżantem do pick-upu, jak to się stało, że nie wstałem i nie pobiegłem za nim. Powinienem był podbiec, odprowadzić go do samochodu, zapytać, co się wydarzyło. Przecież byłem jego przyjacielem, prawda?

– Kierowca frunął, całym ciałem napierając na kierownicę. Blady był jak tynk na ścianie. Ludzie w samochodach obok gapili się na mnie. Gapili się też przechodnie na ulicy. Widziałem, że wszyscy świetnie wiedzą, dokąd jadę i co się dzieje w moim sercu. Skąd wiedzieli? Przecież ja sam jeszcze

nie wiedziałem, z pewnością nie do końca, bo cały czas prowadziłem swój obrachunek, co chwila przypominałem sobie jakąś rzecz i jeszcze jedną i dorzucałem ją do swojej pierdolonej listy, do swojej selekcji: w prawo, w lewo, w lewo, w lewo…

Śmieje się przepraszająco. Powstrzymuje ręką szarpnięcia głowy.

– Bij, zabij nie rozumiałem, skąd oni wszyscy na ulicy wiedzieli przede mną, co postanowiłem i jakie ze mnie wielkie gówno. Pamiętam pewnego staruszka, który splunął na chodnik, gdy przejeżdżaliśmy koło niego, i pobożnego chłopaka z pejsami, który dosłownie zwiał na mój widok, kiedy kierowca zatrzymał się, żeby zapytać, jak dojechać na Giwat Szaul. I kobietę, która szła z małym chłopcem i odwróciła mu głowę, żeby na mnie nie patrzył. Wszystko to były znaki.

Pamiętam też, że kierowca przez całą drogę na cmentarz nie patrzył mi w oczy, nawet połową gęby się do mnie nie odwrócił. Jego siostra jakby całkiem zniknęła, nie słyszałem, czy w ogóle oddycha. Niemowlę też. I właśnie z powodu niemowlęcia, które nagle ucichło, zacząłem się zastanawiać, co jest grane, co zrobiłem i dlaczego wszyscy tak się zachowują.

Bo już zrozumiałem, że coś złego działo się na ostatnim etapie drogi, z mojego domu do tego miejsca, a może nawet od chwili, gdy opuściłem Beer Ora. Ale co? Co się stało? I czego oni wszyscy ode mnie chcą? Przecież u mnie to tylko myśli, po prostu muchy brzęczą w głowie, od myśli nic nie może się stać, nikt nie ma kontroli nad swoimi myślami, nie da się zatrzymać mózgu ani powiedzieć mu, żeby myślał tylko to albo tylko tamto. Zgadza się?

W sali cisza. On nie podnosi głowy, żeby na nas popatrzeć.

Jakby wciąż bał się odpowiedzi.

– Nie rozumiałem, ni w ząb nie rozumiałem, a nie było kogo zapytać. Byłem sam i z tego wszystkiego zagnieździła się w mojej głowie nowa myśl, że prawdopodobnie to już koniec, najwyraźniej klamka zapadła, wydałem wyrok.

Znów wyciąga ręce w górę, potem w dół i na boki, szukając sposobu na złapanie oddechu. Nie patrzy na mnie, ale czuję, że teraz, chyba bardziej niż w jakimkolwiek innym momencie tego wieczoru, prosi, żebym go obejrzał.

– Naprawdę nie wiedziałem, jakim cudem stało się tak, jak ja zdecydowałem. Natychmiast spróbowałem odwrócić to, co wcześniej pomyślałem, słowo honoru, przysięgam, no bo jak to, do jasnej cholery? Po jaką cholerę ostatecznie podjąłem taką właśnie decyzję? Cały czas szykowałem się na coś zupełnie innego, przez całe życie miałem coś innego, bez żadnego zastanawiania, kto by w ogóle myślał o takich sprawach? – Głos mu się załamuje, przechodząc w spanikowany krzyk. – Więc czemu do cholery tak to teraz wyszło? Dlaczego w ostatniej chwili zrobiłem woltę i zdecydowałem odwrotnie, niż naprawdę chciałem? Czemu całe moje życie wywróciło się do góry nogami w jednej sekundzie z powodu głupich myśli durnego dziecka…

Zapada się w fotel.

– Tamtych parę chwil – mruczy – cała ta podróż i cały ten pierdolony obrachunek… – Powoli obraca dłonie, ogląda je z ciekawością i ze zdumieniem uosabiającym całe życie. – Ależ się tam zbrukałem, takie skalanie, mój Boże, do szpiku kości…

*

Gdybym wtedy wstał z piasku i podbiegł do niego, zanim wsiadł do auta. Mimo że działo się to w środku ćwiczeń. Mimo że był z nim starszy sierżant i zapewne nawrzeszczałby na mnie. Mimo że nie mam wątpliwości – i najprawdopodobniej wówczas też nie miałem – że potem wszyscy by mnie tam wyśmiewali, zrobiliby ze mnie chłopca do bicia. Zamiast niego.

*

Dowale trzyma głowę w dłoniach, ściskając skronie. Nie wiem, o czym teraz myśli, ale ja podnoszę się z piasku i biegnę do niego. Nagle przypominam sobie tamto miejsce bardzo wyraźnie. Ścieżka wyłożona bielonymi kamieniami. Plac apelowy z flagą. Duże wojskowe namioty. Baraki. Starszy sierżant krzyczy na mnie, wygraża. Ja go ignoruję. Doganiam Dowalego i kroczę u jego boku. Zauważa mnie i sunie dalej przygnieciony ciężarem plecaka. Wygląda na oszołomionego. Wyciągam rękę i dotykam jego ramienia, on przystaje i patrzy na mnie. Może próbuje zrozumieć, czego chcę po tym wszystkim, co się tutaj wyprawiało. Jak wygląda teraz sytuacja między nami. Pytam go: Co się stało? Gdzie cię zabierają? Wtedy on wzrusza ramionami, spogląda na starszego sierżanta i pyta go, co się stało. A starszy sierżant mu odpowiada.

A jeśli nie odpowiada, to ja znów pytam Dowalego.

A on pyta starszego sierżanta.

I robimy tak dopóty, dopóki nie powie.

*

– Czasami myślę – ciągnie on – że zbrukanie z powodu tamtego obrachunku nie wyparowało z mojej krwi do dziś. I że nie może wyparować. Bo niby jak? Ten rodzaj brudu… – szuka właściwego słowa, palcami wychwytuje je z powietrza – …jest radioaktywny, tak, to mój ściśle prywatny Czarnobyl. Jedna chwila, która wystarczyła na całe życie, do dziś zatruwa mi wszystko, każdą rzecz, do której się zbliżę. Każdą osobę, której dotknę.

W sali cisza jak makiem zasiał.

– Albo poślubiam. Albo płodzę.

Odwracam się i zerkam na dziewczynę, która zamierzała wyjść, ale się rozmyśliła. Płacze bezgłośnie prosto w złożone dłonie. Ramiona jej drżą.

– Mów dalej – szepcze krzepka kobieta o bujnych kręconych włosach.

On odwraca mgliste spojrzenie w kierunku głosu, ze znużeniem kiwa głową. I dopiero teraz zdaję sobie sprawę z czegoś nieocenionego: że przez

cały wieczór nie uczynił najmniejszej aluzji do tego, że byłem tam z nim, na obozie. Nie wydał mnie.

– Co tu gadać. Dojechaliśmy pick-upem na Giwat Szaul, a tam fabryka, taśma produkcyjna, trzy pogrzeby na godzinę, rach-ciach, ciach, idź i znajdź ten właściwy. Zaparkowaliśmy na chodniku, kobietę z niemowlęciem zostawiliśmy w środku, a ja i kierowca ruszyliśmy dzikim pędem, biegając to tu, to tam, to siam.

Nie zapominajcie, że to mój pierwszy pogrzeb, nawet nie wiedziałem, gdzie szukać i czego szukać ani gdzie powinien znajdować się zmarły, z której strony nagle się na niego natknę i czy będzie widoczny, czy raczej czymś zasłonięty. Widziałem ludzi stojących dookoła w grupkach, każda grupka w innym miejscu, lecz nie wiedziałem, na co czekają i kto kieruje tym, co się tutaj robi.

Potem ujrzałem w oddali pewnego rudego Bułgara, dostawcę kremów i szamponów, wiedziałem, że pracuje z moim ojcem, a obok niego kobietę, która pracowała w Taas, kierowniczkę zmiany, mama śmiertelnie jej się bała, a tuż za nimi dostrzegłem Silviu, wspólnika ojca, z bukietem kwiatów w ręku.

Powiedziałem kierowcy, że dotarliśmy gdzie trzeba, a on przystanął, zachowując pewien dystans, i powiedział coś w stylu: „Bądź dzielny, chłopaku". Mnie zaś, prawdę mówiąc, ciężko było się z nim rozstać, nawet nie wiem, jak się nazywa. Jeśli przypadkiem jest dziś w tej sali, to niech podniesie rękę, dostanie drinka na koszt firmy, no?

Sądząc po wytężonym, upartym spojrzeniu, jakim ogarnia widownię, można by sądzić, że naprawdę naiwnie wierzy, że istnieje taka możliwość.

– Gdzie jesteś? – chichocze. – Gdzie jesteś, mój stróżu niewiniątek, który opowiadałeś mi kawały przez całą drogę i nakłamałeś, że jedziesz na konkurs dowcipów. Sprawdziłem niedawno, bo jestem w trakcie porządkowania teczek, sprzątania biurka po sobie, że się tak wyrażę. Poszperałem tu, popytałem tam, wygooglowałem, szukałem nawet w starych numerach „Ba-Machane" z tamtych czasów. Taka sprawa nigdy się nie wydarzyła, wojsko nie urządzało żadnego konkursu opowiadania

kawałów, on po prostu zmyślił to dla mnie, podstępny Kawalarz, bo chciał mi nieco ulżyć. Gdzie jesteś, mój zacny człowieku?...

Teraz zostańcie ze mną, nie puszczajcie mojej ręki ani na sekundę. Kierowca wrócił do samochodu, a ja poszedłem do ludzi, którzy tam stali. Pamiętam, że kroczyłem powoli, jakbym stąpał po tłuczonym szkle, i tylko oczy biegały mi jak szalone. Oto sąsiadka z naszego bloku, która zawsze się z nami kłóciła, bo nasze pranie, wszystkie rozwieszane do suszenia szmaty kapały na jej pranie. A teraz jest tutaj. Oto lekarz, który zawsze stawia ojcu bańki, jak ma wysokie ciśnienie; jest też kobieta z tego samego miasteczka co mama, która przynosi jej książki po polsku, słowem tu pan taki, tam pani owaka.

Chyba ze dwadzieścia osób się zeszło. Nie wiedziałem, że znamy aż tylu ludzi. Na osiedlu mało kto z nami rozmawiał. Może byli klientami zakładu fryzjerskiego? Nie wiem. Nie podszedłem do nich. Nie widziałem tam ani jego, ani jej. Nagle parę osób mnie zauważyło, wskazywali palcami i szeptali między sobą. Upuściłem plecak na ziemię. Nie miałem siły, żeby dalej cokolwiek dźwigać.

Obejmuje się rękami.

– Nagle podchodzi do mnie wysoki facet z brodą jak czarna miotła, z bractwa pogrzebowego, i mówi: – To ty jesteś sierotą? Sierotą od Grinsztajnów? Gdzie byłeś? Tylko na ciebie czekamy! – I łapie mnie mocno za rękę, jakby chciał ją udusić, ciągnie za sobą, a po drodze przykleja mi na głowie tekturową jarmułkę.

Dowale patrzy na mnie, chwyta i przytrzymuje moje spojrzenie. A ja daję mu wszystko, co mam, i wszystko, czego nie mam.

– Zawlókł mnie do kamiennego budynku, wprowadził do środka. Nie patrzyłem. Zamknąłem oczy. Myślałem, że może będzie tam ojciec albo mama, że czekają na mnie. Zawołają mnie po imieniu. Jej głosem albo jego. Ale nic nie usłyszałem. Otworzyłem oczy. Ich tam nie było. Tylko jakiś religijny chłopak, grubasek, z podwiniętymi rękawami i łopatą w ręku przemknął pospiesznie bokiem. Ten z brodą pociągnął mnie dalej, przeszliśmy przez jakąś salę, minęliśmy kolejne drzwi. Znalazłem się

w mniejszym pomieszczeniu z wielkimi zlewozmywakami pod ścianą, dostrzegłem też wiadro i kilka mokrych ręczników albo prześcieradeł. I długi wózek, a na nim ułożony jakby pakunek, owinięty w białą tkaninę, i wtedy zdałem sobie sprawę, że to tu, że na wózku leży człowiek, a tymczasem facet mówi do mnie: – Proś o przebaczenie. – A ja…

Dowale pochyla głowę na pierś, obejmując się jeszcze ciaśniej.

– …ja ani drgnąłem, więc tamten wpycha mi z tyłu palec w ramię: – Proś o przebaczenie – powtarza. A ja pytam: – Kogo? – Nie spojrzałem w tamtą stronę, tyle że raptem przemknęło mi przez myśl, że w gruncie rzeczy pakunek nie jest długi, więc może to jednak nie ona, to nie ona. Może po prostu się przestraszyłem. Umysł zwyczajnie płata mi figle. I poczułem się tak szczęśliwy jak nigdy w życiu: ani przedtem, ani potem. To była dzika radość, jakbym ja sam został w tym momencie uratowany od śmierci. A tamten znów szturchnął mnie w ramię: – No, proś o wybaczenie. – Więc znowu spytałem: – Ale kogo? – Dopiero wtedy go olśniło i przestał dźgać mnie palcem: – Nie wiesz? – Powiedziałem, że nie. Wpadł w panikę: – Nie powiedzieli ci? – Ja znowu, że nie. Schylił się nisko, aż zobaczyłem przed sobą jego oczy, i powiedział bardzo cicho i delikatnie: – Przecież to jest twoja matka.

Czy pamiętam, co było potem? Pamiętam, pamiętam… Wolałbym tak bardzo nie pamiętać, bo może w głowie zostałoby mi wolne miejsce na inne rzeczy. Facet z bractwa pogrzebowego czym prędzej zabrał mnie z powrotem do dużej sali, byli tam już ludzie, których wcześniej widziałem na dworze, i kiedy wszedłem, rozstąpili się na boki, a ja zobaczyłem ojca wspartego na ramieniu wspólnika, ledwie trzymał się na nogach, jak mały dzieciak zawiesił się na Silviu i nawet mnie nie widział. A ja pomyślałem… Co ja pomyślałem…

Bierze głęboki oddech, po samo dno swojego ciała.

– Pomyślałem, że powinienem do niego podejść, przytulić go. Ale nie byłem w stanie iść, a już na pewno spojrzeć mu w oczy. Ludzie stojący za mną powiedzieli: – No, idź do taty, idź już do taty, trzeba będzie odmówić kadysz. – Silviu szepnął mu, że jestem, a on uniósł głowę, otwierając

szeroko oczy, jakby ujrzał Mesjasza. Oderwał się od Silviu, podszedł do mnie na chwiejnych nogach, z otwartymi ramionami, płacząc i wykrzykując jej imię i moje. Naraz zobaczyłem, że jest stary i w obecności wszystkich zawodzi w jidysz, że oto tylko my dwaj zostaliśmy na świecie, czemu spotkało nas takie nieszczęście, czym sobie na to zasłużyliśmy, przecież nikomu nie wyrządziliśmy krzywdy. Stałem bez ruchu, nie przysunąłem się do niego, tylko spoglądałem na jego twarz, myśląc: Co za tępak, nie rozumie, że mogło być całkiem na opak, kwestia jednego milimetra wte albo wewte, i mogło być odwrotnie, a jeśli teraz mnie obejmie czy choćby tylko dotknie, to mu przywalę, zabiję go, bo jestem w stanie, jestem wszechmocny, dlatego że wszystko, co mówię, staje się rzeczywistością. I w tej samej sekundzie, gdy to pomyślałem, moje ciało odwróciło mnie do góry nogami. Za jednym zamachem zmiotło mnie, rzuciło na ręce, jarmułka spadła na ziemię, usłyszałem, jak wszyscy sapią, i zapadła cisza.

Zacząłem uciekać, on pobiegł za mną, nadal nie rozumiejąc, krzycząc do mnie w jidysz, żebym się zatrzymał, żebym zawrócił, ale dla mnie wszystko było na odwrót, wszystko postawiłem do góry nogami. Widziałem od dołu, jak ludzie się rozstępują, kiedy ich mijałem, i wybiegłem stamtąd, nikt nie miał odwagi mnie zatrzymać. On dalej biegł za mną, krzyczał i lamentował, aż wreszcie przystanął w drzwiach wejściowych. Wówczas ja też się zatrzymałem na placu parkingowym, i staliśmy, patrząc na siebie, ja tak, a on tak. Zrozumiałem, że bez niej nic nie był wart, że cała jego siła w życiu brała się z tego, że ona z nim była. W jednej chwili stał się połową człowieka.

Patrzył na mnie i widziałem, jak jego oczy powoli, powoli zbliżają się do siebie, i naraz wyczułem, że teraz zaczyna rozumieć. Nie wiem, jak to się działo, ale w tego rodzaju sprawach miał zwierzęcy instynkt. Nie przekonacie mnie, że to nieprawda: w sekundę pojął wszystko, co zrobiłem w drodze do tego miejsca, cały mój zafajdany obrachunek. Wszystko wyczytał w ciągu jednej sekundy z mojej twarzy. Uniósł obie ręce i myślę, jestem pewien, że mnie przeklął. Bo wydał z siebie krzyk, jakiego nigdy nie

słyszałem z ust człowieka. Brzmiało to tak, jakbym go zarzynał. W tej samej chwili upadłem, ręce się pode mną ugięły i plasnąłem na asfalt.

Ludzie na parkingu gapili się na mnie i na niego. Nie wiem, co do mnie mówił ani jak przeklinał, może to wszystko działo się w mojej głowie, ale widziałem jego twarz i czułem, że to jakieś straszne przekleństwo, choć jeszcze nie wiedziałem, że będzie mnie ono ścigać przez całe życie, a tak właśnie było, dokądkolwiek szedłem, gdziekolwiek zbiegłem.

Słuchajcie, jak to jest: tam pierwszy raz przeszło mi przez głowę, że być może nic nie zrozumiałem i że on naprawdę gotów był położyć się na marach zamiast niej. Jeśli o nią chodzi, to nie robił żadnych kalkulacji, naprawdę ją kochał.

Jego ciało staje się bezwładne.

– No, jasne… – mruczy i zanika na długą chwilę.

– I wtedy machnął mi ręką – o tak, dając za wygraną, odwrócił się na pięcie i wszedł z powrotem do środka, żeby kontynuować pogrzeb, ja zaś wstałem i pobiegłem między ludzi i samochody, wiedziałem już, że to koniec, do domu więcej nie wrócę, drzwi zamknięte, dom się dla mnie skończył.

Powoli stawia termos koło nogi. Głowa opada mu do przodu, jak w chwili gdy zaczął opowiadać swoją historię.

– Dokąd miałem pójść. Kto na mnie czekał? Pierwszą noc spędziłem w szkolnej piwnicy, drugą w magazynie synagogi, trzeciej przyczołgałem się do domu z podwiniętym ogonem. On otworzył mi drzwi. Słowem nie napomknął o tym, co się wydarzyło. Zrobił mi kolację jak zwykle, ale nic nie mówił ani do mnie, ani do siebie.

Dowale prostuje się. Głowa kołysze się na jego cienkiej szyi.

– I w ten sposób zaczęło się nasze życie po niej. Ja i on, sami, ale to już niech zostanie na inny wieczór, teraz jestem trochę zmęczony.

Cisza. Nikt się nie porusza.

Mija minuta, potem druga. Menedżer rozgląda się w prawo, w lewo, chrząka, uderza obiema rękami po mięsistych udach, wstaje z miejsca i zaczyna składać krzesła. Ludzie podnoszą się i wychodzą po cichu, nie

patrząc na siebie. Ktoś tu i tam kiwa głową na do widzenia. Twarz Dowalego jest zgaszona. Wysoka kobieta o siwych włosach podchodzi do sceny i żegna się z nim skinieniem głowy. Kiedy mija mój stolik w drodze do wyjścia, kładzie na nim złożoną karteczkę. Zauważam kocie łapki wokół jej załzawionych oczu.

*

Zostało nas troje. Malutkie medium ściska obiema rękami czerwoną torebkę, stojąc przy swoim krześle, wsparta na jednej nodze. Jest taka drobniutka ta mała Eurykleja. Czeka, spoglądając na niego z nadzieją. On powoli wraca z miejsca, w którym się zatopił, unosi głowę i uśmiecha się.

– Dobranoc, pisklaczku – mówi. – Nie zostawaj tutaj ani nie wracaj pieszo. To nie jest odpowiednia dzielnica. Joaw! – woła w stronę holu. – Zamów jej taksówkę! Potrąć z mojego honorarium, jeśli jeszcze coś zostało.

Ona ani drgnie. Zapuściła korzenie.

Dowale schodzi ociężale ze sceny i staje koło niej. Jest jeszcze niższy, niż wydawał się na scenie. Kłania się ze staromodnym, rycerskim wdziękiem i całuje ją w policzek, a potem cofa się o krok. Ona wciąż ani drgnie. Stoi na czubkach palców, z zamkniętymi oczami, całe ciało wyciągając ku niemu. On znowu podchodzi i całuje ją w usta.

– Dziękuję, pisklaczku – mówi. – Dzięki za wszystko. Nawet nie wiesz.

– Proszę – odpowiada z tą swoją rzeczową powagą, ale na twarz wypływa jej rumieniec, a ptasia pierś nabrzmiewa. Odwraca się i wychodzi, lekko utykając, wargi zaokrąglone w uśmiechu niepokalanej radości.

Teraz zostajemy w sali tylko ja i on. Stoi przede mną, opierając się ręką o krawędź mojego stolika, ja natychmiast siadam, żeby go nie przytłaczać masą swojego ciała.

– „Skazuję cię teraz na śmierć przez utopienie!”2 – przywołuje słowa ojca skierowane do syna w opowiadaniu Kafki, unosi termos nad głową i wylewa na siebie ostatnie krople. Kilka z nich opryskuje i mnie. Śniady

chłopak w podkoszulku wraca do mycia naczyń w kuchni, nucąc z przejęciem *Let It Be*.

– Masz jeszcze chwilkę? – Rozdygotanymi z wysiłku rękoma wdrapuje się z powrotem na scenę i siada na brzegu.

– Choćby i godzinę.

– Nie spieszysz się do domu?

– Nigdzie się nie spieszę.

– Po prostu, no wiesz… – Uśmiecha się znużony. – Niech adrenalina trochę opadnie.

Głowa zwieszona na pierś. Znów wygląda, jakby zasnął na siedząco.

Nagle jest tu Tamara, dookoła mnie. Czuję jej obecność tak mocno, że zapiera mi dech. Nastrajam się na nią. Słyszę, jak szepcze mi do ucha, cytując naszego ukochanego Fernanda Pessoę: „Wystarczy istnieć, aby być kompletnym".

Dowale wzdryga się i otwiera oczy. Przez dobrą chwilę wyostrza źrenice.

– Widziałem, że co nieco notowałeś – mówi.

– Pomyślałem, że mogę spróbować coś o tym napisać.

– Serio? – Jego twarz wypełnia uśmiech.

– Dam ci, gdy będzie gotowe.

– Przynajmniej zostanie po mnie parę słów – śmieje się zażenowany. – Jak trociny po spiłowanym drzewie…

*

– Najśmieszniejsze jest to – mówi później, ocierając ręce ze scenicznego pyłu. – Nie jestem człowiekiem, który by tęsknił… do kogokolwiek.

Trochę mnie to zaskakuje, lecz nic nie mówię.

– Ale dzisiaj wieczorem, czy ja wiem… Chyba pierwszy raz od jej śmierci…

Wodzi palcem po soczewce leżących na podłodze okularów.

– Miałem parę takich momentów, że dosłownie ją czułem… To znaczy, nie jako moją matkę, ale jako człowieka. Konkretnego człowieka, który był tutaj, w tej sali. I ojca – ciągnie, a głos mu łagodnieje. – Wytrzymał jeszcze prawie trzydzieści lat po niej, wiesz? Przez ostatnie lata ja się nim opiekowałem. Przynajmniej umarł w domu, ze mną.

– To znaczy w Romemie?

Wzrusza ramionami:

– Daleko nie zaszedłem.

Widzę, jak on i jego ojciec mijają się w korytarzu. Zbiera się nad nimi spopielały czas.

– Słuchaj, co byś powiedział, gdybym cię odwiózł do domu? – proponuję.

Zastanawia się chwilę. Wzrusza ramionami.

– Skoro nalegasz.

– Idź się pozbierać – mówię, wstając z krzesła. – Zaczekam na dworze.

– Chwila – mówi. – Nie tak szybko. Usiądź. Bądź publicznością jeszcze przez sekundę.

Nadyma pierś i przykłada dłonie do ust, udając megafon:

– To by było na tyle, Cezareo!

Z krawędzi sceny posyła mi swój najbardziej promienny uśmiech.

– To wszystko, co mogę wam dać. Na dzisiaj koniec z rozdawaniem Dowalego. Jutro też go nie będzie. Ceremonia zakończona. Proszę zachować ostrożność przy drzwiach. Trzymać się wskazówek personelu i policji. Przed chwilą otrzymałem wiadomość, że panuje ścisk i tworzą się kolejki do wyjścia. Dobranoc.

styczeń 2013 – czerwiec 2014

---

1 Arab.: zarżnij Żydów (przyp. tłum.).

2 Franz Kafka, *Wyrok*, tłum. Juliusz Kydryński, Warszawa 1957, s. 22.

Od tłumaczki

Praca nad przekładem przebiegała w dwóch etapach: w lutym 2015 roku wzięłam udział w międzynarodowych warsztatach dla tłumaczy w Straelen, gdzie przez kilka dni od świtu do późnego wieczora omawialiśmy z Autorem sprawiające trudności partie jego powieści, zastanawiając się nad najlepszymi rozwiązaniami w różnych językach. Drugim etapem była samodzielna praca nad tekstem, podczas której korzystałam z rad przede wszystkim dwóch wybitnych koleżanek przygotowujących równolegle angielski i włoski przekład powieści – Jessiki Cohen i Alessandry Shomroni.

W czasie warsztatów, przypominających chwilami klub dyskusyjny, rozstrzygnęliśmy wiele problemów, korygując m.in. drobne błędy merytoryczne, jakie wkradły się do tekstu. W rezultacie, jeśli polski przekład gdzieniegdzie odbiega od oryginału, to zmiana ta została uzgodniona z Autorem. Jedną z najgorętszych dyskusji wywołały zapożyczenia z języka arabskiego. W polskim przekładzie uwzględniłam stanowisko Autora, który uważa, że większość arabskich zwrotów weszła na trwałe do codziennej hebrajszczyzny, toteż nie należy ich wyróżniać kursywą ani objaśniać w przypisach.

Chciałabym gorąco podziękować Dawidowi Grosmanowi za bezcenne wyjaśnienia i sugestie, polskiemu Wydawcy za umożliwienie mi wzięcia udziału w warsztatach, a koleżankom Tłumaczkom za celne spostrzeżenia i cierpliwość.

Regina Gromacka